

SIECI

NARODZINY PARTII MOSKIEWSKIEJ. PROF. ANDRZEJ NOWAK O NASZEJ HISTORII

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
47 (677) 2025
17–23 listopada 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

ARMIA NIE CHCE TUSKA

W WOJSKU ROŚNIE NIECHĘĆ DO SZEFA RZĄDU. ŻOŁNIERZE SĄ WŚCIEKLI, ŻE WŁADZA I SĄDY POZWALAJĄ NAZYWAĆ ICH PSAMI, ŚMIECIAMI CZY MORDERCAMI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 47
Numer w sprzedaży do 24 XI 2025 r.

eprasa.pl be69



polsat box

Ponad 130 kanałów

z super sportem, filmami, serialami i rozrywką

polsat sport premium

CINEMAX

ELEVEN SPORTS

polsat film

już za 70 zł/mies.

przez 2 lata po rabacie

Umowa na min. 24 mies. na Pakiet L. Od 25. mies. 75 zł/mies. po rabacie.

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

eprasa.pl be6914882e

Siekiera pożyczona od Baćki

Waldemar Żurek zamieścił w mediach społecznościowych nagranie, na którym instruuje swoich widzów, jak dobrze i sprawnie rąbać drewno. Cel oczywisty: pokazać, że minister (nie)sprawiedliwości to silny człowiek, który nie zawaha się przed użyciem najbrutalniejszych narzędzi – podobnie jak Aleksander Łukaszenka, który też przecież lubi rąbać pniaki. Wierzymy, wierzymy, dowodów mamy aż nadto.

Minister Żurek nie ukrywa zresztą intencji tej pokazówki, bo przecież deklaruje: „Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą". Innymi słowy: polityczny cel uświęca stosowanie takich środków prawno-administracyjnych, które z państwem prawa nie mają nic wspólnego, ale pozwalają uderzyć w opozycję. Wydawało się, że po doświadczeniach XX w. taka postawa została ostatecznie skompromitowana, ale to było złudzenie. Politycy (namiestnicy), którzy zdobyli władzę w naszej ojczyźnie, mają przyzwolenie na każdą formę represji wobec sił niepodległościowych.

Za mało wybrzmiewa właśnie ten cel działań obecnej władzy i ministra Żurka w szczególności. Tu przecież wcale nie chodzi o zemstę, na pewno nie na pierwszym planie. Idzie o zniszczenie tej części opozycji, która ma potencjał pozwalający na myślenie o odbudowie polskiej niepodległości. To jest najważniejsze zadanie obecnej ekipy rządowej, na pewno z punktu widzenia jej zewnętrznych patronów i sponsorów. W przewidywalnej perspektywie nad Wisłą wybory mają decydować o rozkładzie głosów pomiędzy siłami różniącymi się jedynie drobiazgami, a w istocie stanowiącymi jedno. Polacy mają zostać pozbawieni możliwości realnej zmiany kursu. Owszem, swoje listy będą wystawiały siły prawicowe, może nawet arcyprawicowe, ale będą to formacje, które nawet gdyby bardzo chciały, nie uniosą ciężaru podtrzymania suwerenności w naszym położeniu, przy naszych przeciążeniach. Są zbyt słabe kadrowo, kompetencyjnie i koncepcyjnie. Mogą być co najwyżej „znakiem sprzeciwu", a nie realną alternatywą polityczną dla sił namiestniczych, pilnujących półkolonialnego statusu naszego państwa.

W tym kontekście bardzo ciekawie brzmią informacje o relacjach łączących Waldemara Żurka z rosyjskim agentem Pawłem Rubcowem, występującym w Polsce w roli hiszpańskiego dziennikarza Pabla Gonzalesa. Poważne źródła podają, że w telefonie szpiona znajdował się kontakt do obecnego ministra sprawiedliwości, a także korespondencja prowadzona za pośrednictwem komunikatorów. Sam Żurek chwalił się, że w 2016 r. rozmawiał z „hiszpańskim dziennikarzem" w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości. Do dziś nie podał jego nazwiska, ale wiele wskazuje, że chodzi o Rubcowa, który publikował artykuły oskarżające rząd PiS o gnębienie sędziów. Wszystkie te elementy spinają się w logiczną całość, już od lat można było bowiem podejrzewać, że za anarchizacją polskiego wymiaru sprawiedliwości stoją także służby obcych państw. Ta destrukcja państwa prawa, sprzedawana jako „obrona praworządności", miała służyć osłabieniu władzy państwowej opanowanej przez PiS, a teraz jej celem jest zdjęcie ochrony prawnej – przynależnej w państwach demokratycznych każdemu – z sił niepodległościowych. Dzięki temu podlegają one represjom typowym dla państw autorytarnych, łącznie z kreowaniem zarzutów bez żadnych solidnych podstaw, używaniem absurdalnych kwalifikacji prawnych (np. Zbigniew Ziobro w roli szefa „zorganizowanej grupy przestępczej").

To wszystko kiedyś minie, działania ministra Żurka – podobnie jak jego poprzednika – zostaną osądzone, a w Polsce znów zapanuje praworządność. Dziś jeszcze nie widać drogi, która doprowadzi nas do odbudowy państwa prawa, ale jedno jest pewne: działania ministra (nie)sprawiedliwości pośrednio przyspieszają sanację. Wydaje mu się, że jest groźny, ale tak naprawdę swoją siekierą obcina najważniejsze korzenie porządku prawnego III RP. Podcina tak skutecznie, że łatwiej będzie zacząć od samych podstaw.

Jacek Karnowski



Reklama | 22/0325/F

eprasa.pl be6914882e

SIECI spis treści



24 Kandidat fabrycznie wadliwy
Stanisław Janecki



30 Wrażeń mi nie brakuje
Z Martą Nawrocką rozmawia Marcin Wikło



44 Mindicz Gate – skandal, który może pogrążyć Zełenskiego
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **ZABIJANIE DEMOKRACJI**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŻUREK PO WĘGIERSKU**
Krzysztof Feusette

9 **POŻEGNANIE Z „SEJMFLIKSEM”**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSKA FARSA. PRAWICA GASI ZIELONY POŻAR, ALE EPP WCIĄŻ GRA W CIUCIUBABKĘ**
Daniel Obajtek

13 **ZDROWY ROZSĄDEK UPROWADZONY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA NOEMI GÓRNY**
Michał Korsun

16 **MIĘDZY NOWYM JORKIEM A STARYM KREMLEM**
Jan Pietrzak

16 **„WAKACJE RELOKACYJNE”**
Samuel Pereira

17 **ZAMIAST SOLIDARNOŚCI – KAPITULACJA**
Arkadiusz Mularczyk

18 **CERTYFIKAT C-2**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **GRY MUNDUROWE TUSKA**
Piotr Gursztyn

KRAJ

24 **KANDYDAT FABRYCZNIE WADLIWY**
Stanisław Janecki

27 **CHCESZ ŻYĆ, TO PŁAĆ**
Łukasz Wróblewski

30 **WRAŻEŃ MI NIE BRAKUJE**
Z Martą Nawrocką rozmawia Marcin Wikło

32 **MENTZEN JAK PŁATEK ŚNIEGU**
Łukasz Wróblewski

34 **OGARY POSZŁY W LAS, CZYLI RZECZ O NAGONCE**
Jan Rokita

37 **ZABIJANIE ODRY**
Konrad Kołodziejski

40 **STUDIO MAGDALENY OGÓREK**
Łukasz Wróblewski

ŚWIAT

44 **MINDICZ GATE – SKANDAL, KTÓRY MOŻE POGRĄŻYĆ ZEŁENSKIEGO**
Marek Budzisz

48 **AWANTURA O MARYJĘ**
Grzegorz Górny

50 **NICZYM ROZKŁADAJĄCY SIĘ PSTRĄG**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

53 **NARODZINY PARTII MOSKIEWSKIEJ**
Andrzej Nowak

56 **BITWA, KTÓRA OBALIŁA RÓD SAPIEHÓW**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **ŚWIETNI CZTERDZIESTOLETNI**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

64 **KATEDRA KONTRA „ENCYKLOPEDIA”**
Robert Tekieli

GOSPODARKA

66 **GOSPODARKA STRACHU**
Stanisław Koczot

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: JAN HOLOUBEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **BY BYŁO, JAK BYŁO**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **SILVA RERUM**
Aleksander Nalaskowski

73 **ŚMIERĆ RAZY TRZY**
Ryszard Czarnecki

74 **WTEDY NAPISZEMY NASZE GENIALNE DZIEŁA**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl be6914882e

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zabijanie demokracji

Mało kto dostrzega przełomy historyczne, które dzieją się bezpośrednio na jego oczach. Rozpoznanie ich wymaga zwykle dystansu. Przykładem tego są obecne wypadki w Polsce. Koalicja 13 grudnia usiłuje zniszczyć demokrację przy aplauzie sporej części obywateli, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co oklaskują. Inni, chociaż nie aprobują działań rządu Tuska, także nie dostrzegają wagi sprawy i traktują ją jako zwykłą przepychankę między politykami.

Podstawą demokracji jest akceptacja pokojowej rywalizacji politycznej. Konkurentów do władzy nie zabija się ani wsadza do więzienia. Polemizuje się z nimi, ściera na argumenty albo tylko na słowa; krytykuje uczciwie, albo nie; proponuje inne rozwiązania problemów; rywalizuje o akceptację obywateli, aby po wygranych wyborach wcielać w życie swój program albo wyłącznie zarządzać. Zabezpiecza ten stan rzeczy immunitet, który z zasady ma uniemożliwiać eliminację politycznych przeciwników pod kryminalnymi zarzutami. Nie oznacza to, że polityk jest bezkarny. Dowody na popełnienie przez niego przestępstwa powinny skutkować odebraniem mu immunitetu. W demokracji zdarza się to rzadko.

Pod rządami koalicji 13 grudnia immunitet opozycyjnych polityków został zlikwidowany. Jeśli wystarczy zwykła większość do jego odebrania, a rządzący głosują według partyjnej dyscypliny, immunitet faktycznie przestaje istnieć.

Przedstawiciele opozycji, którzy rządzili poprzednio, oskarżani są o to, jak dysponowali powierzonymi sobie środkami, czyli jak władzę sprawowali. Debatę zastępuje areszt śledczy i sala sądowa z odpowiednio dobranymi sędziami, a więc zwykła przemoc. Siłę argumentu zastępuje argument siły, a demokracja się kończy.

Propaganda rządowa używa pojęcia korupcji, ale zafałszowuje sens tego terminu. Oznacza ono bowiem zawłaszczanie środków publicznych w celach prywatnych, a obecna władza zarzuca poprzedniej, że czerpała z nich polityczne korzyści, czyli dążyła do akceptacji rządzonych. Innymi słowy: demokratyczna polityka to korupcja. Donald Tusk posunął się jeszcze dalej. Przyznał, że ścigani przez niego politycy („chytrusy") przestrzegali procedur (czyli prawa), ale to niczego nie zmienia. Areszt staje się metodą represji.

Zgodnie z normami państwa prawa winien być on środkiem szczególnym, ponieważ oznacza pozbawienie wolności osoby, której winy nie udowodniono. Stosować go można wyłącznie w wyjątkowych okolicznościach, czyli wtedy, gdy oskarżony mógłby uniemożliwić proces. Prokurator Tuska stwierdza jednak, że Zbigniew Ziobro, piętnujący tych, którzy przed śledztwem przesądzają o jego winie, próbuje ich zastraszyć, należy więc zamknąć go, aby w ten sposób nie wpływał na proces. Zgodnie z tym wnioskowaniem każdy deklarujący swoją niewinność usiłuje wpłynąć na proces i powinien być aresztowany.

Represjonowanie konkurentów politycznych zabija demokrację, ponieważ uniemożliwia rywalizację polityczną, polityczne prześladowanie zastępuje merytoryczną debatę. Odebranie PiS funduszy pomimo sprzeciwu sądu było tego pierwszym aktem. Zamykanie jego polityków do więzienia jest finalizacją procesu.

Polska stała się poletkiem doświadczalnym oligarchii europejskiej, która testuje, jak daleko posunąć się może w obronie arbitralnej władzy realnie unieważniając demokrację. We Francji zakazano (nieprawomocnym wyrokiem!) startu w wyborach prezydenckich lidera jej sondaży, przywódcę Zgromadzenia Narodowego, Marine Le Pen. W Anglii do więzień trafiło już kilka tysięcy osób protestujących przeciw masowej, obcej kulturowo imigracji, w Niemczech coraz głośniejsze są wezwania do delegalizacji AfD. Nigdzie jednak nie posunięto się tak daleko jak w Polsce, tzn. do zamykania przedstawicieli opozycji.

Niestety okazało się, że ciągnąca się dekadami, zmasowana Goebbelsowska propaganda Tuska, który wspierany jest przez ogromną większość ośrodków opiniotwórczych w Polsce i sekundujących im centrów zachodnich, przyniosła rezultaty. Antypisizm w naszym kraju przypominać zaczął polityczny antysemityzm i stał się intelektualną pożywką dla sporej grupy tych, którzy wszelkie swoje problemy tłumaczą działaniem partii Kaczyńskiego. Wielu z tych, którzy nie zostali bezpośrednio zainfekowani nagonką przeciw prawicy, mimo to nie potrafi dojść racji w tej coraz gorętszej wojnie domowej w efekcie dystansując się do polityki i polityków. Polowanie władzy na opozycję traktuje jako wewnętrzne między nimi rozgrywki, które obserwuje z obojętnością, jeśli nie z satysfakcją.

W konsekwencji większość Polaków oklaskuje prześladowanie opozycji, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób przykłada rękę do likwidacji demokracji i pozbawia się kontroli nad własnymi losami; niszczy także podstawy cywilizacji, która stanowi ich naturalne środowisko. Kiedy zorientują się w tym stanie rzeczy, może być już za późno.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl be6914882e



Sygnalista nadaje

Co ten biedny Donald ma z tym Nawrockim! Miała być piękna uroczystość promocji 136 przyszłych bohaterów walki z kaczyzmem. Młodzi ludzie byli przygotowywani do tego, aby znajdować w kampaniach wyborczych haki na nieodpowiednich kandydatów. Mieli być anonimowymi źródłami informacji zaufanych redaktorów z zaprzyjaźnionych mediów. Dzięki nim do redaktorów miały docierać dokumenty ukazujące zepsucie i zgniliznę moralną czołowych przedstawicieli kaczyzmu. Mieli pracować w komisjach do badania wpływów rosyjskich z takimi asami, jak gen. Stróżyk, Klementyna Suchanow i Tomek Piatnica. Ten Nawrocki, który ukradł prezydenturę Rafałowi, nie rozumie, jaka jest jego rola w praworządnej demokracji. I dobrze, że premier Donald Franciszek huknął na niego w internetach. Ale źle, że internety nie stanęły po stronie premiera, tylko się okazało, że popierają domniemanego prezydenta.

A to było tak. Ten Nawrocki również zamieścił filmik w internetach, w którym bezkarnie opowiadał brzydkie rzeczy o premierze. I co się okazało: „Użyteczni dziennikarze, setki postów pisowskich aparatczyków i tysiące botów zamiast podpisania oficerskich nominacji i zwykłego »przepraszam«" – zauważył rozgoryczony premier. Tysiące botów dały lajki temu Nawrockiemu, a nie premierowi. Jak to? Przecież minister do spraw kontroli internetów tow. Gawkowski już dawno obiecywał, że będzie tępił takie patotreści: „Wolność słowa jest ważna, ale w internecie musi być traktowana w ograniczony sposób". Pięknie to powiedział, ale szkoda, że nie spełnił swojej obietnicy zamknięcia internetów.

Niestety okazało się, że Sławek Mentzen nie miał dziadka w Wehrmachcie. Tę ciekawą wiadomość podała sama towarzyszka redaktorka z młodszego pokolenia pracowników środków masowego przekazu, kol. Olejnik Monika. Z przykrością dowiedzieliśmy się, że sam Mentzen zdementował to miłe info. Dziadek Sławomira służył niestety tylko w wojsku Ten Kraju. Czyli znów zaścianek.

Przykra jest też sprawa z 46 paleosędziami bezprawnie skrzywdzonymi przez tego Nawrockiego z Gdańska. Nie lekceważymy jej! Straszna zbrodnia przeciw praworządności, tak, jak my ją rozumiemy. Cały obóz demokratyczny dygocze z oburzenia, ale trudno zrozumieć słowa naszego ukochanego „Drwala". ***Żurek Waldek***, komentując zbrodniczą decyzję tego Nawrockiego, powiedział o nim, że jest jak Król Słońce. Jak to? My znamy tylko jedno słoneczko. Naszego premiera Donalda Franciszka.

Mimo tego całego zła premier nadal jest pierwszym trendsetterem Ten Kraju (spokojnie, nie obrażamy premiera – trendsetter to nie jest rasa psów). Szczególnie wśród nostalgików i miłośników mody retro. Bez przerwy oglądamy filmik, na którym premier siedzi z michą popcornu i włącza jakieś urządzenie. Takie duże czarne, co kiedyś stało u dziadków. EjAj podpowiada, że nazywało się to telewizor. A premier zapowiada, że będzie oglądał drugą część jakiegoś widowiska sprzed lat. Powrót dziadów czy jakoś tak. W każdym razie najstarsi ludzie mówią, że dawno, dawno temu, w erze pierwszej Platformy, zwanym też okresem Dziadocenu, premier też nagrywał takie filmiki. I wiecie co? Ludziom się to podobało. Niesamowite! Prawda?

Jeszcze jeden powrót z przeszłości. ***Radek Sikorski*** się odnalazł. Nie widzieliśmy go od momentu, gdy zagroził Putinowi, że zestrzeli wszystkie

eprasa.pl be6914882e

ruskie samoloty. Co do jednego, tak jak wcześniej wyrżnął watahę. Okazało się, że od tamtego czasu Radek był na poczcie. I przetrwał to, choć były to ekstremalne przejścia. „Dziękuję Poczcie Polskiej za umożliwienie mi miłych rozmów z rodakami w kolejce po odbiór przesyłki. Po godzinie już tylko 15 osób przede mną" – opisał to ze zwykłą dla siebie beztroską, zupełnie nie popadając w ton martyrologiczny. Tym wpisem Radek przypomniał, jak ważnym zadaniem jest przepędzenie pisowskich okupantów. Gdy demokraci wreszcie zdobędą władzę, wtedy znikną kolejki na poczcie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tej samej, dzięki której szpitale przestaną odsyłać pacjentów, a zaczną ich wreszcie leczyć.



Dlaczego Zbigniew Z. nie korzysta z okazji, aby udowodnić swoją niewinność? Apelują o to do niego autorytety prawnicze, takie jak Katarzyna Maria Piekarska, Kondzio Frysztak z Radomia i wybitny hodowca dogów niemieckich Andrzej Halicki. Trzeba tu podkreślić, że głupia i przestarzała zasada domniemania niewinności nie obowiązuje w państwie praworządnym, tak jak my rozumiemy praworządność. Zbigniew Z. na pewno stanie przed sądem, w którym osądzą go sędziowie zaufani, a nie przypadkowo wylosowani. Wprawdzie proces będzie utajniony, tak samo jak uzasadnienie wyroku skazującego (bo przecież innego nie może być), ale podważanie bezstronności sądu jest czymś całkowicie nieuzasadnionym i wręcz skandalicznym.



Przy okazji – to miło, że Andrzej Halicki o sobie przypomniał. Zaginął po tym, jak pewien pan tak ciepło wyrażał się o Andrzeju w czasie spotkań u Sowy i Przyjaciół: „To też jest kwestia jakości ludzi, których masz koło siebie. Halicki ku...wa, ten Grupiński... Grupiński jest niegłupi, ale Halicki, no, to jest mój sąsiad, mieszka wieś obok. To jest, ku...wa, debil" – opowiadał dawny prezes ORLENU. A wy – co o tym myślicie?



Prawaccy hejterzy nie ustają w atakowaniu Naczelnego Drwala Praworządności. Żurek Waldek jest krytykowany nawet za swoje szerokie kontakty międzynarodowe. Hejterom nie podoba się to, że Waldek – wtedy, gdy był jeszcze tylko bezstronnym i apolitycznym sędzią – rozmawiał z ważnym hiszpańskim dziennikarzem. Nawet bardzo ważnym, samym Pablem Gonzalesem (czyta się Paweł Rubcow). Minister drwal odpowiedział z typową dla siebie skromnością, że on przetrwa te ataki, bo jest jak „przysłowiowa Inka" (sprawdzić przysłowia z Inką!). Nawet więcej – po rozmowach z Paszą Gonzalesem, a pewnie też wspólnym ładowaniem powerbanków, Waldek jest jak Dolores Ibarruri. Równie piękny i mądry.



Dlaczego popieramy Lewicę? Ze względu na jej ludzi. ***Tow. Czarzasty Włodek*** drugą osobą w państwie, a obok niego tow. Siwiec Marek. Ten zasłużony działacz młodszego pokolenia lewicy będzie szefem Kancelarii Sejmu. Człowiek ukochany i wycałowany przez ziemię kaliską. Zawsze trochę nieogolony, ale to właśnie ta moda sprawiała, że chłopaki z Ordynackiej byli i są tacy atrakcyjni.

Wszystkie Sławki i Staśki to fajne chłopaki. Nie tylko Nowak i Gawłowski, lecz także Mentzen i Tyszka. Jakże cenne są ich uwagi na temat kaczystowskich zbrodni. Sławek Mentzen słusznie przypomina, że ten potworny Kaczor to gangster i cham. My to wiemy, bo „Gazeta Wyborcza" pisze o tym od 30 lat. Także Onet i TVN o tym mówią, ale nigdy dość przypominania! Jedyna zła rzecz, że Bosak zdradził. W fundamentalnym starciu dobra ze złem (czyli premiera z tym Nawrockim) w sprawie służb tajnych wielopłciowych stanął po stronie domniemanego prezydenta. Zapłaci za to, ale i on dostanie szansę, aby udowodnić swoją niewinność. Może niedużą szansę, ale lepsza taka niż żadna.

Stasiek Tyszka kiedyś powiedział, że Konfederacja, której obecnie jest członkiem, to „marginalne ugrupowanie hejterów i krzykaczy". Tak było kiedyś, ale widać, że dzisiaj to odpowiedzialne ugrupowanie wolnorynkowe. Dowody na to daje też Przemek Wipler: „Nie wyobrażam sobie koalicji, w której istotną jakąkolwiek rolę ma lider obecny tamtego obozu, czyli Jarosław Kaczyński" – zapowiedział stanowczo. Wspaniała i wzruszająca deklaracja. Może być z nią jednak ten problem, że Jarosław Kaczyński również nie wyobraża sobie koalicji, w której istotną rolę będzie odgrywał Przemek.

„***Grzegorz Braun*** – ruski klaun!" – takie okrzyki wznosili w czasie Marszu Niepodległości nacjonaliści z ONR. Albo jeszcze gorzej: „Grzegorz Braun – ruski down". Aktywiści KaKaPe z godnością znieśli ten gorszący atak, odpowiadając, że ONR to banderowcy i lewica. I że w ogóle to nieprawda, co ONR krzyczał, choć nie dodali, z czym się nie zgadzają. Z klaunem czy z ruskim? Grzegorz jest ponad to, on się o to nie obraża. Rusza go co innego. Grzegorz nie lubi, gdy mówi się o nim „europoseł". A to dlatego – jak sam tłumaczy – że europosłowie to politycy, których eurokołchoz skorumpował za pomocą wypłat w euro. Wprawdzie Grzegorz też pobiera wypłatę w euro, ale to nie jest to samo i nie wolno tego porównywać!

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl be6914882e

Żurek po węgiersku



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Halo? Dobri deń, prosim te...
Żurek: To chyba po czesku?
Tusk: Aha. No to... Eszge szege.... Eszge szege...
Głos żeński: Ale o co chodzi?
Tusk: To może ja dam ministra Żurka...
Żurek: Eszge szege... My, czyli pan premier i ja, chcielibyśmy wiedzieć, czy jest u was Ziobro.
Głos żeński: Kto?
Żurek: To ja może dam pana premiera...
Tusk: Eszge szege, madziaros! Polak, węgiel, dwa bratanki...
Żurek: Węgier!
Tusk: Gdzie?!
Żurek: Polak, Węgier, dwa bratanki...
Tusk: Pamiętam! Był u nas taki zespół! Oni śpiewali po węgiersku? Dawać ich tu!
Żurek: Nie. To Brathanki.
Tusk: Jakiej Hanki? Gronkiewicz?
Żurek: Zespół nazywał się Brathanki!
Tusk: Przecież mówię, że znam. Czerwone korale, czerwone niczym wino...
Żurek: W kinie, w Lublinie...
Tusk: Co „w kinie, w Lublinie"?
Żurek: „Kocham cię...".
Tusk: Aha.
Głos żeński: A w jakiej sprawie panowie dzwonią?
Tusk: Dobra, ty gadaj....
Żurek: A czemu? To pan ma prawo stosować prawo tak, jak je rozumie.
Tusk: Odwaliło ci od tej zupy.
Żurek: Premier też jadł.
Tusk: Premier jadł, ale nie siebie samego. A ty jadłeś żurek.
Żurek: No bez jaj...
Tusk: A skąd w żurku jaja? Jaja to są w szczawiowej, jak mi żona zrobi, he, he...
Żurek: Ale co zrobi?
Tusk: Szczawiową!
Żurek: Byle nie zbierała szczawiu z nasypów, jak „Jurny"...
Głos żeński: A co to „żurek"?
Żurek: No, takie leczo. Tyle że bez papryki.
Tusk: Jadłeś kiedyś leczo?
Żurek: Nie, ale po węgiersku tylko to kojarzę. I jeszcze placek po zbójnicku. Halo? Eszge szege, plackege zbójnickege... Ten Ziobro to jest placek, sorry, zbójnik nad zbójniki....
Tusk: Ty tak masz przez to zderzenie z odkurzaczem?
Żurek: Jakim odkurzaczem?
Tusk: Widzisz? Nawet nie pamiętasz. Może to i lepiej. Straszna historia. No, ale bez niej nie mógłbym cię dać za Bodnara. On jednak coś pamiętał z konstytucji.
Żurek: Ale mnie ten odkurzacz uszkodził tylko nogę, nie głowę. Trochę szkoda, bo za głowę są większe odszkodowania.
Tusk: Jak to mówią – gdzie drwa rąbią, tam drwal drzewem oberwie.
Żurek: O, to, to.
Głos żeński: Czy panowie jeszcze chcą czegoś od nas?
Tusk: No tak. Eszge szege, ferenczwaros, peszt i buda, znaczy się, może lepiej, jak pan minister wszystko powie...
Żurek: Eszge szege, tokaj dobre, Ferenc Molnar i te sprawy. Szukamy człowieka.
Głos żeński: Nazwisko?
Żurek: Żurek. Takie leczo, tylko...
Tusk: ... bez jaj.
Żurek: Ale ja mówię poważnie!
Tusk: Ja też mówię poważnie. Żresz na filmiku sam siebie bez jaj...
Żurek: Może nie teraz, dobrze? Próbuję załatwić ważną sprawę.
Tusk: G...wno załatwisz. Prędzej dwudziestą nieruchomość...
Żurek: Eszge szege, proszę pani, ja tokaj, ty tokaj, ja nie jestem niczyj lokaj. Czy jest u was Ziobro?
Głos żeński: U mnie osobiście?
Tusk: Dokładnie?
Głos żeński: No, jakieś żebro mam. Nawet kilka. Czy panowie coś pili?
Tusk: Ja gorący kubek.
Żurek: A co konkretnie?
Tusk: Zgadnij.
Żurek: To co z tym Ziobrą?
Tusk: Jak to co? Albo w areszcie, albo w Budapeszcie.
Żurek: Tak brzmi wyrok? Prawomocny?
Tusk: A co, ja jestem jakiś niezawisły? Niech to ktoś tuleją dokręci.
Głos żeński: To może panowie zadzwonią bezpośrednio?
Tusk: Bezpośrednio gdzie?
Głos żeński: No, na Węgry.
Żurek: A gdzie my dzwonimy?
Głos żeński: Do ambasady węgierskiej w Warszawie. Ale ja już mogę podać numer.
Żurek: Do kogo?
Tusk: Do Ziobry, baranie!
Głos żeński: Nie do Ziobry, tylko do pana Orbána...
Żurek: Do kogo?!
Tusk: To my chyba podziękujemy. Najwyraźniej zaszła pomyłka, eszge szege. Rozłącz się, Waldemarze...
Żurek: Tak, tak, pomyłka. Eszge szege, tokaj do szklanki i Węgier, brat Hanki. Przepraszam, ale mam drugi telefon...
Tusk: Kto dzwoni?
Żurek: Rubcow.
Tusk: Nie chcę o niczym wiedzieć.
Żurek: Jasne, kierowniku. Kierownik się nie denerwuje... No co tam, Pawełku, dojechałeś bezpiecznie?

eprasa.pl be6914882e

Pożegnanie z „Sejmfliksem”?

Hołownia schodzi z fotela marszałka, ale chyba jeszcze nie z planu

Już drugi tydzień z rzędu Szymon Hołownia żegna się z fotelem marszałka Sejmu. I choć te pożegnania zaczynają przypominać koncerty zespołów, które od dziesięciu lat grają „ostatnią trasę”, wygląda na to, że faktycznie nadchodzi kres jego dwuletniej kadencji. Hołownia oficjalnie podpisał rezygnację z funkcji marszałka. Ale – jak to w dobrych serialach bywa – zakończenie nie oznacza końca. Lider Polski 2050 zdążył już ogłosić, że jeśli zostanie zgłoszony na wicemarszałka, „chętnie podejmie się tej funkcji”. Wygląda więc na to, że Hołownia nie tyle „odchodzi”, ile raczej „zmienia odcinek”. „Sejmflix” trwa dalej, tylko rola trochę mniejsza, może mniej czasu ekranowego, ale nadal w czołówce obsady. Chyba że przeniesie się do ONZ, ale wydaje się, że nawet on w to nie wierzy.

Żegnając się z posłami na sali plenarnej, ustępujący marszałek oświadczył: „Przepraszam za suchary”. Faktycznie, niektórzy przez dwa lata zdołali się zmęczyć jego komentarzami do wszystkiego. Niektórzy żartują, że wprowadził do Sejmu nowy gatunek politycznej mowy: „suchary parlamentarne z elementami powagi”.

Rezygnując ze stanowiska, Hołownia podkreślił, że dokładnie 13 listopada minęły dwa lata odkąd posłowie powierzyli mu funkcję marszałka. „Staję przed państwem w roli marszałka po raz ostatni – mówił na konferencji z powagą i łezką w oku, podpisując, zgodnie z umową koalicyjną, rezygnację. Dodał też, że jego celem zawsze była stabilność państwa – „nie tej czy innej koalicji, ale Polski składającej się z różnych nas”.

To był Hołownia w pigułce: trochę powagi, trochę kaznodziejskiej nuty, trochę dziennikarskiego show. Przez dwa lata przewodniczył 43 posiedzeniom Sejmu, które trwały łącznie 131 dni i zaowocowały uchwaleniem 337 ustaw, choć w większości były to nowelizacje.

Na koniec urzędowania Hołownia przedstawił raport „Sejm bez barierek” – podsumowanie działań na rzecz otwartości i dostępności parlamentu. Usunięcie fizycznych barierek sprzed Sejmu miało być znakiem, że polityka nie jest twierdzą, tylko wspólną przestrzenią obywateli. Niestety podczas protestów barierki wracały szybciej, niż zdążono je wynieść.

Hołownia zawsze starał się łączyć powagę urzędu z ideą nowoczesnej komunikacji. Za jego kadencji kanał Sejmu na YouTube stał się jednym z najbardziej popularnych źródeł informacji politycznej w kraju. Komentatorzy żartowali, że to już nie Sejm, a „Sejmflix” – z transmisjami pełnymi napięcia, zwrotów akcji i nieoczekiwanych wystąpień. Jedni oglądali dla rozrywki, inni – dla edukacji, a jeszcze inni, bo naprawdę chcieli wiedzieć, co się tam znowu dzieje.



Hołownia jako marszałek dzielił Polaków niemal równo – według badań IBRiS ok. 45 proc. respondentów oceniło jego pracę dobrze, a niemal tyle samo źle. I choć trudno wskazać marszałka, który kiedykolwiek zadowoliłby wszystkich, Hołownia miał coś, co wyróżniało go na tle poprzedników: styl. Mówił spokojniej, częściej tłumaczył decyzje, potrafił nawet przerywać poselskie awantury w sposób, który bardziej przypominał prowadzenie programu publicystycznego niż zarządzanie izbą niższą parlamentu.

Teraz, po dwóch latach, oddaje fotel Włodzimierzowi Czarzastemu. I choć Czarzasty to postać o zupełnie innym temperamencie, Hołownia nie zamierza zniknąć ze sceny politycznej. Wręcz przeciwnie – jego deklaracja gotowości do objęcia funkcji wicemarszałka pokazuje, że nie chce wyjść z politycznego centrum dowodzenia, tylko lekko się przesiąść. Jak sam mógłby to ująć: „Zmiana miejsca, ale nie misji”.

Czy Szymon Hołownia naprawdę odchodzi? Raczej robi przerwę na reklamy. Bo jeśli ostatnie dwa lata coś pokazały, to tyle, że polityka w jego wydaniu ma więcej wspólnego z telewizją, niż chcieliby przyznać jego przeciwnicy. A on sam – jak na dobrego prowadzącego przystało – nigdy nie kończy programu bez słów: „Do zobaczenia w kolejnym odcinku”.

Dorota Łosiewicz



Włochy

Ludzie jak zwierzyna łowna

Prokuratura w Mediolanie wszczęła śledztwo w sprawie „weekendowych snajperów", czyli bogatych turystów z Zachodu, którzy podczas wojny domowej w byłej Jugosławii wyruszali w latach 1993–1995 na „safari", zabijając cywilów w oblężonym Sarajewie.

O sprawie było głośno od lat. Po raz pierwszy wspomniał o niej dziennik „Corriere della Sera" w 1995 r. Potem pisał o tym w 2014 r. włoski dziennikarz Luca Leone w swej książce „Bękarty z Sarajewa". W końcu w 2022 r. słoweński reżyser Miran Zupanič nakręcił na ten temat film dokumentalny pt. „Sarajevo Safari". Występują w nim naoczni świadkowie tamtych wydarzeń. Opowiadają o obcokrajowcach z wyższych sfer, którzy przylatywali samolotami czarterowymi z Triestu do Belgradu, skąd byli transportowani na wzgórza wokół Sarajewa i ze specjalnych „ambon dla myśliwych", używając karabinów snajperskich, strzelali do cywilów, aby poczuć skok adrenaliny i dreszczyk emocji. Istniało swoiste „biuro podróży", które organizowało takie wyprawy. Cena „usługi" zależała od wieku ofiary: najwięcej płacono za zabicie dziecka, najmniej za starca.

Włoski dziennikarz Ezio Gavazzeni na podstawie wielu relacji zrekonstruował przebieg tej straszliwej zbrodni. Z jego ustaleń wynika, że wśród „weekendowych kilerów" byli m.in. przybysze ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Rosji i Włoch. W związku z tym reporter złożył doniesienie do prokuratury w Mediolanie, dołączając materiały zebrane podczas dwóch lat dziennikarskiego śledztwa. W odpowiedzi prokurator Alessandro Gobbis wszczął dochodzenie, aby ustalić tożsamość obywateli Włoch, którzy brali udział w koszmarnym procederze.

Cała ta upiorna sprawa przypomina scenariusze filmów, takich jak „Igrzyska śmierci" czy „Squid Game". Różnica polega na tym, że w Sarajewie „usługobiorca" sam zamieniał się w egzekutora, naciskając spust i oddając śmiertelny strzał.



Niemcy

Tęsknota za Merkel

Większość Niemców pesymistycznie patrzy w przyszłość. Tak wynika z badania Deutschlandtrend, przeprowadzonego w listopadzie przez instytut Infratest Dimap na zlecenie ARD oraz dziennika „Die Welt".

Aż 58 proc. ankietowanych ocenia pozycję Niemiec na arenie międzynarodowej jako niepewną. Tylko 38 proc. jest dobrej myśli, co stanowi spadek o 36 pp. w porównaniu ze styczniem 2015 r. Podobne wyniki dotyczą oceny pozycji gospodarczej Niemiec. Zaledwie 29 proc. ankietowanych twierdzi, że jest ona stabilna (spadek o 56 pp.), a 69 proc. uważa ją za „bardzo" lub „raczej" niepewną. Jedynie 26 proc. ankietowanych sądzi dziś, że Niemcy to kraj stabilny społecznie, a prawie połowa obywateli – 48 proc. – czuje się nieswojo w miejscach publicznych: na ulicach, w parkach i środkach transportu. 10 lat temu ten odsetek był o połowę niższy. Wśród kobiet aż 53 proc. deklaruje poczucie zagrożenia.

Jednocześnie 73 proc. ankietowanych uważa, że obecna koalicja rządząca CDU i SPD nie rozwiąże problemów Niemiec. Zadowolonych z pracy rządu jest zaledwie 22 proc. respondentów, a z samego kanclerza Friedricha Merza – tylko 26 proc. To gorszy wynik niż osiągnął Olaf Scholz po pół roku na urzędzie kanclerskim. Ogromną popularnością cieszy się za to była kanclerz Angela Merkel. Jak wynika z badania instytutu Civey na zlecenie grupy medialnej Funke, co czwarty Niemiec marzy o powrocie „Mutti" na czoło rządu i państwa. Merkel cieszy się największą popularnością wśród młodych, w wieku od 18 do 29 lat. W tej grupie wiekowej co trzecia osoba stwierdziła, że tęskni za byłą kanclerz.

Według tygodnika „Der Spiegel" Niemcy nie tyle chcieliby powrotu Merkel, ile jej „tonu, stylu i ciepła". Jak twierdzi pismo, na tym tle rozwinął się nawet osobliwy kult byłej kanclerz. „Przy każdym jej publicznym wystąpieniu setki ludzi czeka na nią niczym na niemiecką królową matkę" – czytamy. „Merkel reprezentuje dla nich wszystko, czego im brakuje u Merza: umiarkowanie, rozsądek, wiarygodność, empatię". Nawet ci, którzy nigdy na nią nie głosowali, uważają teraz, że dobrze sobie radziła przez 16 lat urzędowania.

Im dalej epoka Angeli Merkel odchodzi w przeszłość, tym mocniej jej obraz jest oderwany od rzeczywistych osiągnięć politycznych byłej kanclerz. Niemcy tęsknią za czasami, gdy do kraju płynął tani gaz z Rosji, napędzając niemiecki eksport. Był to okres stabilności, który raczej już nie wróci. M.in. z powodu błędów, które popełniła, ale które Niemcy ewidentnie są gotowi jej wybaczyć.

Aleksandra Rybińska

Fot. Andrzej Skwarczyński, Shutterstock x2

eprasa.pl be6914882e

Meksyk



Pani prezydent ofiarą napastowania

Prezydent Meksyku Claudia Sheinbaum [na zdj.] zapowiedziała złożenie skargi przeciw młodemu mężczyźnie, który próbował ją objąć i pocałować w trakcie jednego ze spotkań z mieszkańcami stolicy.

Do incydentu doszło w centrum miasta, między położonymi w niedużej odległości od siebie pałacem prezydenckim a Ministerstwem Kultury. Urzędująca prezydent postanowiła przebyć ten dystans pieszo, spotykając się przy okazji z mieszkańcami miasta, i to wówczas 33-latek – jak informowały media, pijany, a być może odurzony – podszedł do Claudii Sheinbaum i próbował ją objąć.

Skarga ma być początkiem kampanii wykorzenienia kultury maczyzmu i traktowania kobiet w kategoriach zdobyczy seksualnych. „Jeśli robią coś takiego prezydentowi, to co się dzieje ze wszystkimi młodymi kobietami w naszym kraju?" – zapytała Sheinbaum, zapowiadając kampanię na temat szacunku dla kobiet. Problem jest poważny, bo w Meksyku każdego roku zgłaszanych jest ponad 330 tys. przestępstw seksualnych, a ich rzeczywista liczba pozostaje wielokrotnie wyższa. Napastowane kobiety stają się też ofiarami poważniejszych przestępstw – tylko w 2024 r. zamordowano ich 6,8 tys. Nieznany jest też los 3,8 tys. zaginionych.

Mimo to krytycy zarzucają Sheinbaum cyniczną grę polityczną. Ich zdaniem rozdmuchanie incydentu ma odwrócić uwagę opinii publicznej od sprawy Carlosa Manzy, gubernatora stanu Michoacán, zamordowanego niedawno przez kartele narkotykowe. Był on znany z polityki „zero tolerancji" wobec przestępczości narkotykowej i wielokrotnie prosił rząd Meksyku o wsparcie. Bez rezultatu, bo Sheinbaum jest z kolei zwolenniczką łagodniejszej polityki wobec karteli. Jej zdaniem wojna przeciw gangom nie jest najlepszym rozwiązaniem. W świetle tych interpretacji przedstawienie Sheinbaum jako ofiary przemocy na tle seksualnym ma wzbudzić wobec pani prezydent falę współczucia i odwieść przedstawicieli mediów od zadawania niewygodnych pytań, np. dlaczego odmówiła pomocy Carlosowi Manzy.

Marek Budzisz

Fot. Octavio Hoyos/Shutterstock.com

Park niepoprawny politycznie

RPA

Od upadku apartheidu w pierwszej połowie lat 90. w RPA systematycznie usuwa się z przestrzeni publicznej wszelkie pozostałości po afrykanerskiej przeszłości kraju. Najnowszym pomysłem jest przemianowanie słynnego na całym świecie Parku Narodowego Krugera.

Pod koniec XIX stulecia Paul Kruger był prezydentem Transwalu – burskiego państwa istniejącego do 1902 r. na terytorium obecnej RPA. Dla Afrykanerów, potomków holenderskich osadników z XVII w., Kruger jest bohaterem, który przewodził walce przeciw brytyjskiemu kolonializmowi. W 1926 r. nazwano na jego cześć położony przy granicy z Mozambikiem rezerwat dzikiej przyrody Sabi, który szybko stał się jedną z największych atrakcji turystycznych Południowej Afryki. Park Narodowy Krugera, w którym żyją słonie, lwy, hipopotamy, lamparty i wiele innych zwierząt, przyciąga prawie 1 mln turystów rocznie i jest perłą w koronie południowoafrykańskiej branży turystycznej.

„Jak możemy celebrować nasze dziedzictwo jako Południowi Afrykańczycy, skoro wciąż mamy piękne parki narodowe nazwane na cześć architekta apartheidu Paula Krugera?" – zapytał jeden z pomysłodawców zmiany nazwy parku, Rhulani Qhibi z radykalnego Ruchu Bojowników o Wolność Gospodarczą, formacji nawołującej m.in. do wywłaszczania białych farmerów. Natychmiast zaprotestowali biali Afrykanerzy, zwracając uwagę na to, że po pierwsze, Kruger nie był „architektem apartheidu", bo segregację rasową wprowadzono wiele lat po jego śmierci, a po drugie, że nazwa „Park Krugera" jest dziś światową marką i jej likwidacja doprowadzi do ograniczenia ruchu turystycznego i strat finansowych.

Na razie zmiana nazwy (jeszcze nie wiadomo na jaką) została przyjęta przez lokalny parlament prowincji Mpumalanga, gdzie znajduje się rezerwat, jednak aby weszła w życie, muszą ją zatwierdzić władze krajowe. Jak dotąd wiele podobnych decyzji zatwierdzano – zgodnie z polityką eliminowania białego dziedzictwa kraju. Usunięto m.in. wszelkie odniesienia do nazwiska byłego premiera Hendrika Verwoerda, uważanego za kluczową postać podczas wprowadzania apartheidu. Zmieniano również nazwy miast, np. Port Elisabeth, nazwane tak na cześć żony brytyjskiego urzędnika z XIX w., przemianowano na Gqeberha, a Koning Willemstad (od Wilhelma IV Orańskiego) nazywa się dziś Qonce. Trwa debata na przemianowaniem miasta Port Alfred, upamiętniającego drugiego syna królowej Wiktorii, i od dawna dyskutuje się nad zmianą nazwy całego kraju na Azanię. Niewykluczone więc, że Park Krugera – jako niepoprawna politycznie nazwa – również przejdzie do historii.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl be691e4b2e

Brukselska farsa. Prawica gasi zielony pożar, ale EPP wciąż gra w ciuciubabkę

No i proszę, w tym eurocyrku zwanym Parlamentem Europejskim 13 listopada wreszcie coś drgnęło. Za pakietem Omnibus I głosowało 382 eurodeputowanych, 249 było przeciw, natomiast 13 maruderów nie mogło się zdecydować, czy wolą biurokrację, czy rozsądek. A kto stał za tym cudem? Prawicowa koalicja – EPP zdecydowało się głosować z ECR, PfE i ESN – tymi „skrajnymi" frakcjami, które lewica chce izolować jak zarazę w swoim świętoszkowatym „kordonie sanitarnym". No to kordon został złamany



Wreszcie EPP, ta wieczna centrowa chorągiewka na wietrze, znalazła w sobie okruch zdrowego rozsądku i zagłosowała z prawdziwą prawicą. Oby ten przebłysk nie był jednorazowym kaprysem, bo inaczej wrócą do roli posłusznych piesków, merdających ogonami przed zielonymi oszołomami.

Czym jest Omnibus I, ten rzekomy „deregulacyjny potwór"? To propozycja z lutego 2025 r., upraszczająca dwie szalone pseudozielone dyrektywy – CSRD (raportowanie zrównoważonego rozwoju) i CSDDD (due diligence w łańcuchach dostaw). Regulacje zostały poluzowane i przynajmniej część firm – w tym małe i średnie – nie będzie już tonąć w morzu papierów, które rzekomo „ratują planetę", a naprawdę służą do karmienia brukselskich biurokratów. Raport Draghiego podkreślał przecież, że Europa przegrywa z Chinami i USA m.in. przez takie absurdy. To krok ku realnej konkurencyjności, nie ku ekodyktaturze, gdzie każde kichnięcie fabryki musi być raportowane w trzech egzemplarzach.

Lewica i zieloni? Och, ich lamenty to czysta poezja hipokryzji! WWF beczy – „Odwrót od klimatu i natury!" – jakby ich „zrównoważony rozwój" nie był maską dla korporacyjnej kapitulacji przed regulacjami, które duszą małe firmy. ActionAid biadoli o zdradzie kobiet i Globalnego Południa – złośliwie dodam, że to oni pchają absurdy, niszczące miejsca pracy w biedniejszych krajach, w tym u nas. A biznes? Związki przedsiębiorców i pracodawców klaszczą po wspólnej kampanii 21 organizacji: „Ulga dla przedsiębiorców!".

Wreszcie ktoś myśli o gospodarce, nie o marzeniach o zeroemisyjnym raju, gdzie wszyscy jeżdżą rowerami, a fabryki stoją puste.

Przełamanie kordonu to światełko w tunelu euroszaleństwa. Lewicowi puryści traktowali PfE i ESN jak trędowatych na balu elit – izolacja, bo „skrajni"! Dziś EPP tańczy z nimi tango deregulacji. Brawo! To sygnał dla suwerennych narodów – jest możliwe mniej Brukseli, więcej wolności. Polska z europosłami ECR ma tu swój udział – w końcu nasze głosy i namowy pchnęły Omnibus I ku uproszczeniom dla konkurencyjności.

A wpływ na polską gospodarkę? To jak łyk świeżego powietrza dla naszych MŚP, które dotąd dusiły się w brukselskich papierach! Polska, z tysiącami małych firm w przemyśle i usługach, zyska na redukcji obciążeń – eksperci podkreślają, że to klucz do wzrostu i innowacji. Niższe koszty raportowania to mniej biurokracji, więcej inwestycji, zwłaszcza w sektorach takich jak motoryzacja czy energetyka, gdzie zielone absurdy groziły zapaścią. Omnibus I osłabia ekomacki, dając polskim przedsiębiorcom szansę na konkurencję z Azją, nie na bankructwo. Wreszcie ulga dla naszych „silników wzrostu" – mniej regulacji to recepta na konkurencyjność!

Ale uwaga! Ta sama EPP w głosowaniu nad redukcją emisji na 2040 r. pokazała, że rozsądek ma wybiórczy. Poparli szalone 90 proc. redukcji, co zrujnuje przemysł, w tym polski węgiel i fabryki. Tu lewica triumfuje: „90 proc. do 2040!" – a my zapłacimy rachunki za ich histerię. Koledzy z EPP, obudźcie się na dobre, zanim zielony Frankenstein pożre Europę, w tym naszą gospodarkę!

Czy to rewolucja? Omnibus I to test – jeśli trilogi pójdą tym tropem, prawica zbuduje większość. Nadzieja? Tak, ale życzliwie przestrzegam posłów z EPP – nie wracajcie do roli eunuchów w haremie euroelit. Polska i Europa potrzebują konserwatywnej furii, nie ekobzdur. Czas na więcej deregulacji i zdrowego rozsądku!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl be6914882e

Zdrowy rozsądek uprowadzony



Marta Kaczyńska-Zielińska

Związek Radziecki upadł w 1991 r., ale cień globalnego komunizmu nigdy nie zniknął. Świat zachodni odetchnął z ulgą, ale komuniści, skrywając się za zasłoną „postępu", zinfiltrowali wiele instytucji i wykorzystują je do kształtowania światopoglądu społeczeństw. Nie ulega wątpliwości, że przytłaczająca większość instytucji kulturalnych i ośrodków akademickich w Europie i w USA została przejęta przez środowiska lewicowe. To nie był przypadek, ale wynik konsekwentnej realizacji planu „długiego marszu przez instytucje".

Kampania ta została zapoczątkowana pod koniec lat 60. XX w. przez niemieckiego aktywistę Rudiego Dutschkego, ucznia naukowca ze szkoły frankfurckiej Herberta Marcusego, który aprobował plan Dutschkego. Przed Marcusem był Antonio Gramsci (1891–1937).

Gramsci rozpoczął reinterpretację marksizmu, porzucając ostre hasła. „Nie ma sensu wygłaszać tyrad o »rewolucji«, »dyktaturze proletariatu« i »raju robotniczym«". Zamiast tego marksizm musiałby przybrać nowe oblicze i mówić o „konsensusie narodowym", „jedności narodowej" i „pacyfikacji narodowej". Brzmi znajomo? Do wprowadzenia niezbędnych zmian zamiast rewolucji zaplanował wykorzystanie procesu demokratycznego. Ale co by było potrzebne do reedukacji mas? Po pierwsze, promowano by i broniono by pluralizmu. Co więcej, marksiści połączyliby siły z innymi „uciskanymi" grupami – nawet jeśli nie podzielałyby one ideałów marksistowskich – aby stworzyć zjednoczoną koalicję wyborców. Po umocnieniu swojego partnerstwa „muszą włączyć się w każdą działalność obywatelską, kulturalną i polityczną w każdym narodzie, cierpliwie je zakwaszając tak gruntownie, jak zakwas zakwasza chleb".

Wrogiem Gramsciego nie był kapitalizm, ale chrześcijaństwo. W latach 30. XX w. uznał on, że społeczeństwo zachodnie jest głęboko religijne i jedynym sposobem na osiągnięcie rewolucji proletariackiej byłoby złamanie wiary mas zachodnich wyborców w chrześcijaństwo oraz wywodzący się z niego system moralny. „Aby zdobyć Zachód, marksiści muszą najpierw zdechrystianizować Zachód".

Jedną z głównych instytucji, które przejął „długi marsz", była edukacja. Stanowiła ona pierwszą na liście dyscyplin do zdobycia. Nie padł ani jeden strzał. Nie zostały stworzone obozy koncentracyjne. Miliony rodziców dobrowolnie posyłało swoje dzieci do publicznych szkół i na uniwersytety, które otwarcie wyrażały swoją wrogość wobec chrześcijaństwa. Przejęcie systemu edukacji trwa od dawna, ale nabrało tempa w latach 60. XX w., kiedy radykałowie zalali uniwersytety. Uczelnie wyższe kształcą obecnie miliony młodych ludzi, którzy mają wpływ na każdą sferę życia Amerykanów i Europejczyków. Dominują w nich lewicowcy. Osiągnięcie celu zajęło im dekady, ale się udało. Dewizą Harvardu z 1692 r. było: „Veritas Christo et Ecclesiae" („Prawda dla Chrystusa i Kościoła"), a obecne hasło brzmi: „Veritas", czyli „Prawda", ale zgodna z definicją zarządzających tą wciąż jedną najbardziej prestiżowych uczelni na świecie.

Współcześni lewacy podobnie jak Marcuse nie mają nic konstruktywnego do zaoferowania w zamian za to, co chcieliby zniszczyć. Długoterminową strategią jest więc kontrola. Ci, którzy się sprzeciwiają, nie będą tolerowani. Będą bezlitośnie atakowani. Ostatnią najbardziej znaną ofiarą stał się ogniskujący swoją działalność wśród młodzieży akademickiej chrześcijański działacz społeczny Charlie Kirk, ale w wielu zachodnich państwach zainfekowanych neoliberalną ideologią ludzie wyznający konserwatywne wartości są pozbawiani wolności. Najnowszym dowodem na siłę oddziaływania i skuteczność „marszu przez instytucje", i chaosu, który on wprowadza, jest Nowy Jork, dwie dekady temu naznaczony islamskim zamachem na World Trade Center. Ta metropolia wybrała sobie na burmistrza radykalnie lewicującego muzułmanina głoszącego komunizujące hasła, proponującego mieszkańcom m.in. regulowane ceny w sklepach spożywczych, zamrożenie czynszów oraz wiele świadczeń, o których z góry wiadomo, że nie będą miały szansy się utrzymać.

REKLAMA



24/1025/F

eprasa.pl be6914882e



Walizka Noemi Górny

wiolonczelistki zespołu SŁOWODAJĘ

Moje podróże mogę podzielić na rodzinne, kulinarne, artystyczne, a ostatnio... matrymonialne. Dwie pierwsze łączą się ze sobą, ponieważ odwiedzając bliskich na Zakarpaciu, a także na Węgrzech, we Włoszech i Francji, mogłam wspólnie z moją siostrą Kamilą poznać od kuchni kulinarną kulturę danych krajów, co zaowocowało naszą wspólną książką z przepisami. Artystyczne wyjazdy po Polsce i za granicę to z kolei trasy koncertowe zespołu SŁOWODAJĘ, w którym gram na wiolonczeli. Występowaliśmy w wielu miastach, m.in. dwa razy na Slot Art Festival w Lubiążu. Wygraliśmy też festiwal YAPA, najstarszy przegląd piosenki w Łodzi. By podszlifować swój węgierski, byłam na rocznym stypendium na Węgrzech, dzięki czemu nawiązałam dużo nowych przyjaźni. Podróże matrymonialne wiążą się natomiast z moim narzeczonym, który jest Włochem. Przygotowania do ślubu, który odbędzie się w przyszłym roku, wymagają licznych odwiedzin naszych rodzin.





WIOLONCZELA

Towarzyszka moich wielu podróży, ponieważ często wyjeżdżam z nią na koncerty. Na wiolonczeli gram od pierwszej klasy szkoły podstawowej.



PŁYTA SŁOWODAJĘ

Gramy ponad pięciu lat i tworzymy oryginalną, autorską muzykę. W skład zespołu, prócz wiolonczeli, wchodzą: Katarzyna Jankowska (główny wokal, piano), Lucyna Malik (skrzypce, chórki), Antonina Bartyś (altówka, ukulele, chórki) i Jan Walewski (perkusja).





eprasa.pl be6914882e





SŁUCHAWKI

Szczególnie przydają mi się podczas lotu samolotem. Ten model pozwala na wygłuszenie hałasu otoczenia, dzięki czemu mogę się wyciszyć i zdrzemnąć.



TERMOS

Zawsze mam ze sobą kawę lub herbatę. Polecam herbatę Powitanie Słońca, łączącą w sobie trzy popularne rodzaje zielonej herbaty: Sencha, Chun Mee oraz Bancha.



LEKTURA

Teraz czytam „Lamparta", powieści włoskiego pisarza Giuseppego Tomassa di Lampeudusy, która opowiada o schyłku sycylijskiej arystokracji w czasach zjednoczenia Włoch.



ZESZYT

Kolekcjonuję w nim pomysły na teksty do nowych piosenek. Ponieważ natchnienie bywa ulotne, zeszyt w podróży jest obowiązkowy.



APARAT ANALOGOWY

Trudno mi podróżować z telefonem w dłoni. Ciągłe powiadomienia i chęć robienia zdjęć co chwilę potrafią rozproszyć. Dlatego często sięgam po aparat analogowy – mam wtedy ograniczoną liczbę klatek, a efekty zobaczę dopiero po powrocie i wywołaniu filmu. Dzięki temu mogę się skupić na samej podróży.

OKULARY

Okulary przeciwsłoneczne, których nawet w słoneczne dni używam jako opaski na włosy.





PRZEKĄSKA

Ponieważ mam nietolerancję żywieniową na gluten, muszę mieć pod ręką taką przekąskę. Firma Bezgluten robi m.in. takie czekoladowe przysmaki, dzięki którym nie czuję, że jestem na diecie eliminacyjnej.



MAPA

W każdym mieście, które odwiedzam, korzystam z tradycyjnej, papierowej mapy. Ponieważ mam dobry zmysł orientacji w terenie, z mapą poruszam się nie mniej sprawnie niż osoby przyklejone nosami do telefonów i korzystające z Google Maps. Ta wymiętolona mapa jest z Barcelony.

„BEZGLUTENOWE PODRÓŻE. CIASTA I DESERY"

Podglądanie z siostrą sztuki kulinarnej w kilku krajach zainspirowało nas do napisania książki. Ponieważ obie mamy nietolerancję na gluten, a uwielbiamy słodycze, nasze przepisy koncentrują się na bezglutenowych ciastach i deserach. Można je też poznać na naszym blogu na instagramie @bezglutenoweprzepisy i na stronie www.kontynentsmaku.pl.





KOSMETYCZKI

W małej mam wszystko: perfumy, chusteczki mokre i te do nosa, płyn do dezynfekcji rąk, nić dentystyczną, herbaty w saszetkach, lusterko, plastry i bandaż, który jest mi niezbędny. Kiedyś w trakcie jednej podróży skręciłam obie kostki w odstępie trzech dni. Z kolei w dużej kosmetyczce trzymam kosmetyki do pielęgnacji twarzy.



RÓŻANIEC

Zawsze mam go w swojej torebce. Dzięki tej modlitwie dzień układa się zupełnie inaczej.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Noemi Górny

eprasa.pl be6914882e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Między Nowym Jorkiem a starym Kremlem



Jan Pietrzak

Nie wypada się wtrącać w wewnętrzne sprawy naszego sojusznika, lecz delikatnie można chyba zauważyć, że wybór muzułmanina na burmistrza Nowego Jorku robi wrażenie. Zohran Mamdani to zapewne szczery demokrata, sprawdzony nowojorczyk i formalnie wszystko jest OK. Ciekawe, jak skwituje ten wybór prezydent Trump w kontekście swego ważnego hasła: „Make America Great Again". Czy da się to pogodzić z kalifatem i szariatem? Przy czym nie sądzę, byśmy musieli się martwić o Amerykę, ale zagwozdka jest. Analogia może naciągana, lecz wyobraźcie sobie Niemca prezydentem Warszawy! Warszawiacy by się raczej nie cieszyli. Ale to mało prawdopodobne spekulacje.

Dużo bardziej niepokojące są mocne naciski na wpisanie do strefy euro naszej waluty, tradycyjnej złotówki. W tej całej katastrofie finansowej państwa polskiego niesamowity prezes Glapiński potrafił uzbierać na koncie NBP 520 t złota. Niemcy pogrążone w groźnej recesji – dodajmy, że na własne życzenie – mają wyraźną chrapkę, by przywłaszczyć sobie tę złotą fortunę, oczywiście pod przykrywką brukselskich przepisów i różnych oszukańczych sztuczek. A to praworządność, a to ETS, a to węglowy ślad, Zielony Ład... Zawsze jakiś hak się znajdzie, by okraść Polskę. Doświadczyliśmy już tylu przypadków, że pora powiedzieć: „Basta!".

Prawdopodobnie nie mamy zbyt kompetentnych dyplomatów... Albo przeciwnie – mamy dyplomatów zbyt uzależnionych od obcych służb. Gdyby reprezentowali nas uczciwi, odpowiedzialni ambasadorowie, pewnie by było lepiej... A walka z Polską trwa na wielu frontach.

Przykładowo rekomendowany przez Tuska psychiatra Klich, kierownik placówki w USA, sam raczej nie zejdzie z powierzonego mu posterunku. To on jako minister wojskowości oczyścił wschodnią Polskę z naszych garnizonów. To on w ciągu jednego dnia przerobił wojskowy samolot Tu-154 na cywilny. Dodajmy – nie bez udziału zwierzchników. Jak takiego specjalistę mają traktować rządy obcych państw?

Problem może być głębszy. Obecny rząd ma niezwykle krótką ławkę z zasobami personalnym? Skąd ma brać ludzi na ambasadorów, jeżeli na ministrów brakuje, a poza tym od lat żaden ochotnik nie ukończył sławnej uczelni MGIMO w Moskwie.

Skoro felietonowe gawędzenie doprowadziło mnie do Moskwy, należy odnotować sytuację Ławrowa, który popadł w niełaskę dworu. Ten przypadek może zawdzięczyć na losie „naszego" Sikorskiego, bo panowie byli serdecznie skumplowani. A bez wicepremiera Sikorskiego premier może sobie nie poradzić i co z nami będzie?

No, ale bywało gorzej na Kremlu. Pamiętam, jak puszczałem w kabarecie informację, że rządzi Rosją półtora pana: Lenin wiecznie żywy i półżywy Breżniew. A pamiętacie, dlaczego zmarł Breżniew? Dostał zawału, kiedy się dowiedział, że jego syn zwiał z domu starców.

„Wakacje relokacyjne"



Samuel Pereira

11 listopada premier Donald Tusk ogłosił wielkie zwycięstwo: „Polska nie będzie przyjmować migrantów ani płacić w ramach paktu migracyjnego. Robimy, nie gadamy!". Politycy koalicji 13 grudnia zaczęli powielać przekaz, podobnie jak rządowe i prorządowe media. Jarosław Kaczyński odpowiedział trzeźwo: „Pakt obowiązuje, a my jesteśmy zdani na łaskę Brukseli. Tak będzie co roku". I rzeczywiście – wystarczy zajrzeć do konkretnego komunikatu Komisji Europejskiej. Sześć państw, w tym Polska, „może wnioskować" o częściowe lub pełne odliczenie składki solidarnościowej. „Może wnioskować" – nic więcej. I tylko na rok. Żadnego trwałego wyłączenia, żadnego „wybicia zębów" paktowi. Przeciwnie: w dokumencie wprost zapowiedziano uruchomienie nowego mechanizmu solidarności, dokładnie tego, przeciw któremu PiS organizowało referendum, a z którego Tusk drwił z lubością i „unieważniał".

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" premier żali się z kolei, że nie potrafi się chwalić. Padają słynne słowa o „trąbie", którą kiedyś dostawał za przechwałki. Problem w tym, że fakty nie potwierdzają żadnych sukcesów, którymi rzekomo miałby się krępować. Bezrobocie? Rosło piąty miesiąc z rzędu – o 103 tys. rok do roku (dane z resortu pracy). Inflacja? Spadała już przed zmianą władzy. Tarcza Wschód? PR-owy listek figowy dla interesów niemieckiego przemysłu. A mimo to premier świętuje... osiągnięcia poprzedników, pokazując w spocie rocznicowym Kolej Plus, 800+ czy inwestycje wiatrowe na Bałtyku (tak, tego znienawidzonego Daniela Obajtka, na którego teraz poluje).

Tymczasem w wojnie z prezydentem Tusk posuwa się do kroków groźnych dla bezpieczeństwa państwa: zakazuje szefom służb spotkań z Karolem Nawrockim, choć prawo mówi jasno – to prezydent RP jest gospodarzem wymiany informacji ABW i AW. Wykrzywiona interpretacja profesorów na usługach rządu nie zmieni faktu, że to premier łamie ustawę. Podobnie jak w sprawie wysyłania swoich nominatów do kierowania polskimi ambasadami za granicą bez zgody prezydenta. Na złość Nawrockiemu zepsuję polskie państwo.

Fot. Konrad Kosycarz/KFP

eprasa.pl be6914882e

Zamiast solidarności – kapitulacja



Kiedy Tusk ogłasza, że Polska nie będzie objęta paktem migracyjnym, trzeba jasno powiedzieć, że ta narracja rozmija się z faktami. Nawet tropiący fake newsy Demagog, zazwyczaj powściągliwy w ocenach, uznał te deklaracje premiera za fałsz i manipulację. Tymczasem regulacje wchodzą w życie, a Polska wcale nie jest z nich automatycznie wyłączona. Może co najwyżej wnioskować o derogację, a jej przyznanie będzie albo nie będzie faktem.

Lewicowo-liberalna większość brukselskich elit przedstawia pakt jako wyraz „solidarności". W praktyce przypomina to raczej administracyjne pogodzenie się z własną bezradnością. Zamiast zmierzyć się z przyczynami kryzysu – niestabilnością na obrzeżach Europy, nieskuteczną ochroną granic, brakiem realnych procedur powrotowych – Bruksela proponuje system zarządzania skutkami. Innymi słowy: skoro nie potrafimy rozwiązać kryzysu, nauczmy się w nim funkcjonować i jakoś to będzie.

To nie jest odpowiedź, której potrzebuje Europa. Kontynent, który przez dekady budował wspólne instytucje i standardy prawne w imię „europejskich" wartości dla gospodarczego dobra i bezpieczeństwa Starego Kontynentu, dziś zdaje się akceptować politykę faktów dokonanych – napływ nieregulowanej migracji, przeciekające granice, strach przed słowem „deportacja". Takie podejście to nie akt solidarności, lecz kapitulacja wobec problemu, który wymaga twardej polityki i spójnej strategii, a nie kolejnych formularzy i mechanizmów redystrybucji.

Niepokoi również sposób, w jaki w Polsce przedstawia się skutki paktu. Jeśli Tusk przed wyborami ogłosi „wywalczone zwolnienie", a po wyborach okaże się ono tymczasowe lub warunkowe, wówczas presja na przyjmowanie imigrantów wróci z podwójną siłą. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A odmowa może się wiązać z kosztownymi sankcjami. Właśnie dlatego stwierdzenie, że pakt migracyjny nie obowiązuje Polski, jest zwyczajnym kłamstwem i manipulacją.

Debata o migracji wymaga bezwzględnej szczerości. Zamiast rozwiązań dostajemy oswojony chaos, a cenę za te złudzenia zapłacą nasze dzieci i wnuki, kiedy nie będą gospodarzami w jeszcze naszej Europie.

Arkadiusz Mularczyk



Z rodziną, z duchami, z domem

z Emi Buchwald, reżyserką i scenarzystką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Gratuluję kolejnej nagrody za głośny już film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej". Tym razem od ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

Emi Buchwald: Bardzo dziękuję. Cieszę się, że nasz film wciąż jest w pamięci tych, którzy widzieli go na festiwalu w Gdyni i tych, którzy czekają na jego pojawienie się w kinach.

Kiedy to się wydarzy?

To bardzo częste pytanie. Jesteśmy w trakcie ustalania daty. Wstępny termin to przełom lutego i marca przyszłego roku.

Na jubileuszowym 50. FPFF odebrała pani wyjątkową statuetkę za reżyserię, a także wyróżnienie od dziennikarzy oraz nagrodę Złoty Pazur im. Andrzeja Żuławskiego.

Ta ostatnia docenia odwagę oraz inne spojrzenie na kino – eksperymentujące, może trochę dziwne. Cieszy mnie ta charakterystyka, bo właśnie takie kino chcę robić. Była też nagroda reżyserska, i to za debiut, a to się nie zdarza. Doceniam ją tym bardziej, że dużo czasu spędziłam na uczeniu się warsztatu i zbieraniu reżyserskiego doświadczenia.

Przyjmując kolejne nagrody, nie zapomina pani o wspierających panią inspiratorach, czyli rodzeństwie. Czy kolejny projekt też będzie związany z rodziną?

I z rodziną, i z duchami, i z domem, ale będzie troszkę inny gatunkowo. Trzymajcie kciuki, żeby jak najszybciej powstał, żeby ta dynamika drugiego filmu (niestety zwykle opieszała) trochę przyspieszyła.

eprasa.pl be6914882e

TRENDY I OWĘDY

Certyfikat C-2

W radiowej Trójce w likwidacji pan doktor wysnuł teorię, że zwolennicy PiS i Konfederacji nie znają za dobrze języka polskiego. Są na tyle niegramotni, że nie zdaliby egzaminu, który powinni zdać cudzoziemcy.



Ryszard Makowski

To są testy certyfikatowe na różnych poziomach. Najwyższe to C-1 i C-2. Te testy wcale nie są łatwe. Dotykają różnych spraw. Można wysłuchać nagrania na temat religijności Polaków czy rozważać, z jakiego powodu nanotechnologia może być groźna. Fragment tekstu do przeczytania o znanej malarce: „Jest też o Stryjeńskiej drugi mit – wariatki, kobiety szalonej. Do dzisiaj krążą anegdoty: o tym, jak goniła po Zakopanem męża, Karola Stryjeńskiego, opętana myślą o jego zdradach, jak potłukła szyby w jego mieszkaniu, i o tym, że kiedy urodziły się jej bliźniaki Janek i Jacek, by móc pracować, zamykała ich w szufladzie". Na podstawie tego tekstu trzeba zaznaczyć właściwą odpowiedź. „Zofia Stryjeńska: a) była prekursorką ruchu sufrażystek, walczących o obywatelskie prawa kobiet, b) znacznie wyprzedzała swoją epokę poglądami, stylem życia i bycia, c) stworzyła zupełnie nowy styl w modzie". Obcokrajowiec może się zdziwić, gdzie trafił. Tym bardziej że człowiek ma wątpliwości, czy nie powinno być „zamykała je w szufladzie"?

Zastanawiająca natomiast jest teza pana doktora, że akurat „pisiory" czy zwolennicy Konfy nie daliby rady przejść tego testu. Lewacki „marsz przez instytucje" ma się dobrze na naszych uczelniach. Niestety obowiązujące tam brednie pokazują, że tacy naukowcy, jak choćby pan doktor, nie są w stanie zdać egzaminu z polskości.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR X 2, SHUTTERSTOCK/MARIUSZ SZCZYGIEŁ, FOTODAX, OSELOTE

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 20/1025/F

eprasa.pl be6914882e

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



Gry mundurowe Tuska

eprasa.pl be6914882e

Tę wojnę zaczął premier Donald Tusk. Gdyby nie on, Polacy w ogóle by nie wiedzieli, że jest jakiś problem na linii służby specjalne – zwierzchnik sił zbrojnych, czyli prezydent Karol Nawrocki. Cztery dni przed Świętem Niepodległości wzburzony Donald Tusk opublikował nagranie, na którym oskarżał prezydenta o zablokowanie promocji dla 136 przyszłych oficerów służb specjalnych: „Ci młodzi ludzie po studiach, po kursach oficerskich, idą tam nie dla kariery, to są patrioci. Nie dostaną tej promocji, nie wiem, dlaczego. Tym razem prezydent uznał, że nie podpisze tych promocji" – mówił wyraźnie pobudzony Tusk. I grzmiał: „Żeby być prezydentem, nie wystarczy wygrać wyborów".

Odpowiedź ze strony głowy państwa była szybka, mocna, ale wyraźnie spokojniejsza w formie. Nawrocki przypomniał, że Tusk cztery razy odwołał umówione spotkania prezydenta z szefami specsłużb. „Premier Donald Tusk podjął decyzję, że szefowie służb specjalnych mają zakaz spotykania się z prezydentem. Żeby być premierem, nie wystarczy wrzucanie postów na X. Trzeba jeszcze umieć rządzić i stawiać państwo ponad partyjne interesy" – mówił prezydent. I dodał: „Po raz kolejny premier wykorzystał służby specjalne w walce politycznej. W czasie, gdy za naszą wschodnią granicą trwa wojna, zdecydował, że prezydent – zwierzchnik sił zbrojnych – ma być pozbawiony dostępu do najważniejszych informacji o bezpieczeństwie państwie".

Dlaczego Donald Tusk wyciągnął ten temat? Jaka kalkulacja się za tym kryła? Wiadomo, że publiczny nacisk tego rodzaju jest całkowicie kontrskuteczny. Tusk jako doświadczony polityk wie, że zaatakowana druga strona nigdy nie spełni żądanego oczekiwania. Celem było uderzenie w popularność prezydenta – fenomen, który staje się kluczowym czynnikiem polskiej polityki. Nawrocki jest powszechnie odbierany jako człowiek o bardzo silnej osobowości. A jako prezydent zgodnie z konstytucją jest strażnikiem bezpieczeństwa i suwerenności kraju. Tusk postanowił uderzyć – zgodnie z podstawową zasadą marketingu politycznego – w najmocniejsze



PIOTR GURSZTYN

Od początku swojej prezydentury Karol Nawrocki jest odcięty od informacji dotyczących bezpieczeństwa Polski. Nie przekazują mu ich służby wywiadowcze ani formacje podległe MSWiA. To część wojny Donalda Tuska przeciw prezydentowi. Wygląda jednak na to, że premier przeliczył się w swoich kalkulacjach. Zaskoczona konfliktem opinia publiczna stanęła po stronie gowy państwa

strony obecnego prezydenta. Wpoić obywatelom przekaz, że to głowa państwa szkodzi bezpieczeństwu Polski.

Można przypuszczać, że zachętą do ataku było świeże powodzenie Donalda Tuska w sprawie ścigania Zbigniewa Ziobry. Pojawiające się w sieci analizy pokazują, że większość komentarzy internetowych była nieprzychylna Ziobrze. Tusk uznał zatem, że wygrał. Ta interpretacja zawiera jednak zasadniczy błąd. Owszem, Ziobro przegrał bitwę o sympatię większości opinii publicznej. Pod względem osobistego PR zaszkodził mu wyjazd na Węgry. Sam musi brać pod uwagę swój stan zdrowia i realne zagrożenie życia, ale większa część komentatorów patrzyła na niego jak na uczestnika walki politycznej, a nie chorą osobę. Jednak wizerunkowa przegrana Ziobry nie jest tożsama z tym, że Tusk wygrał w tamtym momencie bitwę o popularność. Na moment przeoczył, że pozostaje tym samym człowiekiem, nielubianym przez większość Polaków.

Sprawa Ziobry, a także działki wiązanej z CPK, niemal wprawiły obóz rządowy w euforię. „Koniec depresji demokratów" – jak napisano w popierającym rząd tygodniku. Optymizm okazał się przedwczesny. Trafnie to skomentował Krzysztof Bosak, polityk Konfederacji, który rzeczywiście ma bliskie kontakty z prezydentem Nawrockim (w odróżnieniu od niektórych swoich kolegów partyjnych, ocierających się o mitomanię): „Jeśli politycy z rządu myśleli, że ich antypaństwowe zagrywki pozostaną w ukryciu, to się pomylili. Tym razem nie trafili na profesora prawa i staroświeckiego inteligenta, który będzie zawsze robił dobrą minę do złej gry i da się upokarzać. Próba powtarzania starych sztuczek sprzed 15–20 lat będzie obracać się tym razem przeciw nim".

POGROM

Konfrontacja premiera z prezydentem skończyła się przegraną szefa rządu, co było widać niemal od razu. Niecałe dwa dni po wszczęciu akcji przez Tuska i kontrakcji Nawrockiego bilans stał się jasny. Pokazała to statystyka reakcji w internecie. Nagranie prezydenta, choć ukazało się kilka godzin później, miało 3,4 mln wyświetleń (stan na godz. 15.00 w niedzielę). Tusk miał tylko 1,6 mln wyświetleń i 2 tys. podań dalej, podczas gdy Nawrocki – trzy razy tyle tzw. retweetów. Premier kompletnie poległ także w kategorii polubień – dostał ich 9 tys. A prezydent 37 tys., czyli ponad cztery razy więcej.

Tusk musiał przyznać, że to był pogrom. Nie ukrywał przegranej, co jest bardzo rzadkie w polityce. Rozgoryczony zamieścił na platformie X wpis w płaczliwym tonie: „Wywiady ministrów z prezydenckiej kancelarii, filmik nagrany przez samego prezydenta z pokrętnym tłumaczeniem, użyteczni dziennikarze, setki postów pisowskich aparatczyków i tysiące botów zamiast podpisania oficerskich nominacji i zwykłego »przepraszam«". Żądanie przeprosin przedstawił też prezydent, ale tonem całkowicie odmiennym.

Dlaczego Donald Tusk w błyskawicznym tempie przegrał dość zawikłaną sprawę? Można postawić tezę o chęci

Fot. Filip Naumienko/REPORTER, Mircea Moira/Shutterstock.com

eprasa.pl be6914882e

Polaków, aby doszło do personalnej zmiany w polityce. To znaczący sygnał dla wszystkich partii. Tusk nie wychował następców. Młodsze pokolenie polityków KO ma ok. 50 lat i są to twarze znane od dawna. Na dodatek to osoby, takie jak Sławomir Nitras czy Barbara Nowacka, obciążone odpowiedzialnością za klęskę w wyborach prezydenckich. Pozostałe partie koalicyjne to albo polityczne zombie (PSL i Polska 2050), albo fundusz emerytalny, jak Lewica. Nikt nie wiąże z nimi nadziei na zmianę.

Naukę z tego powinno wyciągnąć też PiS. Karol Nawrocki jako nowa, świeża twarz jest uważany za przyszłość i nadzieję na lepszą Polskę. A np. wspomniany wyżej Ziobro – mimo że człowiek stosunkowo młody – płaci za to, że ćwierć wieku jest w polityce. Coś podobnego zdarzyło się w wyborach do europarlamentu, gdzie wyraźnie lepsze wyniki mieli młodsi kandydaci PiS. Partia Jarosława Kaczyńskiego stoi przed wyzwaniem, które sama sobie wyznaczyła, czyli próbą ponownego, trzeciego już zdobycia samodzielnej większości w Sejmie. Wygląda na to, że to zadanie trudne do wykonania bez daleko idących zmian w partii – czyli dość brutalnej przebudowy personalnej list wyborczych.

Tym bardziej staje się to konieczne, gdy obserwujemy skrajnie agresywne zachowanie Sławomira Mentzena, dającego jasne sygnały, że nie będzie żadnej koalicji z jego partią. Według danych cytowanych przez tygodnik „Polityka" 80 proc. internetowej aktywności oficjalnych kont Konfederacji to atak na PiS, a tylko 20 proc. to krytyka obecnej władzy. Coraz wyraźniej widać, że elektoraty obu partii przestają wierzyć w możliwość ich porozumienia. Co więcej, coraz bardziej nawzajem się nie lubią. To już nie są wzajemne ataki polityków obu partii, ale coraz bardziej gorący spór między ich wyborcami. A zatem wizje jakiejś koalicji PiS–Konfederacja można już uznać za mało realne.

Przy czym widać, że Mentzen swoimi furiackimi atakami (bo trudno inaczej nazwać jego oskarżenia o to, że winnym choroby nowotworowej Ziobry jest Kaczyński) też się zużywa. Nie jest już nową twarzą polskiej polityki. Pokazuje to wykres notowań Konfederacji – szczyt jej popularności przypadł w marcu br. z poparciem deklarowanym nawet przez 20 proc. ankietowanych. Od tamtej pory spadło ono do poziomu 14–15 proc. Czyli stagnacja, której początkiem są negatywnie oceniane przez wyborców prawicy zachowania Mentzena.

FAWORYT WOJSKA

Jest też drugi wymiar wojny wywołanej przez Donalda Tuska – kwestia, jak to zostanie odebrane przez wojsko i służby mundurowe. To grupa ważna także pod względem wyborczym – kilkaset tysięcy ludzi oraz ich rodziny. „Niech pan nie ściga się w sprawie wojska. Wojsko jest apolityczne, wojsko musi być sprawne, a nie nawrockie" – grzmiał lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Mówił to w kontekście kontrowersji wokół promocji dla oficerów specsłużb, co pokazuje, że Czarzasty nie bardzo rozumie, co się stało i nie odróżnia jednych formacji od drugich. Mówił bowiem o nominacjach generalskich, a z tymi akurat nie było żadnego problemu.

Po pierwsze, wojsko w swej masie nie utożsamia się ze sprawami funkcjonariuszy służb specjalnych. To sprawa abstrakcyjna dla większości żołnierzy. Po drugie, na ocenę działań premiera i prezydenta wpływa światopogląd i przekonania polityczne żołnierzy jako obywateli. W wojsku dominują poglądy prawicowe, co nie znaczy, że nie ma tam ludzi głosujących na Tuska i jego partię. Jest ich stosunkowo sporo wśród najwyższych szarż. Ale im niżej, tym bardziej dominuje prawica. A wiadomo, jaka jest proporcja liczbowa między generałami i pułkownikami a porucznikami, sierżantami, kapralami i szeregowymi.

1 czerwca 2025 r. wojsko w większości głosowało na Karola Nawrockiego. Widać to np. po wyniku głosowania w bazie wojskowej w miejscowości Nove Selo w Kosowie, gdzie stacjonuje 250 polskich żołnierzy w ramach misji KFOR. 74,4 proc. głosów padło tam na Nawrockiego. Podobne wyniki odnotowano w komisjach wyborczych na Podlasiu, gdzie na zaświadczenie głosowali pilnujący granicy z Białorusią żołnierze ze Zgrupowania Zadaniowego „Podlasie".

To, jaka atmosfera panowała wtedy wśród niższych szarż, oddaje anegdota z jednej z jednostek wojskowych. 1 czerwca z okazji Dnia Dziecka tak jak w wielu innych jednostkach odbywał się festyn dla najmłodszych. Po zakończeniu imprezy żołnierze, opuszczając koszary usłyszeli pouczenie od przełożonych, aby pamiętali o tym, że udział w wyborach jest ich obowiązkiem obywatelskim. W odpowiedzi zaczęły się żartobliwe przekomarzania. „Dowódco, a na kogo mamy głosować? – Przecież wiecie, że nie mogę tego wam powiedzieć. A zresztą swój rozum macie i wiecie, na kogo nie" – usłyszeli. Cała ta wymiana zrozumiałych dla jej uczestników niedopowiedzeń zakończyła się salwą śmiechu jako potwierdzeniem tego, że wojsko miało wtedy swojego faworyta. I nie był nim Rafał Trzaskowski.

PREZYDENT MIAŁ PRAWO

Wbrew argumentacji Donalda Tuska i koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka przepisy pokazują, że racja jest po stronie Karola Nawrockiego jako zwierzchnika sił zbrojnych. Ustawa o ABW i AW mówi: „Szefowie Agencji, każdy w zakresie swojej właściwości, przekazują niezwłocznie Prezydentowi Rzeczpospolitej Polskiej informacje, o których mowa w ust. 1, w każdym przypadku, kiedy Prezydent Rzeczpospolitej Polskiej tak zdecyduje". A wspomniany ust. 1 mówi o informacjach mogących mieć „znaczenie dla bezpieczeństwa i międzynarodowej pozycji Rzeczpospolitej Polskiej" (art. 18, pkt 2). Ustawa o SKW i SWW w art. 19 zawiera identycznie brzmiące zapisy.

Widać też, że szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz lawiruje w tej sprawie. Wprawdzie jako lojalny koalicjant zaznaczył swój krytyczny stosunek do kwestii promocji oficerów, ale od razu dodał, że w sprawach wojska „w żaden sposób nie mogę określić, że pan prezydent wykracza poza swoje kompetencje". Wicepremier nie ma powodów do skarg na rzekomą nieodpowiedzialność głowy państwa. Nominacje generalskie odbyły się bez najmniejszego problemu. Także ze strony Biura Bezpieczeństwa Narodowego słychać, że współpraca z Kosiniakiem-Kamyszem jest całkowicie poprawna.

eprasa.pl be6914882e

Ale też na tym tle odbija się postawa szarej eminencji w MON, czyli wiceministra Cezarego Tomczyka. On z kolei publicznie wypowiada się o prezydencie z wyraźną wrogością i całkowitym brakiem szacunku. W ustach Tomczyka jest to tylko „Nawrocki", a określenie „pan prezydent" chyba nigdy mu nie przeszło przez usta. To nie może się podobać wojsku, bo regulaminy WP wyraźnie mówią, komu jakie honory przysługują. A Tomczyk deprecjonuje zwierzchnika sił zbrojnych.

Dodajmy jeszcze kolejny, bardzo ważny czynnik. W tym samym czasie zapadły wyroki uniewinniające Władysława Frasyniuka i Piotra Zelta, którzy obrażali wojsko i Straż Graniczną. Żołnierze i funkcjonariusze dowiedzieli się, że sądy pozwalają nazywać ich psami, śmieciami, mordercami. Stanęły obrazy z 2021 r., gdy Tusk i KO atakowali żołnierzy i funkcjonariuszy. A trzeba pamiętać, że na granicy służyły i nadal służą tysiące żołnierzy. Mają powody, aby odbierać to osobiście.

„Jeśli jacyś celebryci obrażają polski mundur, używają słów, które nie powinny padać w przestrzeni publicznej, jeśli nawet polski sąd nie jest w stanie zareagować na to zgodnie z polską racją stanu, to ja jako prezydent Polski w imieniu narodu, który tu jest, chcę wam powiedzieć, że polscy żołnierze i polscy funkcjonariusze to świętość. Naród jest z wami i dziękujemy wam za to, że jesteście" – te słowa nie przypadkiem padły z ust Karola Nawrockiego 11 listopada nad Grobem Nieznanego Żołnierza. Wyroki sądów legalizujące obrażanie wojska i funkcjonariuszy były krytykowane przez licznych polityków prawicy, ale nie obozu rządzącego. Dlatego dzisiejsza troska premiera o dobro wojska i służb nie jest odbierana jako szczera.

ALERGIA NA MUNDUR?

Trudno się oprzeć wrażeniu, że Donald Tusk nie przepada za wojskiem i służbami mundurowymi. Bardzo rzadko jak na szefa rządu odwiedza żołnierzy i funkcjonariuszy. Nieczęsto się z nimi pokazuje, a jeśli się to dzieje, to nie wygląda na kogoś, kto dobrze się czuje w towarzystwie mundurowych. Ciąży mu nawet tak przyjemna przecież aktywność, jak obecność na uroczystościach rocznicowych. Nie uczestniczy ani nie pamięta o rocznicach mniejszej wagi. Ale nie ma go nawet na najważniejszych obchodach – nie było go 3 maja 2024 r., 11 listopada 2024 r., 15 sierpnia 2025 r. A w tym roku zamiast centralnych, państwowych uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza był na imprezie o nazwie Parada Niepodległości w Gdańsku, organizowanej przez lokalne Stowarzyszenie SUM.

> Tusk postanowił uderzyć – zgodnie z podstawową zasadą marketingu politycznego – w najmocniejsze strony obecnego prezydenta. Wpoić obywatelom przekaz, że to głowa państwa szkodzi bezpieczeństwu Polski. Poległ w tym starciu

Do tego dochodzi pamięć o poprzednich latach. Czasy, gdy szefem MON był Bogdan Klich, są w wojsku powszechnie uważane za najgorsze. Tysiące zawodowych szeregowych i podoficerów zostało *de facto* wyrzuconych ze służby, bo po przeprowadzonej wtedy redukcji armii zabrakło dla nich etatów. Następny minister z PO, Tomasz Siemoniak, nie zostawił po sobie aż tak złej pamięci, ale jego urzędowanie też nie było jakąś zauważalną zmianą na lepsze.

Przejęcie władzy przez PiS w 2015 r. przyniosło wiele pozytywnych zmian. Pierwszy był Antoni Macierewicz. Wprawdzie chaotyczny w swych metodach i czasem niezręczny, ale skutecznie odblokował rozwój armii. Znalazły się etaty i możliwości awansu. Nikt nie wyrzucał szeregowych i podoficerów po 12 latach, tak jak za Klicha i Siemoniaka. Macierewicz zdobył pieniądze na spore podwyżki wynagrodzeń. Stworzył Wojska Obrony Terytorialnej, które też stały się szansą na awans dla żołnierzy zawodowych.

Za Mariusza Błaszczaka nastąpiła prawdziwa rewolucja. Gigantyczny skok rozwojowy – jakościowy i ilościowy. A przy okazji wojsko widziało też agresywną i bezrefleksyjną krytykę ze strony ówczesnej opozycji. WOT miały być „mudżahedinami Macierewicza". A zakupy Błaszczaka – łącznie z supernowoczesnymi F-35, czołgami Abrams, K2, wyrzutniami Himars i K9 – niecelowe, bez sensu. Cała ta krytyka została negatywnie zweryfikowana przez późniejsze wydarzenia, zwłaszcza agresję Rosji na Ukrainę. Chyba w żadnej kwestii ówczesna opozycja nie miała racji. Po 13 grudnia 2023 r. „biedni ludzie szukający swojego miejsca" okazali się jednak narzędziem wojny hybrydowej. WOT zbierają pochwały obecnego szefa MON, który będąc w opozycji, chciał je likwidować. Lewica nie żąda już rezygnacji z zakupu F-35, aby za zaoszczędzone pieniądze budować przedszkola. Wszystkie programy uruchomione przez ministra Błaszczaka są kontynuowane. Nowa władza nie rozpoczęła żadnego własnego. Nie pojawił się ani jeden nowy pomysł, który można by było nazwać wartością dodaną.

Nikt, kto ma jakikolwiek kontakt z wojskiem (a także służbami mundurowymi), nie może powiedzieć, że coś działa lepiej niż za rządów PiS. Albo jest tak samo, albo gorzej.

W wojsku i służbach mundurowych są różni ludzie, głosują na wszystkie partie. Ale nie ma co ukrywać, że „osoby żołnierskie" (jak czasem w sarkastycznych żartach żołnierze sami drwią z lewicowej nowomowy) mają poglądy bardziej na prawo niż na lewo. Nawet centrum średnio im odpowiada. To ludzie świadomi. Wiedzieli na kogo oddać swój głos 1 czerwca. A jeszcze bardziej wiedzieli, na kogo nie oddawać. I dzisiaj nie ma najmniejszych danych, aby móc powiedzieć, że coś się zmieniło w tej kwestii.

eprasa.pl be6914882e



Włodzimierz Czarzasty bardzo chce zostać marszałkiem Sejmu, ale nie ma żadnych gwarancji, że zbierze w izbie niższej wymaganą większość

Kandydat fabrycznie wadliwy



STANISŁAW JANECKI

Włodzimierzowi Czarzastemu funkcja marszałka jest potrzebna z wielu powodów. Po pierwsze, chodzi o zatarcie komunistycznej przeszłości: Czarzasty wstąpił do PZPR w 1983 r., gdy znane już były różne zbrodnie partyjno-wojskowej junty odpowiedzialnej za stan wojenny, i był w niej do jej końca. Bycie marszałkiem Sejmu w 2025 r. (do jesieni 2027 r.) miałoby zregenerować życiorys i wyprać „czerwone" karty z biografii, skoro stanie się drugą osobą w państwie, i to w wyniku demokratycznego procesu.

W operacji „Marszałek" chodzi też o wymazanie jego udziału w aferze Rywina, bo przecież sejmowa komisja

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl be6914882e

śledcza umieściła go w „grupie trzymającej władzę", odpowiadającej za manipulowanie treścią ustawy o radiofonii i telewizji. Czarzasty może też chcieć przykryć prawdziwe powody interwencji antyterrorystów w 2007 r. w jego domu. Poza tym chce się wzmocnić przed wyborami na szefa Nowej Lewicy (będzie tylko jeden, a nie dwóch – jak obecnie) i po prostu je wygrać. Wreszcie chce utrzymać poparcie dla lewicy ponad progiem 5 proc.

Chyba najbardziej kłopotliwe dla Włodzimierza Czarzastego jest delegitymizowanie go przez wieloletniego lidera lewicy i byłego premiera Leszka Millera. „Nie ukrywam swojego krytycznego poglądu na temat pana Czarzastego. Nigdy nie był marszałkiem, więc trudno mi powiedzieć, z jakich wzorców będzie chciał korzystać. Natomiast ja nie cofam swoich wcześniejszych ocen, że to jest polityk, który zniszczył Sojusz Lewicy Demokratycznej. Wbrew statutowi rozwiązał go i sprywatyzował tę obecną partię. Wolałbym, żeby nie był drugą osobą w państwie" – powiedział 10 listopada 2025 r. w telewizji Republika były premier i przewodniczący SLD. I dodał: „Taka zmiana w połowie kadencji to zapowiedź pewnej reorganizacji, być może nawet jakiegoś chaosu i nowych zwyczajów, które pan marszałek wprowadzi. To jest element niestabilności. Domyślam się, po co to było robione. Nie jest to nic, czemu mógłbym przyklasnąć. Nie mówiąc już o tym, że to nie jest żadna norma konstytucyjna. Nie wiem, czy pan Czarzasty uzbiera potrzebne głosy, aby zostać marszałkiem".

CZARZASTY NON GRATA

Przeciwko Czarzastemu jako marszałkowi Sejmu są niektórzy politycy Polski 2050. Posłanka Agnieszka Buczyńska stwierdziła na antenie Polsat News Polityka: „Będzie mi ciężko poprzeć tę kandydaturę. Uważam, że nie będzie dobrym marszałkiem. Takie jest moje prywatne zdanie, to nie jest zdanie klubu, ale moje prywatne i nie będę popierać pana Włodzimierza Czarzastego". „Umowa koalicyjna mówi, że Włodzimierz Czarzasty będzie kandydatem koalicji na marszałka i my swojego kandydata zgłaszać nie będziemy. W tym zakresie na pewno wypełnimy umowę koalicyjną" – powiedział poseł Sławomir Ćwik w programie „Debata Gozdyry". Ale dodał: „Byłem rozczarowany panem marszałkiem Czarzastym i sposobem prowadzenia obrad".

Tomasz Nałęcz, prywatnie teść minister Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, historyk, były poseł i doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego, przewodniczący tzw. komisji Rywina, stwierdził: „Wysokie stanowisko dla Włodzimierza Czarzastego może oznaczać wiele problemów – zarówno dla niego samego, jak i dla całej koalicji. Jako szef komisji badającej aferę Rywina jestem przekonany, że Czarzasty nie wyjaśnił swojego udziału w tym wydarzeniu. Nie życzę mu tego, bo kibicuję koalicji, ale nie wykluczam, że stare grzechy mogą go dopaść. Obawiam się jednak, że mleko już się rozlało i sytuacja jest nieodwracalna. Źle się stało, że nie zmieniono umowy koalicyjnej. Szymon Hołownia jest dobrym marszałkiem, mimo błędów politycznych, które popełnił w ostatnim czasie".

Marcelina Zawisza z Partii Razem też nie jest entuzjastką Czarzastego: „Ta decyzja, jak głosować, jeszcze jest przed nami, ale ja będę namawiać do tego, żebyśmy byli przeciwko Włodzimierzowi Czarzastemu. Nie mam powodu, dla którego mielibyśmy tutaj realizować umowę koalicyjną w tym zakresie, biorąc pod uwagę, że wiele rzeczy z umowy koalicyjnej jest nierealizowane, np. ustawa o asystencji osobistej jest nierealizowana. Szczerze powiedziawszy, nie wyobrażam sobie poparcia zmiany marszałka ze względu na to, że to jest kwestia umowy większości rządzącej. To jest ich umowa, niech oni ją sobie realizują".

Od ok. trzech lat w Czarzastego mocno uderza Joanna Senyszyn, kiedyś partyjna koleżanka. „Z dawnego SLD został zrobiony prywatny folwark Czarzastego", a „nikt nie chce głosować na prywatny folwark". A skoro tak, to „od trzech ostatnich wyborów nie głosowałam na ugrupowania, które firmuje Czarzasty, ponieważ uważam, że one nie mają nic wspólnego ani z Lewicą, ani z demokracją". W dodatku „ludzie, którzy godzą się pokornie być w prywatnym folwarku zarządzanym przez Czarzastego i Żukowską, niczego nie zmienią. W rządzie nie mają żadnej sprawczości, w związku z tym trudno oceniać ich »udział«". Ostatecznie: „Lewica może będzie, ale nie »czarzaści«".

„Zawsze mówiłem, że obowiązuje umowa koalicyjna, która jest taką konstytucją dla koalicji i nie należy jej łamać. Uważam, że w polityce jest tak, że różne rzeczy się obiecuje, a czy one się zdarzą, czy nie, to zobaczymy" – komentował w TOK FM krytyczne głosy pod swoim adresem Włodzimierz Czarzasty. W lipcu 2025 r. mówił: „Niewypełnienie umowy koalicyjnej będziemy traktowali jak jej zerwanie". Jego strachy próbował odgonić Szymon Hołownia: „Zrobię wszystko, aby maksymalnie ułatwić Włodzimierzowi Czarzastemu przejęcie funkcji marszałka Sejmu. Tak jak kryzys z brakiem zaprzysiężenia byłby dramatyczny dla Polski, tak samo jakiekolwiek wyboje na drodze do tego, żeby kolejny marszałek Sejmu został marszałkiem Sejmu, byłyby złe dla Polski – skutkowałyby kryzysem, brakiem stabilności, którego Polska teraz na pewno nie potrzebuje". Osoby z najbliższego otoczenia Hołowni mówią, że choć ich szef dopełni wszelkich formalności, jego posłowie nie są do niczego zobowiązani. Czarzastemu może więc zabraknąć głosów w Sejmie. A nawet, gdyby nie zabrakło, może być krótko marszałkiem, bo rządzącą koalicję rozsadzi wewnętrzny kryzys, może już wiosną 2026 r. Czarzasty zaś miałby być jednym ze sprawców tego kryzysu.

PAMIĘTASZ TO?

Sprzeciw wobec objęcia funkcji marszałka Sejmu przez Czarzastego wzmógł się po jego brutalnym ataku na Zbigniewa Ziobrę. Czarzasty nagrał specjalny filmik, w którym stwierdził: „Pamiętasz, jak o 6 rano wprowadziłeś mi do domu policję? Jak położyłeś na ziemi moją żonę? Gołą. Jak wszedłeś do sypialni mojej córki? Jak wszedłeś do sypialni mojego syna? Pamiętasz to? Pamiętasz, jak leżałem na podłodze, a ludzie, którzy za twoją wiedzą weszli do mnie do domu, trzymali mi pistolet przy głowie i mówili: »Jak podniesiesz łeb, to

eprasa.pl be6914882e

ci go, ku...a, odstrzelimy«. Pamiętasz to? Więc jak ludzie się teraz pytają, czy byłeś w stanie być szefem grupy przestępczej? Czy byłeś w stanie wykorzystywać ludzi? To ja ci powiem. Byłeś w stanie. Budapeszt cię nie uratuje".

Czarzasty odnosił się do interwencji antyterrorystów w jego domu 15 marca 2007 r. Po tej akcji zapowiedział skierowanie do sądu skargi przeciwko policjantom, ale tak się nie stało. Ówczesny rzecznik stołecznej policji Mariusz Sokołowski przekonywał, że interwencja była uzasadniona, bo – według policyjnego informatora – syn Włodzimierza Czarzastego pomagał w ukrywaniu się, a nawet mógł sprzedać materiał wybuchowy bandycie Michałowi Gruszczyńskiemu, poszukiwanemu za zabicie dwóch braci z Wołomina. Rzecznik Sokołowski wyjaśnił w rozmowie z IAR, że policja ma obowiązek sprawdzić każdą informację, dlatego policjanci najpierw weszli do mieszkania syna Włodzimierza Czarzastego. Ponieważ nie zastali go w domu, przeszukali inne miejsca, w których mógł on przebywać. Do mieszkania Włodzimierza Czarzastego mundurowi wkroczyli bez nakazu prokuratorskiego. Rzecznik stołecznej policji podkreślił, że nakaz przeszukania był wystawiony, ale dotyczył tylko mieszkania syna Czarzastego.

O powodach przeszukania mówił 8 maja 2007 r. w Sejmie ówczesny wiceminister w MSWiA Marek Surmacz (była to odpowiedź na interpelację posła Tadeusza Iwińskiego z 18 marca 2007 r.). Wyjaśnił m.in., że akcja była częścią „czynności przeprowadzonych w sprawie [...], w której prokurator przedstawił trzy zarzuty Michałowi Gruszczyńskiemu, tj. usiłowania zabójstwa Rafała Jarzębskiego, zabójstwa Dariusza Czajewicza oraz posiadania broni palnej bez wymaganego zezwolenia. W toku czynności śledczych funkcjonariusze z Komendy Stołecznej Policji prowadzili czynności operacyjne zmierzające do ustalenia miejsca pobytu sprawcy zabójstw". 14 marca 2007 r. policja uzyskała informację, że Michał Gruszczyński ukrywał się w mieszkaniu Bartosza Czarzastego przy ul. Garwolińskiej. W tym lokalu miał się też ukrywać Arkadiusz Banaszek „Banan", który przebywał z Michałem Gruszczyńskim w dniu zabójstwa Dariusza Czajewicza. Dodatkowo z uzyskanych przez policję informacji wynikało, iż Bartosz Czarzasty może handlować narkotykami. 14 marca 2007 r. prokurator wydał postanowienie o przeszukaniu lokalu należącego do Bartosza Czarzastego „w celu znalezienia rzeczy mogących stanowić dowód w sprawie lub podlegających zajęciu w postępowaniu karnym". 15 marca 2007 r. policjanci dokonali przeszukania tego lokalu. W mieszkaniu nie było domowników i do przeszukania „przybrano osobę postronną". Podczas interwencji nie ujawniono przedmiotów stanowiących dowód w sprawie i żadnych poszukiwanych osób. W tym samym czasie na miejsce przeszukania przyjechała Iga Czarzasta, siostra Bartosza, która oświadczyła, iż jest właścicielką lokalu przy ul. Garwolińskiej. Do mieszkania przybył również Bartosz Czarzasty, który zeznał, iż mieszka z rodzicami przy ul. Nasielskiej, natomiast jego mieszkanie, w którym dokonano przeszukania, pozostaje puste. Poprzednio w mieszkał w nim jego „znajomy z pracy". Bartosza Czarzastego przesłuchano w charakterze świadka, a następnie zwolniono. Nie zgłaszał on wówczas żadnych uwag zarówno co do treści protokołu przesłuchania, jak i wobec policjanta prowadzącego czynności. A zastosowanie wobec niego kajdanek wynikało z przepisów.

> „Wysokie stanowisko dla Włodzimierza Czarzastego może oznaczać wiele problemów – zarówno dla niego samego, jak i dla całej koalicji" – stwierdził Tomasz Nałęcz, były poseł, przewodniczący tzw. komisji Rywina

INTERWENCJA NIEPOLITYCZNA

Po przeszukaniu lokali przy ul. Garwolińskiej policjanci na podstawie legitymacji służbowej dokonali przeszukania domu przy ul. Nasielskiej, gdzie, jak zeznał, mieszkał Bartosz Czarzasty z rodzicami. Podczas przeszukania był obecny Włodzimierz Czarzasty, który oświadczył do sporządzonego z czynności protokołu, iż „żąda doręczenia zatwierdzenia przeszukania, nie ma zastrzeżeń co do sposobu przeprowadzenia przeszukania". Policjanci przesłuchali go na miejscu w charakterze świadka. 16 marca 2007 r. policja złożyła wniosek o zatwierdzenie przeszukania przeprowadzonego na podstawie legitymacji służbowej mieszkania należącego do Igi Czarzastej oraz domu należącego do Małgorzaty Czarzastej, żony Włodzimierza. Po zapoznaniu się z materiałami dotyczącymi przeprowadzonych przeszukań prokurator na podstawie zgromadzonych informacji – postanowieniem z 16 marca 2007 r. – zatwierdził przeszukania. 26 marca 2007 r. pełnomocnik Małgorzaty Czarzastej oraz Igi Czarzastej wniósł zażalenie na zasadność, legalność oraz prawidłowość przeszukania dokonanego w należących do nich mieszkaniach. Zarzuty dotyczyły braku „udokumentowanych podstaw procesowych do przeprowadzenia przeszukania w tych lokalach, nieokazania nakazu kierownika jednostki ani legitymacji służbowej przed przeszukaniem oraz niepouczenia o prawie zgłoszenia żądania doręczenia postanowienia prokuratora w przedmiocie zatwierdzenia przeszukania, niezawiadomienia osób, u których przeprowadzano przeszukania, o celu przeszukania oraz naruszenia zasad umiaru i poszanowania godności osób, których ta czynność dotyczyła".

Wiceminister Surmacz zapewnił, iż czynności podjęte przez policję wobec Włodzimierza Czarzastego nie były w żaden sposób związane z jego działalnością polityczną. Ale jeszcze w listopadzie 2025 r. lider Nowej Lewicy twierdzi, że wydarzenia sprzed 18 lat były jednak motywowane politycznie. I tylko to by wystarczyło, żeby zdyskwalifikować go jako kandydata na marszałka Sejmu.

eprasa.pl be6914882e



Chcesz żyć, to płać

Katastrofa w służbie zdrowia stała się faktem. Rząd Donalda Tuska zapowiada likwidowanie szpitali na prowincji. Czy w ślad za tym pójdzie prywatyzacja?



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Zgon publicznej ochrony zdrowia w Polsce stwierdził 4 listopada prezes Naczelnej Rady Lekarskiej dr Łukasz Jankowski. „Mamy informacje o tym, że pacjenci, także onkologiczni, są odsyłani z kwitkiem. Kończy się rok, brakuje pieniędzy. W tym roku trzeba to powiedzieć wprost: Narodowy Fundusz Zdrowia zbankrutował" – stwierdził lekarz znany szerokiej publiczności z burzliwych protestów przeciwko rządowi PiS.

W tym roku dziura w budżecie NFZ ma wynieść 14 mld zł. W przyszłym – już 23 mld. W zdrowiu zawsze jest źle, ale tak źle jak dzisiaj nie było co najmniej od dekady. Likwidowane oddziały, śmiertelnie chorzy pacjenci pozostawieni sami sobie, haniebne pomysły „oszczędnościowe" – jak ten, by kobiety rodziły w towarzystwie pijanych żuli na SOR – to obraz klęski rządu Donalda Tuska, twarzą której jest była minister zdrowia Izabela Leszczyna.

Na stronie Koalicji Obywatelskiej wciąż wiszą nieszczęsne konkrety na 100 pierwszych dni rządów. Gdyby nie doniesienia z ostatnich tygodni, czytającego je człowieka zadusiłyby spazmy śmiechu. „Zniesiemy limity NFZ w lecznictwie szpitalnym, dzięki czemu znacząco skróci się czas oczekiwania na konsultacje i zabiegi". „Wprowadzimy łatwy w obsłudze i czytelny system rezerwacji wizyt (sms-y, maile) na kształt funkcjonującego w systemie prywatnym". „Dzięki odblokowanym środkom unijnym zwiększymy dostępność lekarzy geriatrów oraz opieki długoterminowej". „Na obszarach pozbawionych odpowiedniej diagnostyki stworzymy Powiatowe Centra Zdrowia zapewniające powszechny i równy dostęp do diagnostyki, leczenia ambulatoryjnego i świadczeń specjalistycznych".

To tylko niektóre z brzmiących dziś jak jakiś koszmarny żart obietnic Tuska. Nie udało się bez problemów wprowadzić nawet najłatwiejszej i najtańszej w realizacji zmiany, a więc „epokowego" finansowania in vitro przez państwo – media obiegły niedawno informacje, że i tu zabrakło kasy.

Premier lubiący Leszczynę za jej ślepe przywiązanie i internetowy aktywizm w stylu Silnych Razem został zmuszony zrzucić panią minister z rządowych sań. Zastąpiła ją nikomu wcześniej nieznana dr Jolanta Sobierańska-Grenda z Trójmiasta.

Fot. Eryk Stawiński/REPORTER

eprasa.pl be6914882e

WIELKIE CIĘCIE

Dzisiaj pytanie nie brzmi, czy Sobierańska-Grenda będzie lepsza od Leszczyny (nie można bowiem być gorszym) ani czy uratuje system ochrony zdrowia przed krachem (ten już nastąpił, wychodzenie z zapaści potrwa wiele lat). Jedyną istotną kwestią jest to, czy obecna katastrofa zostanie wykorzystana do dalszego „urynkowiania" ochrony zdrowia, czy też uda się to zatrzymać.

Na koniec wszystko sprowadza się bowiem do jednego: czy różnice w dostępie do leczenia pomiędzy bogatymi a biednymi, a także mieszkańcami wielkich miast a resztą kraju, będą jeszcze większe niż dzisiaj. A jeszcze prościej: czy w Polsce hasło „chcesz żyć, to płać" stanie się nie tylko smutną rzeczywistością w wielu miejscach, lecz także obowiązującą doktryną państwa.

Wiadomo już, co czeka prowincję, jeśli chodzi o szpitale. Tych po prostu nie będzie.

„Zakładamy, że z 30 proc. szpitali w naszym kraju to jest nadmiar taki, że gdyby tych 30 proc. nie było, to też przy dobrze zorganizowanej opiece byśmy byli w stanie zabezpieczyć naszych pacjentów" – wyjaśniała Jolanta Sobierańska-Grenda, prezentując na początku listopada założenia reformy.

Pani minister wie, że skazanie szpitali na śmierć „to są politycznie decyzje bardzo trudne dla poszczególnych powiatów", ale na szczęście eutanazja „możliwa do wykonania", a rządzący są obecnie „na tej drodze, żeby tworzyć odpowiednie narzędzia, również deregulacyjne, które pomogą tak zorganizować szpital, głównie tego pierwszego stopnia zabezpieczenia, żeby jednak on nie generował dużych kosztów i żeby można było np. wyłączać bloki na weekendy".

Przetrwać będą mogły szpitale, które „zreorganizują łóżka zgodnie z tym, co jest w regionie potrzebne". A jeśli ktoś wdroży „program naprawczy" (czyli wytnie, co się da), będzie mógł liczyć na pożyczkę, np. z BGK.

PIENIĄDZE I PRESTIŻ

Jolanta Sobierańska-Grenda została ministrem w lipcu. W czerwcu – jeszcze jako szefowa Pomorskich Szpitali, samorządowej spółki zarządzającej lecznicami w Gdyni – uczestniczyła w relacjonowanej przez snobistyczne pismo „Prestiż Trójmiasto" dyskusji na temat służby zdrowia. Warto się przyjrzeć temu wydarzeniu, mówi ono bowiem wiele o tym, z jakiego środowiska wywodzi się Grenda i jakie są jej poglądy – te faktyczne, a nie krępowane propagandowymi ograniczeniami nakładanymi na każdego ministra.

W eleganckich wnętrzach spotkała się trójmiejska śmietanka: biznesmeni, menedżerowie, ludzie zajmujący się przede wszystkim pieniędzmi i patrzący na świat przez pryzmat ich zarabiania. Relację w „Prestiżu Trójmiasto" zdobią zdjęcia eleganckich pań i panów, pozujących z kieliszkami szampana w rękach.

> Zdaniem Jolanty Sobierańskiej-Grendy, obecnej minister zdrowia, polscy pacjenci powinni najpierw płacić za leczenie, a dopiero potem odzyskiwać pieniądze z ubezpieczenia



Jolanta Sobierańska-Grenda

„Publiczna czy prywatna? Ochrona zdrowia na rozdrożu" – na panelu pod takim tytułem spotkali się prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szpitali Prywatnych dr Andrzej Sokołowski, chirurg pracujący w prywatnym Lux Medzie prof. dr hab Maciej Śmietański, prezes szpitala tejże firmy Wojciech Demski i dyrektor szpitala Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego dr Jakub Kraszewski. Wraz z nimi do stołu zasiadła Jolanta Sobierańska-Grenda, prawniczka po Uniwersytecie Gdańskim, która zawodową karierę związała ze zdominowanymi przez Platformę Obywatelską pomorskimi samorządami. Najpierw była sekretarzem powiatu malborskiego, potem szefową Departamentu Zdrowia u marszałka Mieczysława Struka, a w końcu – od 2017 r. – prezesem Szpitali Pomorskich.

Na pierwszy ogień poszedł temat propozycji obniżenia składki zdrowotnej – pomysł, który „rozpalił media, choć w liczbach wygląda skromnie", bo niższa składka kosztowałaby system marne 4 mld zł, a to „zaledwie ułamek 220 mld rocznego budżetu ochrony zdrowia". Jak relacjonuje „Prestiż Trójmiasto", „paneliści nie mieli wątpliwości, że prawdziwy problem leży gdzie indziej". Są nim np. studenci (bo w ogóle nie płacą składki) oraz rolnicy (bo płacą bardzo mało poprzez KRUS). Problemem – dowodzili eksperci – nie są wspierane przez władzę roszczenia przedsiębiorców, tylko pacjenci nieubezpieczeni, a także obciążające budżet „zadania spoza klasycznej opieki", czyli ratownictwo medyczne oraz darmowe leki dla seniorów i dzieci.

„Efekt? Dziura, której nie da się załatać prostą korektą składki" – czytamy w relacji z imprezy.

Zdaniem dyskutantów wielką bolączką polskiego systemu ochrony zdrowia jest też „monopolistyczna pozycja NFZ, który dyktuje warunki i nie ogląda się na konsekwencje". Fundusz – jak przekonywał prof. Śmietański – sztucznie utrzymuje przy życiu szpitale na prowincji, „jest narzędziem polityki ekonomicznej, żeby nie powodować krachu małych miast".

„NFZ to tak naprawdę przestępcza organizacja" – dowodził z kolei szef Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szpitali Prywatnych dr Andrzej Sokołowski. Jego zdaniem Fundusz oszukuje lecznice, umawiając się na wykonanie jakichś procedur, a potem nie płacąc za nie bądź płacąc z opóźnieniem. Szczególnie poszkodowane mają być tym „przestępczym" procederem szpitale prywatne.

Fot. Ministerstwo Zdrowia

eprasa.pl be6914882e

Remedium? „Zdrowa konkurencja" pomiędzy sektorem publicznym a prywatnym i dopłaty do leczenia.

„Dzisiaj chory nie może dopłacić 300 zł, żeby szpital mógł kupić lepszy implant. Byłbym za tym, żeby były różne podmioty na tym rynku" – mówił prof. Śmietański.

MARZENIE JAK HORROR

Oczywiście nic przeciwko „zdrowej konkurencji" nie miała także przyszła minister Jolanta Sobierańska-Grenda. Autorka obronionej niedawno pracy doktorskiej „Hipoteza nieefektywności zarządzania – weryfikacja empiryczna na przykładzie procesu restrukturyzacji podmiotów leczniczych samorządu województwa pomorskiego w latach 2011–2019" dowodziła zalet ukochanych przez siebie restrukturyzacji i konsolidacji szpitali, krytykując województwa, które dotąd nie pozamykały „nieefektywnych" placówek.

Na marginesie: w zasadniczo przychylnej doktorantce recenzji pracy doktorskiej autorstwa dr. hab. Katarzyny Kolasy z Zakładu Ekonomiki Zdrowia i Zarządzania Opieką Zdrowotną Akademii Leona Koźmińskiego znalazł się wiele mówiący passus. „Placówki medyczne nie powinny kierować się wyłącznie celem finansowym" – przypominała prof. Kolasa. „W tym względzie należy podkreślić, iż rozprawa doktorska mgr Jolanty Sobierańskiej-Grendy nie porusza tematu misji systemu ochrony zdrowia, jaką jest poprawa zdrowia. Ekonomika zdrowia jednoznacznie wskazuje, że rynek świadczeń zdrowotnych nie należy do rynku dóbr konsumpcyjnych, zatem zestaw wskaźników wybranych przez Autorkę do analiz powinien uwzględniać ten fakt. Należy pamiętać, że efektywność to nie minimalizacja nakładów, lecz optymalizacja alokacji, która powinna odnosić się do systemu wartości danego społeczeństwa i uwzględniać aspekty etyczne oraz sprawiedliwość społeczną" – podkreślała recenzentka.

Konsolidacja i restrukturyzacja to tylko początek. Zdaniem Sobierańskiej-Grendy, należy iść znacznie dalej. Według dzisiejszej pani minister polscy pacjenci powinni najpierw płacić za leczenie, a dopiero potem odzyskiwać pieniądze z ubezpieczenia.

„Pacjent nie wie, ile procedura go kosztuje i np. jaką polisę wykupić jak w innych systemach europejskich. Tam zarządza się swoim zdrowiem już od urodzenia aż do późnych lat. Pacjent przede wszystkim najpierw płaci sam fakturę, a potem idzie do swojego ubezpieczyciela po pieniądze. O takim systemie w Polsce marzę" – cytował Jolantę Sobierańską-Grendę „Prestiż Trójmiasto".

PEŁZAJĄCA PRYWATYZACJA?

W niedawnej rozmowie z PAP pani minister zarzekała się, że „nie jest jej misją i zadaniem, by prywatyzować szpitale w Polsce" i przypominała, iż „żadnego szpitala do tej pory nie sprywatyzowała". Tak się jednak składa, że o rozpoczęcie pełzającego wstępu do prywatyzacji sugerują lekarze – znający system jak nikt – oburzeni pomysłem ograniczenia im pensji do maksymalnie 48 tys. zł miesięcznie (co akurat wydaje się społecznie oczekiwanym ruchem, część medyków zarabia po prostu nieprzyzwoicie dużo).

„Słyszeliśmy w wywiadzie, że 30 proc. szpitali można zamknąć. Czy kierunkiem jest prywatyzacja? Mam nadzieję, że nie i mam nadzieję, że nadejdzie moment, w którym rząd po prostu dosypie pieniędzy do niewydolnego systemu, a sam system zreformuje, bo zreformować ten system trzeba" – mówił prezes NRL Łukasz Jankowski.

Dla opozycji z Prawa i Sprawiedliwości znakiem prawdziwych intencji rządu w kwestii struktury własnościowej szpitali jest sposób rozdzielenia środków z KPO na kardiologię. Pieniądze trafiły m.in. do ponad 20 klinik należących do zagranicznych, prywatnych sieci.

„Te firmy od wielu lat monopolizują opiekę kardiologiczną w polskim systemie ochrony zdrowia, a teraz na utrwalenie swojego monopolu otrzymały od państwa ponad 200 mln zł – stwierdził wiceprezes PiS Mateusz Morawiecki.

Pieniądze od państwa – czym chwalił się poseł KO Piotr Borys – dostało np. Regionalne Centrum Zdrowia sp. z o.o. w Lubinie. Szpital ten należy do grupy EMC. „Jesteśmy największym w Polsce właścicielem szpitali na rynku prywatnych usług medycznych. Obejmujemy opieką mieszkańców województwa: dolnośląskiego, opolskiego, zachodniopomorskiego, pomorskiego, śląskiego, mazowieckiego, lubuskiego, kujawsko-pomorskiego, małopolskiego" – czytamy na stronie EMC.

Grupa należy do czeskiego holdingu szpitali i przychodni Penta Hospitals International. Jego szpital w Lubinie dostał z KPO blisko 2 mln zł.

Politycy PiS przypominają, że choć konkurs dotyczący KPO dla kardiologii poszedł szybko i sprawnie, to zupełnie inaczej było z postępowaniem dotyczącym inwestycji w onkologię z Funduszu Medycznego. Rozstrzygnięto je jeszcze w czasie rządów PiS. Gdy stery resortu zdrowia objęła Izabela Leszczyna, wypłatę środków wstrzymano. Przeprowadzono „audyt", sugerowano, że doszło do jakiegoś „złodziejstwa", w końcu unieważniono konkurs w atmosferze korupcyjnego skandalu.

„Dlaczego tak się stało?" – pytał Morawiecki. „Wystarczy spojrzeć na wyniki ponownej oceny – 19 z 20 podmiotów, które złożyły wnioski w poprzednim rozdaniu, otrzymało je i w tym. A 20. okazał się – tu także bez zaskoczeń – prywatny szpital z Radomia, którego właściciel jest rezydentem Monako" – dowodził były premier.

KRĘCIĆ LÓD

Morawiecki mówi rzecz oczywistą: nieboszczka Platforma Obywatelska, a przed nią Unia Wolności i Tuskowy Kongres Liberalno-Demokratyczny, od zawsze opowiadały się za urynkowieniem zdrowia. Ludzie z tego środowiska formułowali postulaty skrajne (sprywatyzować wszystko) i umiarkowane (np. obiecywana w 2011 r. możliwość powstania funduszy zdrowotnych konkurencyjnych dla NFZ czy powtarzająca się w latach kolejnych opowieść o konieczności umożliwienia płacenia ludziom za „lepsze" usługi w publicznych placówkach), ale kierunek był stały.

Dlatego dzisiaj, słuchając oficjalnych zaprzeczeń rządzących, warto jednak szykować się na czasy, w których – jak to mówiła w rozmowie z pięknym agentem CBA posłanka partii Tuska Beata Sawicka – „biznes na służbie zdrowia będzie robiony". I obserwować, kto – znowu uciekając się do nagranych potajemnie słów zakochanej macherki – szykuje się, by korzystając z katastrofy NFZ, „kręcić lód" na niedoli polskich pacjentów.

eprasa.pl be6914882e

Wrażeń mi nie brakuje

– Przez 18 lat pracowałam nad zwalczaniem hazardu w Trójmieście. A od 6 sierpnia jestem emerytką. Czy brakuje mi wrażeń? Nie! Jest prezydentura męża, będzie moja fundacja. Praca dla Polski to przecież wielka sprawa. To też jest adrenalina i ona mnie napędza – mówi ***Marta Nawrocka*** w rozmowie z Marcinem Wikłą wPolsce24. To pierwszy telewizyjny wywiad pierwszej damy

Pierwsze 100 dni prezydenta Karola Nawrockiego to prawdziwa burza z piorunami w polskiej polityce. Wszedł w naszą rzeczywistość z impetem i pierwszą damą u boku. Marta Nawrocka ma jednak o wiele większe ambicje niż tylko bycie żoną swojego męża. Ma pomysł na samodzielne działanie i uważa, że może zrobić wiele dobrego, wcale nie wchodząc w politykę.

WŁASNA ŚCIEŻKA

W kampanii wyborczej i przez pierwsze trzy miesiące prezydentury Karol Nawrocki udzielił już bardzo wielu wywiadów, zarówno prasowych, jak i telewizyjnych. Jego małżonka zaistniała na łamach prasy kilka razy, po raz pierwszy w tygodniku „Sieci" w lutym. Teraz przyszedł czas na wywiad telewizyjny. Pierwsza dama zdecydowała się udzielić go telewizji wPolsce24 w programie „Rozmowa Wikły".

Jaka jest ścieżka działalności pierwszej damy, którą zamierza pani podążać?

Marta Nawrocka: Funkcja, w której przyszło mi reprezentować Polskę, Polki i Polaków u boku mojego męża, jest bardzo zaszczytna. Widzę się przede wszystkim na polu spraw społecznych. Już niebawem otworzę fundację, która będzie nosiła nazwę „Blisko ludzkich spraw". To ma być kontynuacja tego, co robiliśmy w kampanii – zarówno ja, jak i Karol byliśmy blisko ludzi i wsłuchiwaliśmy się w ich problemy.



Fot. Alicja Stefaniuk/KPRP

Jaki pomysł zrodził się z tych rozmów?

Widzę kilka obszarów, w których chciałabym działać. To przede wszystkim walka z hejtem i przemocą, nie tylko w internecie. Z agresją i niechęcią wobec nas oraz dzieci spotkaliśmy się w kampanii – to niedawna historia, którą wszyscy pamiętają. Ale także wcześniej działy się rzeczy, o których należy pamiętać. Gdy mąż objął stanowisko dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, część osób nie chciała się z tym pogodzić. Wchodził do budynku aleją, wzdłuż której ustawione były znicze. Nie padło ani jedno słowo, ale przecież to był hejt. Takie zachowania można niwelować, czyniąc dobro. Po prostu.

Kto jeszcze będzie mógł liczyć na pomoc pani fundacji?

Myślę, że grupą, która potrzebuje wsparcia, są także osoby niepełnosprawne i ich rodziny. System państwa nie działa tutaj jak należy. Mam pomysł na program, który nazwałam „Oddech dla bohaterek" – mam na myśli mamy niepełnosprawnych dzieci, które mogłyby czasem odetchnąć od ciężkiej pracy, którą jest dla nich codzienna opieka nad ukochaną córką czy synem. To miałyby być

eprasa.pl be6914882e

warsztaty – albo tylko dla mam, albo wspólne z dziećmi. Z kolei dla dzieci i młodzieży z mniejszych miejscowości przygotuję program wyrównywania szans. Czasem brakuje im pieniędzy, a czasem możliwości, by rozwijać swoje talenty.

ZASŁUŻONE POPARCIE

Jeszcze w kampanii wyborczej Marta Nawrocka podkreślała, że jej mąż jest bardzo pracowitym człowiekiem, konsekwentnie realizującym cele, które sobie stawia. Mówiła wówczas w tygodniku „Sieci", że miała dla niego tylko jedną radę – by nie próbował nikogo udawać, by pozostał sobą – wówczas wygra. Miała rację.

Jak pani ocenia pierwsze 100 dni prezydentury męża?

Okazało się, że Karol Nawrocki, mój mąż, jest numerem 1 na polskiej scenie politycznej. To nie tylko moja ocena.

To prawda, nawet teraz wszystkie badania wskazują, że ma poparcie większe niż w chwili wyboru. Za co Polacy go tak polubili?

On naprawdę zasłużył sobie na to uznanie. Myślę, że doceniają jego naprawdę ciężką pracę. Od zawsze mi tym imponuje. Pamiętam czas, gdy zaczynaliśmy się spotykać – on był wówczas na studiach. Gdy przychodziła sesja, świadomie rezygnował ze wszystkich spotkań towarzyskich, bo miał do zrealizowania jakiś cel i nie chciał się rozpraszać. I od lat to się nie zmienia. Nawet teraz potrafi połączyć obowiązki, pracę i rodzinę. Zawsze wie, co słychać u dzieci.

Prezydent Karol Nawrocki poszedł w Marszu Niepodległości. Od razu pojawiły się głosy, że pewnie chciał się komuś przypodobać. Nie było to ryzykowne?

Chodzimy na marsze niepodległości, od kiedy się znamy i zawsze uczestniczymy w obchodach 11 listopada. To jego naturalne środowisko i od początku było jasne, że pójdzie w tym marszu.

ZMIANA BEZ ZMIANY

Przed prezydenturą Karol Nawrocki był m.in. dyrektorem muzeum i prezesem Instytutu Pamięci Narodowej. Marta Nawrocka pracowała w Krajowej Administracji Skarbowej, w grupie rozbijającej dziuple z nielegalnym hazardem. Oboje mają świadomość, że tamto życie już nie wróci. Ale bardzo się starają, by zachować chociaż odrobinę własnych rytuałów.

Obydwoje mamy swoje obowiązki zawodowe, które wyraźnie oddzielamy od życia rodzinnego. I ono tak naprawdę się nie zmieniło. Teraz jest więcej pracy, ale dzieci są najważniejsze. Musimy im pokazać, że mimo stanowisk, które zajmujemy, nadal jesteśmy przede wszystkim ich rodzicami. Zmieniło się to, że kładziemy się później spać i wcześnie wstajemy, choć nie tak wcześnie jak podczas służby – mówi Marta Nawrocka.

Brakuje Pani pracy w KAS? Tej adrenaliny?

To prawda, że wstawałam na akcje czasem o 4.00, a czasem o 3.00 w nocy. Ale ten etap jest już skończony i pogodziłam się z tym.

Czyli jest jednak jakiś żal za pracą, którą przecież pani lubiła i sama ją sobie wybrała.

Przez 18 lat pracowałam nad zwalczaniem hazardu w Trójmieście. Mieliśmy wspaniałą ekipę, wyszkolonych funkcjonariuszy. Ale decyzję o odejściu – najpierw w kampanii na urlop bezpłatny – podjęłam świadomie. A od 6 sierpnia jestem emerytką. Czy brakuje mi wrażeń? Nie! Prezydentura męża, moja fundacja. Praca dla Polski to przecież wielka sprawa. To też jest adrenalina i ona mnie napędza.

A czego brakuje pani w tym nowym życiu albo co pani doskwiera? Na co należy – postępując z pewnym protokołem – się godzić?

Jestem osobą zadaniową. Wiem, że jeśli takie są reguły, to trzeba je zaakceptować. Myślę o ochronie SOP, ludziach, którzy mają chronić mnie, mojego męża, nasze dzieci. Zaakceptowałam to. Brakuje mi jazdy samochodem, bo lubię prowadzić. I chętnie bym się przejechała metrem, bo w Warszawie jeszcze się nie poruszałam tym środkiem transportu, ale wiem, że teraz mogłoby to być utrudnione.

DOM JEST W GDAŃSKU

Marta Nawrocka nie ukrywa, że zmiana miejsca zamieszkania była sporym przełomem przede wszystkim w życiu dzieci: 7-letniej Kasi i 15-letniego Antka.

Od jakiegoś czasu pałac prezydencki jest także waszym domem. Jak to jest przeprowadzić się z trzypokojowego mieszkania do takich efektownych wnętrz? Da się żyć w takim miejscu?

Zdecydowanie tak. Da się żyć wszędzie tam, gdzie jest rodzina, bo to ona tworzy dom. Oczywiście nasz dom rodzinny jest w Gdańsku, został tam najstarszy syn Daniel, a młodsze dzieci przeprowadziły się z nami do Warszawy. Ale zawsze wracamy na Pomorze z sentymentem.

I nie wszystkie wnętrza w tym pałacu wyglądają jak Sala Rokoko, w której właśnie siedzimy?

Jest strefa prywatna do naszej dyspozycji – proszę mi wierzyć, że tak nie wygląda. U nas jest tak jak w większości polskich domów. Zależało nam na wygodzie i na tym, żeby dzieci dobrze się tu czuły. To była podstawa przy urządzaniu tych wnętrz. A robiliśmy to wszyscy razem.

Ciekawi mnie też, co ze starymi znajomościami. Czy moment wyboru Karola Nawrockiego albo nawet rozpoczęcia kampanii spowodował jakąś weryfikację grona przyjaciół?

Moment pewnego kryzysu nadszedł 1 czerwca, gdy wybory się rozstrzygnęły. Niektórzy znajomi nie wiedzieli, jak się zachować, czasem woleli zachować dystans. Wcześniej miałam bardzo dużo telefonów, nagle się to urwało. Ale to już wróciło do normy, wystarczyło kilka spotkań. Przyjaciele zobaczyli, że jestem cała i zdrowa. I wciąż taka sama, mimo że już jako pierwsza dama.

Całość wywiadu do obejrzenia na kanale YouTube/@TelewizjawPolsce24.

eprasa.pl be6914882e



Mentzen jak płatek śniegu

W Konfederacji narasta przekonanie, że robiąc z siebie ofiarę PiS, coraz bardziej egocentryczny Sławomir Mentzen strzela gola do własnej bramki

„Jarosław Kaczyński jest nie tylko kłamcą, ale i chamem. Wykorzystuje moją chorobę do uderzania we mnie" – tymi słowami, wypowiedzianymi w programie Piotra Witwickiego i Marcina Fijołka, Sławomir Mentzen rozpoczął kolejną „dramę", jak nazywają takie spięcia jego młodzi zwolennicy.

To akord wojny na miny, którą lider Nowej Nadziei wypowiedział prezesowi Prawa i Sprawiedliwości. Wojny, która – zdaniem niektórych – jest niepotrzebną rozróbą prowadzącą do rozłamu na prawicy i umożliwiającą trwanie u władzy Donaldowi Tuskowi, dla innych zaś – taktycznym starciem mającym ustalić pozycje obu walczących formacji przed konfrontacją z koalicją 13 grudnia.

BRZYDKO SKRZYPI

Sprawa strategii na najbliższe miesiące, a więc na rozbiegówkę przed kampanią i wyborami, budzi jednak wyjątkowe zainteresowanie działaczy i sympatyków ugrupowania. Tematem numer jeden jest – w skrócie i uproszczeniu – stosunek do PiS. Większość wydaje się uznawać konieczność trzymania dystansu wobec obu największych formacji na polskiej scenie politycznej. Nie znaczy to jednak, że wszystkim podoba się przebąkiwanie o możliwej powyborczej koalicji z Tuskiem. To jednak coś zupełnie innego – to coś, co brzydko skrzypi.

Bo hasło „PiS PO – jedno zło" znacznie lepiej brzmiało dla konfederackiego ucha w czasie, kiedy rządziło PiS. Recenzowanie rzekomo nieudolnego czy za bardzo „socjalistycznego" rządu było czymś zupełnie naturalnym dla ugrupowania opozycyjnego. Tak samo jak naturalna u zdecydowanej większości zwolenników Konfy jest pogarda dla „lewaków" z KO i okolic.

Dziś w zrównywaniu Kaczyńskiego z Tuskiem à la Sławomir Mentzen pojawia się fałszywa nuta. Gołym okiem widać wszak, że to nie jest „jedno zło". W rządzie PiS nie było takich postaci, jak Waldemar Żurek, symbol buty uprzywilejowanej grupy sędziowskiej, Barbara Nowacka, rozwalająca w imię lewicowej ideologii szkołę, i Marcin Kierwiński, ścigający ludzi za odpalenie rac na Marszu Niepodległości.

Dostrzegają to nawet skrajnie krytyczni wobec partii Kaczyńskiego wyborcy, nie mówiąc już o tych, którzy szukają dziś swojego miejsca – sympatyzują z „dużą" Konfederacją, ale z zainteresowaniem przyglądają się ruchom ugrupowania Grzegorza Brauna i wciąż cenią co bardziej radykalnych, „tiktokowych" polityków PiS. Oni przede wszystkim nie znoszą salonu III RP, politycznej poprawności, starych elit, czyli wszystkiego, co symbolizuje Tusk. I o ile nie przeszkadza im walenie w Mateusza Morawieckiego, o tyle brutalne postponowanie prezesa PiS, a zwłaszcza opowieści o możliwym aliansie z KO – już może przeszkadzać.

CHODZI I GADA

Sprzeciw budzi też przyłączenie się konfederackiej wierchuszki do nagonki na Zbigniewa Ziobrę. Wygląda to co najmniej nieładnie. Mówimy wszak o ciężko chorym człowieku, na którego wydano wyrok, zanim rozpoczął się proces. U wielu konfederatów z tyłu głowy czai się myśl, że tu naprawdę chodzi o fizyczną eliminację Ziobry. Nie podoba się też retoryka co bardziej wyrywnych konfederackich liberałów.

– Taki Połuboczek [Michał, poseł Konfederacji – red.]. Chodzi po mediach i gada, że Ziobro sam sobie jest winien, bo przecież był za aresztami tymczasowymi i ostrą polityką wobec przestępców. I że to niedobrze. Jakbym słuchał pani wiceminister Ejchart albo jakichś innych lewaków. Po co nam to? – mówi nam jeden z posłów Konfederacji.

Połuboczek – tak jak inni mentzeniści – głosował za pozbawieniem Ziobry immunitetu chroniącego przed zarzutami prokuratury Żurka. Nasz rozmówca wstrzymywał się podczas tych głosowań.

W tej obawie przed przedobrzeniem z antypisizmem jest też czysta kalkula-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl be6914882e

cja. Co trzeźwiejsi politycy Konfederacji pamiętają, jaki efekt przyniosło w ostatniej kampanii wyborczej przyłączenie się Mentzena, sapiącego z oburzenia, niemal płaczącego nad losem „oszukanego emeryta", do salonowej histerii w sprawie kawalerki Karola Nawrockiego. Rosnące notowania się zatrzymały. Wprawdzie Mentzen próbował się jakoś ze wszystkiego wyplątać, ale przekaz, że tylko on może wygrać w drugiej turze z Rafałem Trzaskowskim, już tylko śmieszył. Wśród konfederatów pamiętana jest także mina Krzysztofa Bosaka, kiedy pokazano mu w programie na żywo, jak Mentzen kelneruje w swojej knajpie Trzaskowskiemu i Sikorskiemu.

ROZZIEW

Postawa wobec PiS, a przede wszystkim ton wypowiedzi na temat prawicowego rywala, pogłębiają rozziew w postrzeganiu Mentzena i Bosaka. Nie tylko w szeroko rozumianym obozie pisowskim (Bosak – tak jak wielu polityków z kręgu Jarosława Kaczyńskiego – 11 listopada został ugoszczony przez prezydenta Nawrockiego, Mentzena nikt tam nie widział), lecz także w samej Konfederacji. Ruch Narodowy nie chce się również godzić na coraz wyraźniejszy i niebezpieczny dla wspólnego projektu egotyzm lidera Nowej Nadziei.

– Krzysztof zapraszał na Marsz Niepodległości, mówiąc o narodowej dumie i radości ze wspólnego świętowania. Miał tam świetne wystąpienie, bardzo fajnie wypadał w wywiadach w ciągu dnia. Byłem z niego autentycznie dumny, zaprezentował się jak lider – mówi nam jeden z działaczy Ruchu Narodowego, który startował w ostatnich wyborach parlamentarnych, ale nie dostał się do Sejmu. – A Mentzen? Wrzucił sobie na X graficzkę „Dołącz do mnie na Marszu Niepodległości". Do mnie. Nie do nas, do ludzi, tylko do niego. Jakby to było jakieś „Piwo z Mentzenem". A potem głównie pozował do fotek. Ego mu zaczyna wywalać jak u Korwina – dodaje.

Mentzen osiągnął na marszu swój cel. Zdjęcie odpalającego racę polityka (władza już zapowiedziała, że będzie posła za to ścigać) zobaczyli wszyscy. Szef Nowej Nadziei pozował na tle transparentu „Polska dziś się upomina: zwrócić Tuska do Berlina".

„Z jednej strony chwali pan hasło, *de facto* mówiące, że Tusk jest niemieckim agentem i że Polska byłaby lepsza bez niego. Ale z drugiej strony nie chce pan zadeklarować, że nigdy nie zawrze z nim koalicji i kiedy się proponuje panu taką deklarację, to się pan obraża i zaczyna wyzywać ludzi... Więc czy nie jest to świadectwo dwulicowości?" – pytał pod postem Mentzena na X popularny pisarz sympatyzujący z prawicą, Jacek Piekara.

Wskazując na impulsywność i niepotrzebnie agresywną retorykę Mentzena wobec Kaczyńskiego, Piekara przypomniał sekwencję zdarzeń, która przez część konfederatów jest dziwnie pomijana. Zaczęło się wszak od „Deklaracji Polskiej" PiS, w której obok wezwania do jedności podany został jej warunek: żadnych paktów z Tuskiem. To w reakcji na ten dokument i ten jego punkt Mentzen stracił równowagę, której nie odzyskał do dziś. Najpierw obraził Kaczyńskiego, sugerując, że to koalicja z PiS doprowadziła do choroby nowotworowej Zbigniewa Ziobry i próby samobójczej Jarosława Gowina, potem spłakiwał się, że Kaczyński go bije, śmiąc odpowiadać na te i inne insynuacje, by na koniec oskarżyć lidera największej partii opozycyjnej o „wykorzystywanie choroby" Mentzena do politycznych ataków.

CHAM I CHAD

Dlaczego 9 listopada szef Nowej Nadziei nagle przypomniał sobie o wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego sprzed kilku tygodni? Skąd przekonanie, że lider PiS mówił o spektrum autyzmu, w którym – wedle własnych oświadczeń – znajduje się Mentzen, skoro Kaczyński (nie pierwszy raz) ewidentnie zwracał uwagę na braki w wychowaniu i impulsywność posła z Torunia? Wypowiedź brzmiała bowiem tak: „Racjonalni ludzie, jako tako wychowani, nie rzucający całkowicie bezpodstawnych oskarżeń, np. takich, że ja kogoś oszukiwałem, że jestem gangsterem, mogą ze sobą rozmawiać. Ale jeżeli ktoś cierpi na jakieś niedostatki, no to jednak powinien się najpierw doprowadzić do dobrego stanu, a dopiero potem przyjść do polityki. A jeżeli to jest niemożliwe, to trudno – ja niestety też nie mogłem zostać koszykarzem, a marzyłem o tym".

Ani słowa o autyzmie, aspergerze, żadnego nawiązania do „choroby", jak nazywa swoją przypadłość Mentzen.

„Kaczyński wprost powiedział, że osoby ze spektrum nie powinny brać udziału w życiu publicznym" – grzmiał jednak najważniejszy konfederata. Jego zdaniem prezes PiS mówi wszystkim osobom w spektrum autyzmu: „Wyleczcie się albo odizolujcie od społeczeństwa, bo nie nadajecie się do normalnego życia".

„To jest kpina z tych ludzi. Spektrum nie da się wyleczyć. Tacy się urodziliśmy i tacy umrzemy" – dodawał. „Dlatego nazwałem Kaczyńskiego chamem. Bo strzelając we mnie, atakując mnie moją przypadłością, boleśnie uderzył w naprawdę wielu zupełnie niewinnych ludzi" – puentował.

„Mentzen jako głos pokolenia »płatków śniegu«? Nowe, nie znałem" – śmiał się jeden z internetowych komentatorów, przypominając, że politycznym idolem Mentzena i ojcem jego dzisiejszej formacji był Janusz Korwin-Mikke, przekonujący np., że posyłanie niepełnosprawnych umysłowo dzieci do szkół tylko obniża poziom edukacji, a „posyłanie idioty do szkoły to jest katorga dla tego debila".

Czy można jednocześnie odwoływać się do młodych, zdrowych i bogatych, grać podziałem na zaradnych, orientujących się w nowoczesnym życiu innowatorów i zdziadziałych emerytów, którzy jedyne, co potrafią, to przekupywanie socjalem nierobów, a jednocześnie robić z siebie chorego biedaczka, miesiącami przeżywającego kilka zdań wypowiedzianych przez starszego pana? No właśnie. Mentzen jest Mentzenem, będąc sigmą i chadem. A sigma i chad nie płacze.

Takie błędy – a ostatnia histeria wokół „ataku" Kaczyńskiego niewątpliwie jest błędem – będą się odkładać i zaważą na sile Mentzena w przededniu wyborczej rozgrywki. Czym prędzej lider Konfederacji to zrozumie, tym większa szansa, że w nowym rozdaniu naprawdę będzie miał coś do powiedzenia.

Łukasz Wróblewski

eprasa.pl be6914882e

Ogary poszły w las, czyli rzecz o nagonce

Po dwóch latach nieudanych rządów Tuska zaczęła ogarniać desperacja, więc spróbuje dopaść nie tylko Zbigniewa Ziobrę, lecz także Mateusza Morawieckiego, wobec którego – jak coraz głośniej słychać – również przygotowuje się długą listę sfabrykowanych kryminalnych zarzutów



JAN ROKITA

Politycy, tacy jak Roman Giertych czy Włodzimierz Czarzasty, nie kryją publicznie tego, iż ich prawdziwym pragnieniem jest rozkosz, jaką daje zemsta, a nie żadna sprawiedliwość. Obaj skądinąd mają swoje powody do zemsty.

Kiedy Zbigniew Ziobro po raz pierwszy sprawował urząd Prokuratora Generalnego, partyjna koleżanka Czarzastego śp. Barbara Blida popełniła samobójstwo, chcąc uniknąć aresztowania pod zarzutem uczestnictwa w sławetnej śląskiej „aferze węglowej". Teraz więc Czarzasty publikuje na YouTube filmik przypominający tamte fakty, zwracając się z sarkazmem wprost do Ziobry słowami: „Czy pamiętasz?!". Z kolei Giertych za drugiej prokuratury generalnej Ziobry był ścigany pod zarzutem prania brudnych pieniędzy ze spółki Polnord, od czego lubelska prokuratura nie chciała odstąpić jeszcze w 2024 r., już po zmianie władzy, a uległa dopiero niedawno – latem 2025 r.

Ale w nagonce, jaką uruchomiono ostatnio przeciw Zbigniewowi Ziobrze, tacy politycy, którzy mają swoje powody do zemsty, nie są typowi. Prawdziwą atmosferę nagonki tworzą liczni ci, którzy teraz rozkwitają, mogąc bezkarnie opluć, wyszydzić, okazać pogardę byłemu ministrowi sprawiedliwości. Bez powodu, po prostu aby usatysfakcjonować ich pana.

eprasa.pl be6914882e

„DLA TAKIEJ CHWILI WARTO ŻYĆ”

Mechanizm politycznych nagonek zawsze jest taki sam. Najpierw musi być ktoś ważny, trzymający władzę, kto da sygnał. Żadna polityczna nagonka nie odbywa się spontanicznie – ktoś ważny musi zdecydować o rozpoczęciu polowania i spuszczeniu ogarów ze smyczy. Dopiero wtedy „ogary idą w las”. A nawet przepychają się jeden przez drugiego, który szybciej dopadnie ofiarę i bardziej boleśnie ją ugryzie. W scenach polowania widać tę ich rywalizację o względy pana już na pierwszy rzut oka. W polityce przepychają się w takich momentach o dostęp do jakiegoś mikrofonu czy kamery, żeby czym prędzej wykazać się gorliwością. Także ofiara nie jest wynikiem przypadku. Ktoś ważny musi ją wytypować, gdyż ogary z nagonki mają w swym instynkcie zapisane, iż nie wolno im dopaść nikogo „przez pomyłkę”, kogo na razie nie chciałby dopaść ich pan.



Fot. Montaż studio graficzne Sieci: Andrzej Wiktor, Shutterstock x 4

Tak, to nie jest przypadek, iż w języku polskim (podobnie zresztą do innych języków) słowo „nagonka” w jednakim stopniu przynależy do języka myśliwych i polityków. Nie jest tak, że to słowo ma dwa odmienne znaczenia. Znaczenie jest jedno i opisuje dokładnie te same mechanizmy, tyle że w jednym porządku rządzące postępowaniem wytresowanych zwierząt, a w drugim – niestety – zdeprawowanych ludzi.

Obecną nagonkę na Zbigniewa Ziobrę uruchomił – w swoim interesie politycznym – premier Donald Tusk. To on kazał spuścić ogary ze smyczy i jasno wskazał im cel polowania. O tym politycznym interesie szefa rządu trzeba będzie jeszcze powiedzieć kilka słów. W chwili, gdy piszę ten tekst, widzę i słyszę całą sforę uczestników nagonki, skoro tylko otworzę jakiś portal polityczny albo włączę radio czy telewizor.

Jednak symboliczną figurą dla tej nagonki na zawsze pozostanie postać aktualnego ministra finansów, który z rozanielonym uśmiechem na twarzy oznajmia zdumionemu dziennikarzowi Polsatu, iż właśnie „dla takiej chwili warto żyć” i „dla takiej chwili warto było wejść w politykę”. W sumie oglądałem ten program przez przypadek (polityki w telewizji zazwyczaj staram się unikać) i tym, co mnie tak uderzyło, była szczerość i prostoduszność tego wyznania kluczowego członka obecnego gabinetu. Oto polski minister finansów naprawdę odnajduje w końcu sens swego wieloletniego zaangażowania w politykę, ale nie w zrównoważonym budżecie państwa, nie w dobrze sfinansowanej służbie zdrowia czy niskim długu publicznym, ale... w wysłaniu do kryminału chorego na raka Zbigniewa Ziobrę. Siedzę i oczy przecieram ze zdumienia, bo trudno mi uwierzyć w to, co widzę. Dotąd nie widziałem bowiem polskiego polityka o tak wysokiej pozycji, który by z taką szczerością wyznawał publicznie, iż prawdziwą rozkoszą życia i polityki jest dlań aportowanie swemu panu, dopadnięcie i zagryzienie wskazanej ofiary.

Zauważyłem, że nie tylko na mnie zrobiło to wrażenie. W oświadczeniu partii Razem, uzasadniającym odmowę uczestnictwa tej małej grupy lewicowych posłów w nagonce zarządzonej przez Tuska, motyw niezwykłej deklaracji ministra finansów pojawia się jako kluczowy argument. Lecz o ile minister finansów pozostanie – przynajmniej dla mnie – ikoną obecnej nagonki, o tyle mój szczególny smutek wzbudził udział w niej innej ważnej i zasłużonej dla niepodległości Polski postaci – Adama Michnika. Tym bardziej że naczelny „Gazety Wyborczej” znalazł odrębny, wyrafinowany sposób na poniżenie Ziobry i okazanie mu pogardy w czasie trwającej przeciw niemu nagonki.

Aby scharakteryzować Ziobrę jako człowieka i polityka, użył w TVP literackiej figury Smierdiakowa – lokaja, bękarta i mordercy, czerpiącego swoje imię od zgwałconej i cuchnącej (czyli smierdiaszczej) matki, a przy tym ogólnie jednej z najbardziej odrażających kreatur w całej europejskiej literaturze, mającej uosabiać infernalną ideę czystego zła. Po czym redaktor doprecyzował jeszcze, iż „Ziobro to bękart faszyzmu i bolszewizmu”.

Zaiste trudno o bardziej przemyślny sposób okazania pogardy komuś słabemu, przegranemu i na dodatek choremu, kto właśnie z powodu swej słabości, porażki i choroby tak doskonale nadaje się na ofiarę nagonki.

MOTYWY NAGONKI

Nagonki są obecne w polityce tak długo, jak istnieje sama polityka. I zawsze służą temu samemu celowi: zdobyciu albo umocnieniu chwiejącej się władzy. Dzieje się tak co najmniej z dwóch powodów: *primo* – nagonka jest prostym i skutecznym narzędziem wzmocnienia każdej władzy, a *secundo* – bo nagonka na ludzi z odsuniętej elity władzy zawsze dostarcza ludowi radosną satysfakcję.

Dlatego od dwóch lat dziwiło mnie to, iż dobrze znający te mechanizmy premier Tusk, nie miewający przy tym skrupułów moralnych, narzędziem wielkiej nagonki na poszczególnych liderów PiS nie posłużył się już dużo wcześniej. Pisałem zresztą o tej zagadce na tych łamach parokrotnie. I kiedy się nad tym zastanawiałem, dochodziłem do przekonania, iż Tusk z jednej strony ciągle nie czuje się aż tak politycznie słaby, by musieć uciekać się do najbrudniejszych narzędzi

eprasa.pl be6914882e

polityki, z drugiej zaś – że być może ciągle obawia się tej części polskiej opinii, która może zareagować na nagonkę rosnącą pogardą wobec samej postaci premiera.

Teraz Tusk wyraźnie osłabł, a jego gazety, portale i telewizje – z „Gazetą Wyborczą" i TVN na czele – po stokroć już mu oznajmiły, iż w gruncie rzeczy jest zakałą swojego obozu politycznego i jak najprędzej winien zostać zastąpiony kimś innym. Widać to nowe dla Tuska poczucie słabości zmobilizowało go do bardziej zdecydowanego zabrania się za prześladowanie liderów PiS. Dotąd bowiem premier nieustannie opowiadał o niesamowitych zbrodniach popełnionych przez liderów PiS, układał – zapewne z pomocą swoich piarowców – niezliczone grepsy internetowe (w stylu: CPK = Całe PiS Kradnie) albo snuł jawne baśnie o ukradzionych 100 mld zł. Do czynów bał się w istocie przechodzić, a jeśli coś próbował, to na samym początku swoich rządów, i to dość nieudolnie, jak z aresztowaniem posłów Kamińskiego i Wąsika, których Bodnar prędko kazał uwolnić. Całkiem możliwe, że po dwóch latach nieudanych rządów Tuska zaczęła ogarniać desperacja, więc spróbuje dopaść nie tylko Zbigniewa Ziobrę, lecz także Mateusza Morawieckiego, wobec którego – jak coraz głośniej słychać – również przygotowuje się długą listę sfabrykowanych zarzutów kryminalnych.

Obawiam się, że w takim planie może mieścić się nie tylko dopadnięcie, lecz także ewentualność śmierci Zbigniewa Ziobry. W końcu literacki Smierdiakow też kończy tragicznie: wiesza się. A co, jeśli Tusk doszedł do wniosku, że „na trupie" Ziobry on sam nie tylko *per saldo* zyska, lecz także mógłby to być nawet swoisty „mord założycielski" jego przyszłej osobistej tyranii – po ostatecznym pochłonięciu dotychczasowych koalicjantów, i tak już pozbawionych większych szans na wejście do Sejmu w inny sposób niźli z list KO?

Tusk wie, że Ziobry prawie nikt nie lubi, a wielu nienawidzi. No i jest schorowany. Nie trzeba wiele, by jego stan uległ pogorszeniu, a to kusi do eskalacji prześladowań. Premierowski tweet: „Albo w areszcie, albo w Budapeszcie" narzuca diabelską alternatywę. Stawania Ziobry przed sądem z wolnej stopy Tusk nie chce i do tego nie dopuści – po to była ta ostra dyscyplina podczas głosowania nad wnioskiem aresztowym. Ziobro ma zostać osaczony, więc nie będzie też żadnego przesłuchania zagranicą. W żurkowym areszcie czeka go konwejer, inne szykany i pozorowane leczenie w więziennym szpitalu. A jeśli nie pojawi się w Polsce, to z europejskim listem gończym na karku nawet leczyć się będzie mógł tylko na Węgrzech, bo już nie w Belgii, jak dotąd. Jeśli umrze na wygnaniu, to wtedy premier napisze tweeta, że w polskim szpitalu więziennym Ziobro miałby lepszą opiekę. Taki jest Tusk.

> Nagonki są obecne w polityce tak długo, jak istnieje sama polityka. I zawsze służą temu samemu celowi: zdobyciu albo umocnieniu chwiejącej się władzy

SYSTEMOWE ZEPSUCIE

W całej sprawie jest jeszcze jeden aspekt, kompletnie odmienny, rzec by można – ustrojowej natury. Jak wiadomo, wszystkie winy, leżące u podstaw oskarżenia byłego prokuratora generalnego, sprowadzają się do sposobu wydatkowania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Jest to założony jeszcze w 1997 r. jeden z licznych w polskim systemie budżetowym tzw. funduszów celowych, który w swej pierwotnej wersji (wbrew temu, co się powszechnie mówi i pisze) nie miał służyć ofiarom przestępstw, lecz przestępcom niemającym z czego żyć po uwolnieniu z kryminału. Sama idea funduszów celowych to w istocie element rozkładu systemu budżetowego państwa, gdyż w ostatecznym rozrachunku zawsze sprowadza się do tego samego: mianowicie jacyś lobbyści (partyjni, zawodowi, środowiskowi) dostają słabo kontrolowane pieniądze wydzielone z budżetu do własnej dyspozycji.

Na podstawie własnego doświadczenia jestem gotów bronić tezy, że w Polsce nie było i nadal nie ma takiego funduszu celowego, z którego nie wydawano by pieniędzy pod kątem jakiejś grupy interesów. Jeśli zatem w Ministerstwie Sprawiedliwości istotnie działał „gang przestępczy" kontrolujący wydawanie pieniędzy z resortowego funduszu celowego, to śmiem twierdzić, że w polskim rządzie i podporządkowanych mu agendach działało i działa zapewne setka takich samych „gangów". Wystarczy rzucić okiem na fundusze „wspierające kulturę" albo „rolnictwo", czy na podobny sposób wydawania pieniędzy z KPO, aby nie mieć tu wątpliwości.

Ostatnim, skądinąd wybitnym ministrem finansów, który walczył z tą ustrojową chorobą, dążąc do tego, co się zwykło nazywać „konsolidacją finansów publicznych", była śp. Zyta Gilowska, wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Wraz ze swym zastępcą Adamem Pęziołem, który przyjął wtedy rolę złego policjanta odbierającego celowe pieniądze ministrom, instytutom, agencjom i Bóg wie jakim jeszcze sprofesjonalizowanym instytucjom lobbystycznym, wytoczyła ona krucjatę funduszom celowym, widząc w nich źródło zepsucia systemu finansów państwa. Niestety odeszła wraz z wyborami w 2007 r.

Od tamtego czasu fundusze celowe oraz rozmaite agencje, centra i instytuty od wydawania publicznych pieniędzy rozpanoszyły się w Polsce. I co rusz jakieś nowe lobby wywalcza sobie swój fundusz czy swój instytut tylko po to, by odebrać państwu kontrolę nad kolejną pulą pieniędzy. Trzeba wiedzieć, że ta destrukcja trwa, a przy okazji ustawy budżetowej na 2025 r. pojawiło się już (uwaga!) 131 tego rodzaju ssawek publicznych pieniędzy. I jeśli ktoś w polskiej polityce na serio chciałby wyciągnąć z kiepskich doświadczeń Funduszu Sprawiedliwości jakąś korzyść dla kraju, to zabrałby się za naprawę struktury finansów publicznych, a nie organizowanie nagonek. Cóż jednak począć, skoro mamy ministra finansów, który właśnie w nagonkach odnalazł swój sens życia i bycia w polityce.

eprasa.pl be6914882e



Zabijanie Odry

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po utworzeniu parku narodowego w Dolinie Dolnej Odry żegluga na tej rzece będzie niemożliwa. W konsekwencji dalszy rozwój portu Szczecin-Świnoujście stanie pod znakiem zapytania. Tylko ktoś naiwny może uwierzyć, że chodzi tu o ochronę przyrody

Prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę powołującą Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. W szczegółowym uzasadnieniu wyjaśnił m.in., że utworzenie nowego parku rodzi ryzyko zablokowania rozwoju gospodarczego regionu.

Był to – zrozumiały ze względu na powagę urzędu prezydenckiego – eufemizm, bo tak naprawdę należałoby powiedzieć, że rząd Tuska z premedytacją demontuje polską gospodarkę, a ustawa o parku narodowym – tak jak zahamowanie prac nad CPK, energetyką jądrową czy ostatnio wywrócenie do góry nogami budowy terminala kontenerowego w Świnoujściu – jest kolejnym punktem tej samobójczej strategii. W zamierzeniach obecnego reżimu Polska ma powrócić do roli ubogich peryferiów Europy, eksploatowanych bez żadnych ograniczeń przez zagraniczny kapitał. Oczywistością będzie stwierdzenie, że Tusk działa tu w zgodzie z obcymi, przede wszystkim niemieckimi, interesami.

NOWY FRONT WOJNY

Rzecz jasna oficjalnie nikt z rządzących nie przyzna się do takiej interpretacji. Zamiast tego będziemy słuchać propagandowych opowieści o trudnościach budżetowych albo o błędach i nadużyciach poprzedniej ekipy, które dziś wymuszają rezygnację lub niekończące się modyfikacje dawno gotowych projektów.

Można też uderzyć z innej strony i – tak jak w przypadku parku narodowego w Dolinie Dolnej Odry – blokować strategiczne inwestycje, sięgając po wyświechtane argumenty z ekologicznego arsenału. Że przecież chodzi tylko o miejsca lęgowe ptaków i rzekotek, a zła prawica sprzeciwia się temu, bo nienawidzi przyrody i chce ją zniszczyć.

Na ten sygnał tabuny zielonych zadymiarzy – dziwnym trafem zawsze opłacanych przez niemieckie fundacje – ruszą do boju, aby bronić matki natury przed faszystowską barbarią. A ponieważ Polacy lubią przyrodę, natychmiast zrobi się im żal rzekotek i łatwo przełkną każdego fejka podsuwanego im przez aktywistów i liberalne media. Kto ma jeszcze wątpliwości, niech sobie przypomni rzekomą rtęć w Odrze, puszczyki mordowane podczas budowy przekopu Mierzei Wiślanej lub wiewiórkę, która miała umrzeć ze zgryzoty za ściętym drzewem w warszawskim parku Szczęśliwickim. Tego rodzaju dezinformacja, podbijana przez propagandystów i celebrytów, przemierzała polski internet z prędkością światła, łapiąc w swoje sidła dziesiątki tysięcy naiwnych, poczciwych ludzi.

Tym razem może być podobnie, bo reżim Tuska jest gotów otworzyć nad Odrą nowy front wojny z prezydentem. Dowiedzieliśmy się bowiem, że park narodowy powstanie pomimo prezydenckiego weta. Ta determinacja rządzących tylko potwierdza tezę, że w tej sprawie ochrona przyrody jest jedynie zasłoną dymną, za którą kryją się cudze interesy ekonomiczne.

WYGASZANIE RZEKI

Dlaczego Odra jest tak ważna dla polskiej gospodarki? Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto spojrzeć na mapę. To potencjalnie bardzo atrakcyjny szlak żeglugowy, którym można spławiać ładunki ze Śląska, a nawet z Czech w kierunku portów w Szczecinie i Świnoujściu. Średniej wielkości barka jest w stanie wziąć na pokład 500 t ładunku, co można przeliczyć na ok. 25 ciężkich tirów. A ponieważ barki zwykle nie pływają samotnie, lecz w zestawach, liczbę tę należy pomnożyć. Zyski z transportu rzecznego są więc oczywiste:

Fot. Shutterstock

eprasa.pl be6914882e

ograniczenie ruchu ciężarówek na drogach wpływa na bezpieczeństwo, ekologię, a także koszty – bo do przewozu wielu setek ton ładunku zamiast kilkudziesięciu kierowców wystarczy kilkuosobowa załoga barki. Minusem jest prędkość, ale w przypadku ciężkich transportów, np. kruszywa, surowców, materiałów budowlanych, nie ma to aż takiego znaczenia.

Pół wieku temu Odrą przewożono rocznie kilka milionów ton towarów. Wraz ze schyłkiem PRL i później – już po upadku komunizmu – wykorzystanie Odry zaczęło jednak spadać. Jedną z przyczyn było zaniedbanie szlaków wodnych, o które – podobnie jak o drogi – należy stale dbać: pogłębiać nurt, konserwować urządzenia, śluzy itd. Oczywiście nasuwa się pytanie, na ile te zaniedbania były pobocznym skutkiem złej kondycji państwa, a na ile miały charakter intencjonalny.

W latach 90. i potem w kolejnej dekadzie Polska stała się rezerwuarem taniej siły roboczej dla największych państw Unii z Niemcami na czele, a to pociągało za sobą istotne zmiany infrastrukturalne. Po co komu było w takich warunkach utrzymywanie ciągów transportowych na linii północ–południe (a takim właśnie jest Odra), skoro niemal całość polskiej wymiany handlowej oraz tranzyt szedł na linii wschód–zachód? Towary przewożono z Polski w kierunku Niemiec i z powrotem oraz pomiędzy Niemcami a Rosją i państwami obszaru posowieckiego.

Zapaść ruchu na linii północ–południe wskazywała więc wyraźnie na utratę samodzielności gospodarczej Polski i podporządkowanie naszej infrastruktury transportowej potrzebom silniejszych partnerów z Unii. Budowano zatem i modernizowano głównie szlaki przecinające nasz kraj w poprzek: możemy tu wymienić choćby autostrady A2 i A4, których brakujące odcinki pospiesznie kończono za rządów Tuska. Taka polityka pogłębiała infrastrukturalne kalectwo Polski oraz jego konsekwencje dla całej naszej gospodarki.

NIEMCY WCHODZĄ DO GRY

Polskie rzeki nie płyną w poprzek kraju, więc nic dziwnego, że żegluga śródlądowa właściwie zamarła. Wraz z zapaścią na Odrze zaczął umierać port w Szczecinie, przekształcając to kwitnące niegdyś portowe i stoczniowe miasto w ubogie peryferie Berlina. Świnoujście ostało się przy życiu dzięki położeniu nad otwartym morzem, niewielkiemu portowi wojennemu oraz terminalowi, z którego kursują regularne promy do Szwecji.



Modernizacja od dekad zaniedbanych, po polskiej stronie, ostróg na Odrze miała być jednym z etapów przywracania rzece żeglowności

Znaczenie tego miasta wzrosło po zbudowaniu na Wolinie gazoportu. Mało kto dziś pamięta gwałtowne niemieckie protesty przeciwko tej strategicznej inwestycji. Wśród zarzutów były nawet rzekome szkody, jakie gazoport miał wyrządzić meklemburskiemu ptactwu i nietoperzom. Oczywiście nie chodziło o żadne nietoperze, lecz o budowaną w tym samym czasie rurę Nord Streamu. Świnoujski gazoport był bezpośrednią konkurencją dla dostaw rosyjskiego gazu. Niemcy zarzucali też Polsce, że ciężkie tankowce z gazem mogą uszkodzić podmorską rurę i kategorycznie sprzeciwiali się jakiemukolwiek pogłębianiu toru wodnego. Berlin opóźniał polską inwestycję, jak mógł, co zapewne tłumaczyło powolne tempo prac nad gazoportem w czasach rządów Tuska.

Wtedy Odra nie wzbudzała emocji, bo w praktyce była martwą rzeką. Ruch śródlądowy zamarł i nie stanowił żadnej konkurencji dla rozwiniętych szlaków żeglugowych zasilających niemieckie porty. W tej chwili Odra ma niską II klasę żeglowności, jednak poprzedni rząd chciał ją podnieść do poziomu klasy III, co pozwoliłoby na ruch barek o ładowności do 700 t. To dlatego po polskiej stronie modernizowano zaniedbane od dekad ostrogi, czyli rodzaj nasypów idących w poprzek rzeki, aby w ten sposób udrożnić i skanalizować jej nurt, a przy okazji ograniczyć ryzyko powodzi.

Podjęte prace od razu zostały zauważone przez naszych zachodnich sąsiadów. Tym bardziej że miał to być dopiero początek ambitnego planu przywracania żeglugi śródlądowej w naszym kraju. W 2016 r. Polska ratyfikowała konwencję AGN (europejskie porozumienie na temat głównych śródlądowych dróg wodnych o znaczeniu międzynarodowym). Zgodnie z nią przyjęto wymagania techniczne dla trzech najważniejszych polskich szlaków rzecznych – drogi E30 (Odra od ujścia w kierunku Śląska z możliwym przedłużeniem kanałami do Dunaju), drogi E40 (od Gdańska poprzez Wisłę, potem przez Białoruś i Ukrainę do Morza Czarnego) oraz drogi E70 (łączącej Odrę z Wisłą poprzez Wartę i Noteć). Docelowo powinny one mieć V klasę żeglugową, co miało się wiązać z dużymi kosztami (np. pogłębianie i poszerzanie toru wodnego oraz zwiększanie prześwitu pod mostami), ale zarazem umożliwić niezakłócony ruch wodny. I choć te plany były dalekie od realizacji, wzbudziły poważny niepokój w Berlinie, bo groziły przekierowaniem głównych regionalnych szlaków handlowych do polskich portów.

Przypomniano sobie wtedy o dawnym pomyśle utworzenia na obu brzegach Odry parku narodowego. Taki park od 1995 r. istnieje po brandenburskiej stronie rzeki, ale Polakom nigdy nie spieszyło się do otwarcia jego odpowiednika na naszym terytorium. I nic dziwnego, bo po pierwsze, wspomniane tereny są już dostatecznie chronione dzięki parkowi krajobrazowemu i obszarowi Natura 2000, a po drugie, stworzenie transgranicznego parku przecinającego bieg rzeki ozna-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl be6914882e



czałoby faktyczny koniec żeglugi na Odrze, która z gospodarczego punktu widzenia stałaby się zupełnie bezużyteczna.

Rozpoczęła się więc propagandowa hucpa, której apogeum była zmyślona historia o rtęci jakoby znalezionej w Odrze. Donoszono nawet o ludziach rzekomo poparzonych toksyczną substancją. Rzeczywistym celem tego obrzydliwego kłamstwa było zablokowanie prac modernizacyjnych na szlaku żeglugowym, co zostało ostatecznie zarządzone decyzją sądu administracyjnego w grudniu 2022 r. i potwierdzone w kolejnych instancjach.

MYDLENIE OCZU

Po październikowych wyborach w 2023 r. batalie sądowe nie były już jednak potrzebne. Gabinet Tuska postanowił bowiem powrócić do koncepcji parku narodowego i raz na zawsze zamknąć Odrę dla żeglugi.

Oczywiście nikt w rządzie nie powiedział wprost, iż żeglugi na Odrze nie będzie, byłoby to bowiem zbyt ostentacyjnym przyznaniem się do działania na szkodę państwa. „Ministra" klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska zapewnia, że przedsiębiorstwo Wody Polskie otrzymało w ustawie niezbędne uprawnienia do utrzymania żeglugi, a sam park nie obejmuje rzeki. Jednak te wyjaśnienia nie trzymają się kupy, i to z kilku powodów. Po pierwsze, trudno jest rozwijać żeglugę na rzece, która nie będzie już modernizowana ani pogłębiana. Po drugie, jak wynika z załączonych map, w przekopie Klucz-Ustowo, który jest połączeniem szczecińskiego portu z Berlinem i Wrocławiem, tor wodny zwężono o 60 proc. Chodzi tu o krótki odcinek (300 m), ale to wystarczy, aby w praktyce uniemożliwić żeglugę. Wreszcie po trzecie, granice parku narodowego mogą być zmieniane w drodze rozporządzenia rządu, a to oznacza, że w każdej chwili będzie go można poszerzyć o nurt rzeki.

Hennig-Kloska zapewnia również, że utworzenie parku nie zahamuje rozwoju gospodarczego regionu. „Samorządy i przedsiębiorcy wiedzą, że parki narodowe są lokomotywami rozwoju – przyciągają turystów, inwestycje i tworzą nowe miejsca pracy" – twierdzi „ministra", a jej resort chwali się, że za nowym parkiem opowiada się 70 proc. Polaków (w tym aż 86 proc. mieszkańców Pomorza Zachodniego). Częściowo można to wytłumaczyć wspomnianym wcześniej zamiłowaniem naszych rodaków do przyrody (bez wnikania w prawdziwe intencje jej rzekomych obrońców), a częściowo dużymi subwencjami obiecanymi przez rząd okolicznym gminom. Wójt gminy Widuchowa cieszył się w rozmowie z Onetem, że coroczna subwencja ekologiczna dla jego gminy wyniesie 1,1 mln zł, a dodatkowo dostanie jeszcze 4,9 mln, za co uda się zbudować przedszkole ze żłobkiem. W takiej sytuacji to chyba oczywiste, że okoliczni mieszkańcy są za parkiem.

> Rządzący będą chcieli obejść weto poprzez utworzenie w Dolinie Dolnej Odry filii istniejącego już parku narodowego. Na to zgoda prezydenta nie jest wymagana

Choć nie wszyscy. W Gryfinie, gdzie miała znajdować się dyrekcja nowego parku, miejscowi radni sprzeciwili się pomysłom rządu. W gminie znajduje się strategiczna dla polskiego systemu energetycznego elektrownia Dolna Odra. Już wkrótce jej pracowników czekają zwolnienia w związku z wygaszaniem czterech bloków węglowych. Nic więc dziwnego, że Gryfino, które obawia się konsekwencji zielonej transformacji, nie okazuje entuzjazmu na wieść o nowym parku narodowym, który może uśmiercić żeglugę na Odrze. Gminie nie udało się jednak zablokować utworzenia parku. Rząd po prostu zmniejszył jego powierzchnię i wyłączył z niego obszar Gryfina.

CWANY PLAN

Upór, z jakim reżim Tuska dąży do utworzenia parku narodowego (czytaj: zablokowania rozwoju Pomorza Zachodniego), jest naprawdę zaskakujący. Bo nawet weto prezydenta nie zmieniło jego planów. Okazuje się bowiem, iż rządzący będą chcieli obejść przepisy, poprzez utworzenie w Dolinie Dolnej Odry filii istniejącego już parku narodowego. W tym kontekście mówiło się o Parku Narodowym Ujście Warty oraz – co bardziej prawdopodobne – Wolińskim Parku Narodowym.

Chodzi o to, że nowy park narodowy może powstać tylko w drodze ustawy, ale jego granice – jak już wspomniałem – mogą być zmieniane rozporządzeniami rządu. Wystarczy więc poszerzyć inny park, a na to zgoda prezydenta nie jest już wymagana.

Można to nazwać sprytem, ja jednak wolę określenie „cwaniactwo". Bo choć teoretycznie prawo nie zostanie złamane, będzie to jawne lekceważenie nie tylko woli prezydenta, lecz także opinii sporej części mieszkańców, którzy – tak jak w Gryfinie – sprzeciwili się zamykaniu ich w zielonej klatce parku narodowego.

Premier ewidentnie idzie na wojnę z prezydentem w sprawie parku narodowego w Dolinie Dolnej Odry. Ma nadzieję, że wystąpi w tym starciu jako obrońca przyrody, co przyniesie mu sympatię większości społeczeństwa. Ale tu w ogóle nie chodzi o przyrodę. Tusk po prostu nienawidzi Nawrockiego, więc za każdym razem będzie starał się podważyć autorytet prezydenta i tym samym osłabić jego popularność.

Do tej pory prawica przegrywała większość „ekologicznych" bitew. Być może prezydentowi uda się wreszcie wyjaśnić Polakom, że istotą sprawy nie jest dobrostan ptaków i rzekotek, ale strategiczny interes gospodarczy kraju, a więc przyszłość nas wszystkich.

eprasa.pl be6914882e

Studio Magdaleny Ogórek



Uwielbiana przez widzów telewizji wPolsce24 dziennikarka w nowej roli. Ostre rozmowy, publicystyka na najwyższym poziomie i sporo humoru w każdą niedzielę o godz. 21.00 na antenie najszybciej rozwijającej się stacji w Polsce

Tragedia rolników, którzy nie dość, że muszą organizować samozbiory, bo nie opłaca im się zawozić do skupu swojej produkcji, to jeszcze dostaną po głowie planowanym przez Ministerstwo Finansów podatkiem VAT od tych samozbiorów. Sytuacja w służbie zdrowia: zamykane oddziały, pacjenci onkologiczni odsyłani z kwitkiem, ziejąca pustką kasa Narodowego Funduszu Zdrowia. Skandaliczny pomysł, by kobiety z małych miast rodziły na SOR, bo porodówki są „nieopłacalne". A nad tym wszystkim błazenada premiera Donalda Tuska, wrzucającego niby to śmieszne filmiki do mediów społecznościowych.

ŻYWO I MOCNO

Tematy w „Studiu Magdaleny Ogórek", nowym programie jednej z gwiazd telewizji wPolsce24, są trudne i ważne. Goście? Wyraziści. Bardzo wyraziści. Dość powiedzieć, że w pierwszym „Studiu" wypowiadali się: zawsze dosadny Jacek Kurski, nieszczypiący się w język działacz PSL Jacek Soska czy wchodząca w zwarcie bez chwili zawahania Małgorzata Prokop-Paczkowska z Lewicy. W programie iskrzyło, wszystko rozgrywało się na granicy wybuchu.

– Żyjemy w gorących politycznie czasach. Dziś publicystyka wygląda nieco inaczej niż kiedyś. Goście są odważniejsi, jest dużo emocji – wyjaśnia formułę programu Magdalena Ogórek.

Dziennikarka nie ukrywa, że nowa propozycja telewizji wPolsce24 nawiązuje do hitowego „Studia Polska" nadawanego w czasach, kiedy TVP nie znajdowała się jeszcze w stanie likwidacji. – Kto pamięta emocje ze „Studia Polska", to tutaj też sięgną zenitu – zapowiadała na wstępie debiutanckiego programu Magdalena Ogórek.

Dziennikarka wyjaśnia, że zależy jej na stworzeniu show w amerykańskim stylu – treściwego, żywego, dotykającego codziennych, ludzkich spraw, a jednocześnie pozwalającego nabrać do nich trochę zdrowego dystansu. Temu służy druga część dwugodzinnego formatu, poświęcona rozmowom z publicystami. W pierwszym „Studiu" gościli znany satyryk i pisarz Marcin Wolski, a także felietonista, youtuber, a przede wszystkim muzyk Jan Pospieszalski. Nie obyło się więc bez występu.

– Jan Pospieszalski śpiewał na antenie. Staramy się sięgać po niecodzienne rozwiązania. Nudy w tym programie nie będzie – mówi Magdalena Ogórek.

MAGDA I JEJ TEMPERAMENT

Fani dziennikarki nadal będą mogli ją oglądać, mniej więcej dwa razy w tygodniu, w wieczornej „Polityce na deser". Ogórek nie będzie za to prowadziła już regularnie politycznego „Minęła 20.05". W niedzielę program ten zastępują rewelacyjnie przyjęte przez widzów „Hity Feusette'a".

– Mamy poczucie, że Magda i jej temperament wreszcie mogą wypełnić tę publicystyczną przestrzeń, jakiej dla niej szukaliśmy od dłuższego czasu. Niedziela, godzina 21.00, to czas, kiedy możemy widzom zaproponować rzeczywiście imponującą i energetyczną publicystykę, różnorodność i po prostu ciekawy wieczór – mówi nam Mariusz Pilis, dyrektor programowy telewizji wPolsce24. To on odpowiada za je-

Autopromocja

eprasa.pl be6914882e

sienną ramówkę, która przyniosła dowodzonej przez redaktora naczelnego Jacka Karnowskiego stacji znaczny wzrost oglądalności.

Wśród innych nowości są m.in. poranne rozmowy doskonale znanego naszym czytelnikom Marcina Wikły, „Bez pardonu" Anny Pawelec i Dariusza Matuszaka (poniedziałek–piątek o godz. 14.00) czy „Piątki" Olivera Pochwata (poniedziałek–piątek o godz. 13.25). Niedawno dołączyli do nich Marta Radziach, Wiktor Świetlik i Wojciech Surmacz ze swoim „Zwalniamy cię" (niedziela, godz. 14.00).

– Przyznam, że mnie osobiście ciężko było się oderwać od telewizora, kiedy oglądałem odcinek premierowy – mówi Mariusz Pilis o debiucie nowego formatu Magdaleny Ogórek. – Jeśli ta kreatywna propozycja utrzyma swoje tempo i energię, to mamy dla naszych widzów program, w którym krzyżują się mocne tematy i dobra patriotyczna rozrywka. Tego chcieliśmy, takiej Magdy – podkreśla.

Magdalena Ogórek jest związana z telewizją wPolsce24 od września zeszłego roku. To doświadczona dziennikarka, mająca za sobą pracę w największych polskich stacjach, a także autorka głośnych książek o niemieckich zbrodniach i grabieżach dzieł sztuki „Lista Wachtera. Generał SS, który ograbił Kraków" i „Król Olch. Wilm Hosenfeld, oficer, który uratował Władysława Szpilmana". Z wykształcenia jest historyczką, stopień naukowy doktora nauk humanistycznych o specjalności historia otrzymała na podstawie pracy zatytułowanej „Beginki i waldensi na Śląsku i Morawach do końca XIV wieku". Poza pracą w mediach Magdalena Ogórek prowadzi Muzeum Sztuki Zagrabionej w Sulisławicach na Dolnym Śląsku.

> Żyjemy w gorących politycznie czasach. Dziś publicystyka wygląda nieco inaczej niż kiedyś. Goście są odważniejsi, jest dużo emocji – wyjaśnia formułę programu Magdalena Ogórek

STABILNY WZROST

Według danych firmy Nielsen zajmującej się telemetrią średnia minutowa widownia wPolsce24 wynosiła w październiku blisko 76 tys. widzów, a udział w rynku sięgnął 1,44 proc. Rok wcześniej było to jedynie 0,79 proc. Są dni – jak 11 listopada, kiedy wPolsce24 nadawała m.in. ekskluzywny wywiad z prezydentem Karolem Nawrockim – ze średnią oglądalnością zbliżającą się do 150 tys. widzów i udziałami w rynku przekraczającymi 2 proc.

– Podczas rozmowy Emilii Wierzbicki i Wojciecha Biedronia z głową państwa osiągnęliśmy w szczycie ponad 580 tys. widzów, wyprzedzając wszystkie pozostałe stacje informacyjne. To historyczny wynik, podobnie jak i nasze ponad 2 proc. w ciągu całego, skupionego wokół jednego, pokazywanego przez wszystkich wydarzenia – podkreśla Mariusz Pilis.

To wielki sukces młodej, tworzonej za relatywnie niewielkie pieniądze telewizji.

– Telewizja wPolsce24 to przede wszystkim wspaniali dziennikarze – nieustannie podkreśla Jacek Karnowski. – Wielu z nich zostało brutalnie wyrzuconych z Telewizji Polskiej w grudniu 2023 r. Ale nie poddali się, nadal pracują i służą świętej sprawie polskiej wolności. Wiemy przecież dobrze, że bez silnych mediów reprezentujących patriotyczny punkt widzenia prawa zapisane w konstytucji i ustawach, gwarantujące wolność słowa, wcześniej czy później pozostaną pustym, papierowym zapisem. Wielu Polaków doskonale to rozumie. Bez materialnego wsparcia ze strony naszych widzów telewizja wPolsce24 nie byłaby wstanie funkcjonować – dodaje redaktor naczelny wPolsce24

ŁW



eprasa.pl be6914882e

Świadome decyzje zaczynają się w dzieciństwie. Jak uczyć najmłodszych mądrego gospodarowania pieniędzmi?

Edukacja finansowa od najmłodszych lat

Jak nauczyć dziecko, że pieniądze nie rosną na drzewach, a każda decyzja finansowa ma konsekwencje? Z pomocą przychodzi Krajowa Strategia Edukacji Finansowej i projekty, które wprowadzają najmłodszych w świat ekonomii poprzez zabawę, rozmowę i praktyczne doświadczenia. Świadome zarządzanie pieniędzmi to jedna z najważniejszych umiejętności współczesnego człowieka. Dlatego w edukacji szkolnej i rodzinnej coraz większą rolę odgrywa nauka finansów. Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej od lat pokazuje, że edukacja ekonomiczna może być mądra, ciekawa i inspirująca – nawet dla przedszkolaków

Świadomość finansowa stała się kluczowym elementem funkcjonowania w nowoczesnej gospodarce, która może znacząco wpływać na jakość życia i bezpieczeństwo ekonomiczne obywateli. Poziom edukacji finansowej w Polsce nieustannie wymaga znaczącej poprawy zarówno wśród dorosłych, jak i młodych obywateli.

O tym, jak ważna jest edukacja finansowa na każdym etapie życia, może świadczyć opracowanie i przyjęcie w 2024 r. przez Radę Ministrów Krajowej Strategii Edukacji Finansowej dla Polski. Tym samym nasz kraj dołączył do ponad 60 państw, które realizują krajowe strategie na rzecz edukacji finansowej. Celem Strategii jest zapewnienie mieszkańcom Polski kompetencji finansowych niezbędnych do poprawy własnej odporności finansowej oraz zdolności do ochrony przed problemami finansowymi, zwiększenie dobrostanu finansowego poprzez lepszą kontrolę własnych finansów oraz osiąganie krótko- i długoterminowych celów finansowych.

Pierwszy plan wdrażania Strategii (w latach 2024–2026) wskazuje dzieci, młodzież, ich rodziców/opiekunów i nauczycieli jako grupy docelowe, które wymagają priorytetowego wsparcia w zakresie podniesienia kompetencji finansowych. To właśnie posiadane



eprasa.pl be6914882e

kompetencje finansowe mają pomóc nam wzmocnić odporność finansową i w konsekwencji osiągnąć dobrostan finansowy.

EDUKACJA FINANSOWA – PROCES TRWAJĄCY CAŁE ŻYCIE

Edukacja to proces trwający całe życie i wspierający wieloaspektowy rozwój człowieka, który rozpoczyna się już na etapie wczesnego dzieciństwa, a jego najważniejszym miejscem jest rodzina. Podobnie jest z edukacją finansową. Jej wszechstronność obejmuje nie tylko przekazywanie wiedzy, lecz także rozwijanie umiejętności oraz kształtowanie postaw i zachowań, które w przyszłości mają pomóc w podejmowaniu bezpiecznych i racjonalnych decyzji finansowych.

Edukacja finansowa w swej najprostszej i najwcześniejszej postaci jest edukacją nieformalną. To naturalny, niezaplanowany i często nieświadomy proces uczenia się poprzez codzienne doświadczenia i interakcje z otoczeniem, rodziną, najbliższymi. Doświadczamy jej od urodzenia, ma ona największy wpływ na kształtowanie się prawidłowych postaw i nawyków finansowych.

ROZMOWY O PIENIĄDZACH KSZTAŁTUJĄ DOBRE NAWYKI

Ogromne znaczenie w edukacji finansowej ma tzw. coaching finansowy (rozmowy o pieniądzach) – zainteresowanie dzieci sferą finansów, włączanie ich do rozmów o pieniądzach, kształtowanie nawyków oszczędzania poprzez dawanie nawet najmniejszych kwot kieszonkowego od najmłodszych lat na ustalonych zasadach, odróżnianie potrzeb od zachcianek, robienie list zakupów czy wspólne prowadzenie budżetu domowego.

Znaczenie ekonomii w wychowaniu dziecka jest bardzo ważne, ponieważ kształtuje postawy prospołeczne, odpowiedzialność i empatię. Wprowadzanie dzieci w świat finansów i ekonomii to inwestycja w przyszłość. Naukę podstawowych pojęć ekonomicznych można, a nawet powinno się zacząć już w wieku przedszkolnym. Ważne jest dostosowanie języka i formy przekazu do etapu rozwoju dziecka i stopniowe wprowadzanie bardziej złożonych zagadnień.

MATERIAŁY EDUKACYJNE DLA NAJMŁODSZYCH

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej od lat prowadzi działalność wydawniczą skupioną wokół zagadnień z zakresu finansów i ekonomii, przeznaczoną dla różnych grup wiekowych – również dla najmłodszych.

Wśród oferty wydawniczej znajdują się m.in. autorskie materiały edukacyjne w postaci dwóch zeszytów ćwiczeń „Finansowe Łamigłówki Sówki Mądrej Główki" dla dzieci w wieku 5–7 lat. W publikacjach tytułowa Sówka Mądra Główka jest przewodnikiem po świecie finansów, opowiadając m.in., skąd się biorą pieniądze, zapraszając najmłodszych do wspólnej podróży po Finansowym Lesie, rozwiązywania zagadek i łamigłówek finansowych.

PROJEKTY, KTÓRE UCZĄ ODPOWIEDZIALNOŚCI

Propozycją Stowarzyszenia dla nieco starszych odbiorców był prowadzony w latach 2011–2017 w wybranych szkołach podstawowych projekt „Moje pierwsze pieniądze", przeznaczony dla dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Zajęcia były prowadzone przez nauczycieli-trenerów w formie 15-godzinnych warsztatów na podstawie zeszytu ćwiczeń dla ucznia, kart ćwiczeń, płyty DVD z animacjami i przewodnika metodycznego dla nauczyciela.

Program obejmował m.in. zagadnienia, takie jak: geneza pieniądza, rozumienie współczesnych form pieniądza i jego znaczenie w życiu codziennym, kształtowanie pozytywnego nawyku oszczędzania, zrozumienie różnicy pomiędzy potrzebą a zachcianką, świadome gospodarowanie środkami, krytyczne podejście do reklam i ideę sprawiedliwego handlu. Mimo że materiał dotyczył tematów z pozoru trudnych, dzieci chętnie uczestniczyły w warsztatach, które w sposób aktywny i kreatywny pozwalały im poznawać świat finansów.

„MYŚLĘ, DECYDUJĘ, DZIAŁAM" – KOMPLEKSOWY PROGRAM DLA SZKÓŁ

Ze względu na niski poziom świadomości finansowej wśród dzieci oraz brak oferty w zakresie edukacji formalnej na tym etapie kształcenia w podstawie programowej, w 2016 r. Stowarzyszenie opracowało trzyletni program edukacji finansowej dla dzieci klas I–III szkół podstawowych „Myślę, decyduję, działam – finanse dla najmłodszych".

Materiał bazuje na koncepcji „pakietu projektów edukacyjnych" w ośmiu obszarach tematycznych: pieniądz, zarabianie pieniędzy, gospodarstwo domowe, przedsiębiorstwo, sklep, instytucje finansowe, oszczędzanie i inwestowanie, solidarność i wzajemna pomoc. Uczniowie poznają podstawowe pojęcia z zakresu ekonomii, uczą się rozumienia mechanizmów finansowych, a także rozwijają umiejętności wartościowania i myślenia krytycznego wobec codziennych zjawisk gospodarczych.

Wiedząc, jak ważną rolę w procesie edukacji finansowej odgrywa szkoła, od 2017 r. Stowarzyszenie realizuje współfinansowany przez Narodowy Bank Polski projekt „Myślę, decyduję, działam – finanse dla najmłodszych". Projekt obejmuje zajęcia w klasach I–III szkół podstawowych i bazuje na przygotowanych materiałach dydaktycznych: pakiecie dla ucznia oraz poradniku dla nauczyciela.

Obecnie trwa trzecia edycja projektu, w której bierze udział 34 nauczycieli oraz 611 uczniów. Przed rozpoczęciem zajęć w styczniu 2025 r. nauczyciele odbyli trzydniowe warsztaty metodyczne prowadzone przez ekspertki edukacji wczesnoszkolnej i finansowej. W ramach trzyletniej edycji projektu zostanie zrealizowanych 90 godzin zajęć pozalekcyjnych, a dla uczniów przewidziane są również konkursy z zakresu finansów. Uczestnicy nieodpłatnie otrzymują materiały edukacyjne, a nauczyciele – wynagrodzenie za prowadzenie zajęć.

Opracowała:
Magdalena Nastrabasz
Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Artykuł sponsorowany | 02/0925/F/ZAL
Fot. Shutterstock

eprasa.pl be6914882e

Mindicz Gate – skandal, który może pogrążyć Zełenskiego

Na Ukrainie wybuchła największa za rządów Zełenskiego afera korupcyjna, która w konsekwencji może doprowadzić nawet do końca kariery politycznej obecnego prezydenta i zawarcia niekorzystnego – jak twierdzą niektórzy komentatorzy – zawieszenia broni w wojnie z Rosją



Timur Mindicz



MAREK BUDZISZ

Skandal jest związany z Timurem Mindiczem, właścicielem firmy producenckiej Kwartał 95, z którą w przeszłości blisko współpracował Zełenski. Nie pełni on obecnie żadnych oficjalnych funkcji, ale w Kijowie od dawna się mówiło, że największe interesy załatwia się na Gruszewskiego 9A, czyli tam, gdzie mieszka oskarżany przedsiębiorca. Co ciekawe w tym samym budynku znajduje się przeszło 300-metrowy apartament, z którego korzystał Zełenski.

Kilka godzin przez rewizjami i aresztowaniami przeprowadzanymi przez NABU Mindiczowi udało się wyjechać z kraju, podobnie jak Ołeksandrowi Zukermanowi, który miał odpowiadać na back office, czyli system prania i transferu za granicę brudnych pieniędzy. Właściciel Kwartału 95 jest notabene tą osobą, która poznała Zełenskiego z Ihorem Kołomojskim, jednym z ukraińskich oligarchów, byłym właścicielem Privat Banku. Dziś drogi Kołomojskiego i Zełenskiego się rozeszły, ale obecny prezydent zaczynał swą karierę polityczną, blisko współpracując z byłym oligarchą i był lansowany w kontrolowanych przezeń mediach.

Mindicz jest oskarżany przez NABU, biuro dochodzeniowe, którego zadaniem pozostaje walka z korupcją na najwyższych szczeblach władzy, o stworzenie nieformalnej sieci wokół państwowego koncernu Enerhoatom, który zarządza

Fot. Shutterstock

eprasa.pl be6914882e

wszystkimi ukraińskimi reaktorami jądrowymi. W związku z wojną firma ta została zwolniona z obowiązku przeprowadzania przetargów, nie można jej też pozwać do sądu, jeśli nie płaci ona za dostarczone usługi i materiały. I to ułatwiło Mindyczowi zorganizowanie całego systemu korupcyjnego. Każdy przedsiębiorca, który chciał coś sprzedać lub odzyskać zapłatę od Enerhoatomu, musiał płacić – liczony średnio na poziomie 10–15 proc. od wartości umowy – „otkaty", czyli łapówki, dla ludzi właściciela Kwartału 95. Oskarżenia NABU mówią o 100 mln dol. wymuszonych łapówek, a jeden z aresztowanych, Ihor Fursenko, w nagranych rozmowach skarży się, że wcale nie jest tak przyjemnie nosić 16-kilogramowe torby z paczkami dolarów.

MINISTROWIE NA CELOWNIKU

Skala korupcji – nawet jak na Ukrainę – jest gigantyczna, ale trzeba też wiedzieć, że w tym przypadku nie chodzi wyłącznie o „prywatną inicjatywę", czyli wzbogacenie się Mindicza i jego wspólników. W Kijowie mówi się, że lewa kasa z Enerhoatomu służyła do finansowania klubu Sługi Narodu w Radzie Najwyższej. Na Ukrainie nie jest tajemnicą, że deputowani oprócz normalnych wypłat – zresztą na niskim poziomie – otrzymują od liderów klubów comiesięczne koperty. To ich wiąże z przywództwem politycznym i gwarantuje lojalność. Ten proceder jest powszechny i nie obejmuje wyłącznie reprezentantów obozu rządzącego. Ale skandal, który wybuchł, oznacza też, że w kolejnym miesiącu ludzie Zełenskiego mogą nie dostać tego rodzaju „prezentów", co utrudni dyscyplinowanie deputowanych, których kadencja już upłynęła, a to tylko zwiększa ich skłonność do niezależności.

W aferę Mindicza są uwikłani ministrowie – zarówno byli, jak i obecni. Z urzędem już pożegnał się szef resortu sprawiedliwości, a do lata br. energetyki, Herman Hałuszczenko, a o dymisję poprosiła też jego następczyni Swietłana Hrynczuk. Media piszą też o tym, że „pod wpływem" Mindicza znajdował się były minister obrony Umerow (zdecydowanie temu zaprzecza), obecnie sekretarz Rady Bezpieczeństwa. W świetle tej narracji korupcyjne przedsięwzięcie miało „dwie nogi" – energetyczną i wojskową, bo to dwa sektory, przez które w trakcie wojny przepływają największe pieniądze i „otkat" może być znaczący.

OSIEDLE CZERNYSZOWA

Jednym z podejrzewanych przez NABU jest też były wicepremier Ołeksij Czernyszow, którego szybka kariera polityczna zaczęła się – jak piszą dziennikarze „Ukraińskiej Prawdy" – w 2019 r., po tym, jak Timur Mindicz rekomendował go Zełenskiemu. To z nim jest związana podjęta latem br. przez prezydenta Ukrainy próba likwidacji niezależności biura dochodzeniowego NABU i specjalnej prokuratury antykorupcyjnej. Zełenski miał pospiesznie podpisać uchwalone zmiany legislacyjne po to, aby chronić Czernyszowa, wokół którego zaczęło być coraz goręcej. Ludzie wyszli wówczas na ulice i pod presją demonstrujących, a także Zachodu, Zełenski ostatecznie ustąpił.

Motywy Zelenskiego są na Ukrainie czytelne, bo w Kijowie nie stanowi tajemnicy, iż żona byłego wicepremiera Switłana jest przyjaciółką „pierwszej damy" Ołeny, która jest zresztą matką chrzestną córki Czernyszowa. Obie rodziny się lubiły i spędzały ze sobą wiele czasu. Na Ukrainie nie brak też głosów, że niespodziewane zmiany w rządzie, które nastąpiły latem br. – odszedł wtedy premier i zmieniono kilku kluczowych ministrów, w tym z funkcji zrezygnował Czernyszow – były działaniem uprzedzającym podjętym przez obóz prezydencki, który już wiedział o toczącym się śledztwie NABU i postanowił się bronić. Jednym ze sposobów tej obrony było dochodzenie, które prowadziło – angażując znaczne siły, bo mowa o oddelegowaniu nawet 300 funkcjonariuszy – politycznie lojalne wobec Zełenskiego SBU. Ludzie gen. Maliuka mieli śledzić m.in. Rusłana Magamedrasułowa, dyrektora koordynującego działalność służb antykorupcyjnych w nadgranicznych obwodach. Został on aresztowany pod zarzutem prowadzenia firmy w Rosji, ale rzeczywiste motywy jego zatrzymania – jak się okazuje – mogły być zupełnie inne. Już po wybuchu afery Mindicza stojący na czele grupy dochodzeniowej Rusłan Abakumow powiedział, że Magamedrasułow był również zaangażowany w to dochodzenie i dzięki niemu udało się „zebrać kluczowe dowody". Innymi słowy jego zatrzymanie miało prowadzić do sparaliżowania śledztwa.

Obecnie byłemu wicepremierowi Czernyszowowi postawiono trzy zarzuty, w tym przyjęcie od Mindycza ponad miliona dolarów łapówki, jednak z politycznego punktu widzenia nie te oskarżenia są najistotniejsze. Jednym z nich jest nadużycie władzy w związku z budową przez powiązaną z nim firmę osiedla luksusowych willi w Kozinie pod Kijowem. Dziennikarze Bihus.Info, portalu specjalizującego się w tropieniu afer w ukraińskich kręgach władzy, ujawnili, iż na wielkiej, pięknie położonej działce nad jednym z dopływów Dniepru powstają cztery ogromne wille, największą z których miał zająć – no właśnie, kto? Nie wiadomo dokładnie, ale o ile udało się ustalić nazwiska przyszłych właścicieli trzech mniejszych budynków, o tyle niewiele wiadomo o tym, kto miał być lokatorem najokazalszego i najbardziej reprezentacyjnego z nich.

„Ukraińska Prawda" pisała, że właśnie po ujawnieniu tego wątku Czernyszow pojawił się w administracji prezydenta, choć wcześniej, po odejściu z rządu, go tam nie widywano. Na ujawnionych przez NABU nagraniach podsłuchów Carlson, czyli Mindicz, mówi, że „trzeba wstrzymać" budowę osiedla, bo związany z nim skandal może mieć nieobliczalne konsekwencje. Trudno, aby nie wzbudzało społecznych emocji – zwłaszcza w czasie wojny – to, jak żyje władza i jak okazałe domy sobie buduje. Tym bardziej że na Ukrainie pamięta się wielką willę Janukowycza, do której po Rewolucji Godności każdy mógł wejść i zobaczyć, w jakich luksusach się pławił.

NIE ENERGETYCZNE BEZPIECZEŃSTWO, ALE KASA

W całej sprawie jest wiele nie mniej skandalicznych wątków pobocznych. I tak Władimir Kudryckij, w latach 2020–2024 kierujący państwowym koncernem Ukrenerho, mówi w wywiadzie, że przez lata musiał się opierać presji wywieranej nań przez m.in. ministra energetyki Gałuszczenkę, który chciał, aby przyjął on „opiekę" ludzi Mindicza i wszedł w korupcyjne układy. Ten opór doprowadził do jego dymisji i aresztowania, bo Kudryckij jest oskarżany o nadużycie funkcji.

eprasa.pl be6914882e

Postawione mu zarzuty były jednak tak absurdalne, że w jego obronie stanęło kilka szanowanych organizacji społecznych walczących z korupcją, a prasa na Zachodzie zaczęła pisać o zemście i nadużywaniu przez Zełenskiego wojennych pełnomocnictw.

W całej sprawie jest jeszcze jeden, znacznie bardziej bulwersujący wątek. Otóż Kudryckij na początku wojny zaproponował koncepcję „rozśrodkowania" ukraińskich aktywów energetycznych, w tym budowy specjalnych umocnień chroniących stacje transformatorowe, które relatywnie najłatwiej zniszczyć, a najtrudniej odbudować. Gałuszczenko, oskarżany obecnie przez NABU, miał jednak odrzucić te propozycje, które Kudryckij zaczął „na własną rękę" wdrażać w podległej sobie firmie. Dziś, jak mówi, Ukrenerho ma ponad 100 tego rodzaju schronów, a Enerhoatom – ani jednego.

Władze w końcu przyjęły plan Kudrickiego, ale straciły ponad rok i jeśli dziś Ukraina stoi w obliczu najtrudniejszej zimy i trwających po kilkanaście godzin dziennie przerw w dostawach prądu, jest to wynik zaniedbań, niepodjęcia niezbędnych działań wtedy, kiedy była na to jeszcze pora. Dlaczego zaniedbano ten obszar? Bo władza, w tym urzędujący minister energetyki, była zajęta wymuszaniem „otkatów", a nie dbaniem o odporność ukraińskiego systemu energetycznego.

CO WIEDZIAŁA ROSJA?

Innym bulwersującym wątkiem jest ten, że pranie brudnych pieniędzy odbywało się z udziałem ludzi i biura, które stworzył Andrij Derkacz, były deputowany do Rady Najwyższej, dziś – jak wiadomo – agent FSB, który po wybuchu wojny wyjechał do Rosji, gdzie jest członkiem Rady Federacji, izby wyższej rosyjskiego parlamentu. Derkacz przez lata „nadzorował" (jak się dziś uważa – w interesie Rosji) zamówienia w Enerhoatomie, a jego ludzie, którzy zostali na Ukrainie, pracowali ostatnio dla Mindicza. Zresztą w ujawnionych przez NABU dokumentach znajdują się „rosyjskie ślady", a niektórzy dziennikarze twierdzą, że jeden z kanałów transferu brudnych pieniędzy wiódł przez Moskwę.

AMERYKAŃSKI TROP

Inny ciekawy, a ujawniony przez „Ukraińską Prawdę", wątek mówi o zaangażowaniu się amerykańskiego FBI w wykrycie afery Mindicza. W świetle tych doniesień uwagę amerykańskich agentów przyciągnęły spółki założone przez mężczyznę, o którym mówiło się Sugerman, na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Miano przez nie transferować setki milionów dolarów, a Biuro najprawdopodobniej skłoniło do zeznań Ołeksandra Gorbunienkę, w przeszłości współpracownika Ołeksandra Zuckermana, który został aresztowany na Florydzie. FBI ma w NABU swojego przedstawiciela i oficjalne biuro, a już po wybuchu afery ukraińskie media informowały, że niedawno zmieniono reprezentanta strony amerykańskiej, który miał odbyć „roboczą naradę" z kierownictwem Agencji w kwestii afery Mindicza. To zresztą skłania niektórych ukraińskich polityków i komentatorów do snucia hipotez, iż wybuchła ona właśnie teraz, bo jej celem jest zmiękczenie Zełenskiego i jego zgoda na proponowane przez Amerykanów warunki pokojowe.

> Władza, w tym urzędujący minister energetyki, zamiast dbać o odporność ukraińskiego systemu energetycznego, była zajęta wymuszaniem łapówek

Na Ukrainie NABU od dawna uchodzi za „ekspozyturę" amerykańskich interesów, wielokrotnie mówiła o tym publicznie liderka opozycyjnej Batkiwszczyny Julia Tymoszenko, a także reprezentujący Sługę Narodu w Radzie Najwyższej lider Tatarów krymskich Mustafa Dżemilew. W świetle tej interpretacji nieprzepadający za Zełenskim Trump miał dać rozkaz wykorzystania zgromadzonych materiałów, aby skłonić Kijów do ustępstw. Tym bardziej że już na portalu Bloomberg pojawiły się głosy, iż „nie warto pomagać skorumpowanej Ukrainie". W podobne tony uderza węgierski minister spraw zagranicznych, a przecież niedawno w Białym Domu gościł Victor Orbán.

NAJGORSZY MOMENT

Nie wiemy, jak było w istocie. Przecież gigantyczny skandal korupcyjny nie został wymyślony, a zgromadzone dowody są porażające. Nie ulega jednak wątpliwości, że afera wybuchła w najmniej dogodnym dla Zełenskiego momencie. Pada Pokrowsk, uderzenia rakietowe na cele w Rosji nie przyniosły jeszcze pożądanych efektów, a Europa nie może podjąć decyzji o wykorzystaniu w Belgii zamrożonych rosyjskich aktywów. Jeśli nie uda się znaleźć rozwiązania tej ostatniej kwestii, to Ukraina może nie dostać finansowej pomocy, a rocznie, aby kontynuować wojnę, potrzebuje 40 mld dol.

TYSIĄC GODZIN NAGRANYCH ROZMÓW I PODSŁUCHÓW

Innym wątkiem, który nie został jeszcze w pełni omówiony w ukraińskich mediach, jest ewentualna korupcja podczas dostaw broni i amunicji. NABU prowadzi w tej sprawie dochodzenie (chodzi m.in. o drony dalekiego zasięgu dostarczane przez Fire Point), ale nikomu nie postawiono jeszcze oficjalnych zarzutów. Mowa jedynie o dziwnych powiązaniach personalnych i nieprzejrzystych procedurach. W tysiącu godzin rozmów i podsłuchów, które zgromadzili śledczy, mogą się kryć jeszcze inne „materiały wybuchowe". Aresztowani nie zaczęli też składać zeznań.

Afera będzie się zatem rozwijała w najbliższych tygodniach i miesiącach. Może zniszczyć reputację Zełenskiego i jego ekipy, osłabić poparcie społeczne, a w konsekwencji doprowadzić do zaakceptowania odrzucanych dziś warunków zakończenia wojny.

Jeśli konflikt zostanie wygaszony, to Ukraina wejdzie w fazę wyborczą. Rozpocznie się brutalna walka o władzę, bez autorytetów, z której z pewnością zostanie wyeliminowany Zełenski. Do czego może to doprowadzić, nie wiadomo, ale przygotujmy się na spektakl, który zaczął się od trzęsienia ziemi, a po nim napięcie będzie tylko rosło.

eprasa.pl be6914882e

Żabka przyjmuje opakowania kaucyjne i niekaucyjne:

za zwrócone butelki PET i puszki klienci otrzymają teraz 50 żappsów!

Już w blisko 12 tys. sklepów Żabka w całej Polsce można zwrócić opakowania kaucyjne i niekaucyjne. Dodatkowo od 5 listopada do 2 grudnia, oddając butelki plastikowe i puszki, można otrzymać 50 żappsów w aplikacji Żappka – to ponad dwa razy więcej niż dotychczas!



Od 1 października system kaucyjny objął butelki PET, metalowe puszki oraz szklane butelki wielokrotnego użytku. Dziś niemal wszystkie sklepy Żabka – czyli prawie 12 tys. placówek w całej Polsce – choć nie mają takiego prawnego obowiązku, są już częścią tego systemu. Na półkach dostępne są pierwsze opakowania oznaczone znakiem kaucji, a w sklepach zainstalowano już ponad 2,5 tys. maszyn do zwrotu butelek i puszek.

W sklepach Żabka klienci mogą zwracać opakowania kaucyjne oraz niekaucyjne – zarówno do maszyn, jak i w ramach zbiórki ręcznej bezpośrednio u sprzedawcy, bez konieczności okazywania paragonu. Przy zwrocie opakowania kaucyjnego maszyna lub sprzedawca generuje kod, który uprawnia klienta do odbioru kaucji albo obniżenia o nią ceny zakupów.

PREMIOWANIE ŻAPPSAMI – TERAZ JESZCZE WIĘCEJ!

Od ponad dwóch lat klienci oddający butelki czy puszki w wybranych sklepach Żabka otrzymywali dodatkowe punkty w aplikacji Żappka. Od 1 października w ponad 10 tys. placówek za zwrot opakowań można było otrzymać 20 żappsów. Teraz, w okresie 5 listopada–2 grudnia, będzie to ponad dwa razy więcej, bo 50 żappsów. To wyjątkowa okazja, by skorzystać z ofert dostępnych w programie lojalnościowym aplikacji Żappka.

„System kaucyjny to ogromna zmiana organizacyjna dla wszystkich uczestników procesu. Zależy nam, aby każdy klient – niezależnie od tego, czy posiada opakowania ze znakiem kaucji, czy nie – mógł łatwo i wygodnie oddać je w najbliższej Żabce, blisko domu czy pracy. Wierzymy, że te działania mają sens wtedy, gdy dobre nawyki stają się rutyną, którą wraz z naszymi klientami właśnie wypracowujemy" – mówi Joanna Kasowska, Quality Standards & Climate Protection Director. „Wdrożenie systemu wymagało od nas kompleksowego podejścia – od precyzyjnego dopracowania rozwiązań technologicznych przez szczegółowe zaplanowanie logistyki po przygotowanie narzędzi wspierających naszych franczyzobiorców. To złożony proces, dlatego akcje budujące większe zaangażowanie klientów dają nam dodatkową przestrzeń na naukę i doskonalenie" – dodaje.

Dzięki wdrożeniu systemu klienci Żabki zyskają wygodny sposób oddawania opakowań, a franczyzobiorcy – nowy element oferty, który pozwoli im wyróżnić się na tle konkurencji. Na razie przez ponad dwa lata sieć zebrała 18 mln sztuk opakowań.

Więcej informacji: https://www.zabka.pl/postawnazwrot/

Artykuł sponsorowany | 07/0825/F

eprasa.pl be6914882e

Awantura o Maryję

Watykański dokument poświęcony Matce Bożej wywołał burzę wśród katolików na całym świecie. To pierwsza taka sytuacja za pontyfikatu Leona XIV



GRZEGORZ GÓRNY

W świecie katolickim od kilkunastu dni trwa gorąca dyskusja na temat Matki Bożej i przysługujących jej tytułów. Wzburzenie wielu wiernych wywołała ogłoszona 4 listopada przez Dykasterię Nauki Wiary pod przewodnictwem kard. Victora Fernándeza nota doktrynalna na temat kultu Najświętszej Maryi Panny.

Dokument zaaprobowany przez papieża Leona XIV uznaje, że „używanie tytułu Współodkupicielki dla określenia współpracy Maryi jest zawsze niewłaściwe. Tytuł ten grozi bowiem zaciemnieniem jedynego zbawczego pośrednictwa Chrystusa i może w związku z tym prowadzić do zamętu i zachwiania harmonii prawd wiary chrześcijańskiej". Dalej czytamy w nocie: „Gdy jakieś wyrażenie wymaga licznych i nieustannych objaśnień, by nie zostało błędnie zrozumiane, nie służy wierze Ludu Bożego i staje się niestosowne"

ŚLADAMI NEWMANA

Argumentacja użyta przez kard. Fernándeza wydaje się co najmniej dziwna, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że teologia chrześcijańska od samego początku była pełna określeń wymagających objaśnień i narażonych na błędne rozumienie. Samo pojęcie Trójcy Świętej wydawało się wielu ludziom nielogiczne, a jednak Kościół nie zrezygnował z jego używania, lecz dążył do uściślenia i doprecyzowania owej formuły. Pierwsi chrześcijanie byli oskarżani przez pogan o kanibalizm, ponieważ spożywali ciało Jezusa. Gdyby kierowali się oni logiką kard. Fernándeza, musieliby porzucić naukę o realnej obecności Chrystusa w Eucharystii, a jednak nie odstąpili od tej prawdy



zbawczej, lecz ją dookreślili. Podobnie rzecz się ma z tytułem Matki Bożej, który może przecież rodzić mylne wrażenie, jakoby Maryja istniała na świecie jeszcze przed Bogiem. Mimo to Kościół nigdy nie wyrzekł się tego wyrażenia.

Watykańska nota wydaje się niezrozumiała także w kontekście wydarzenia, do którego doszło trzy dni wcześniej w Watykanie, gdy Leon XIV ogłosił św. Johna Henry'ego Newmana doktorem Kościoła. Sam Newman był bowiem gorącym obrońcą nazywania Maryi Współodkupicielką. Dał temu wyraz w swym głośnym liście do anglikańskiego teologa i swego dawnego przyjaciela z Ruchu Oksfordzkiego Edwarda Puseya. Ten ostatni zarzucał katolikom, iż nazywając Matkę Bożą Współodkupicielką, pomniejszają i przesłaniają rolę Chrystusa jako jedynego Zbawiciela, a więc używał tego samego argumentu, do którego odwołuje się dziś kard. Fernández. W odpowiedzi Newman wykazał całkowitą niestosowność tego rodzaju zarzutów.

TROPEM ŚWIĘTYCH I PAPIEŻY

Koncepcja Maryi jako współpracowniczki Jezusa w dziele odkupienia była obecna już w pismach Ojców Kościoła, którzy nadali jej tytuł „drugiej Ewy". W II w. św. Ireneusz z Lyonu pisał, że „węzeł nieposłuszeństwa Ewy rozwiązany został przez posłuszeństwo Maryi". Z kolei w IV w. św. Efrem Syryjczyk nazywał Matkę Bożą „wykupem jeńców". Później w podobnym duchu wypowiadali się św. Bernard z Clairvaux czy św. Ludwik Maria Grignon de Montfort.

W bliższych nam czasach o Najświętszej Dziewicy jako Współodkupicielce mówili wprost m.in. św. Maksymilian Maria Kolbe oraz papieże: św. Pius X,

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl be6914882e

Pius XI czy Benedykt XV, który w 1918 r. pisał: „Maryja odkupiła rodzaj ludzki razem z Chrystusem". Spośród wszystkich zwierzchników Kościoła najczęściej używał tego tytułu wobec Matki Bożej św. Jan Paweł II, który w Niedzielę Palmową 1985 r. powiedział: „Maryja towarzyszyła swemu Boskiemu Synowi w najskrytszej ciemności, rozważając wszystko w głębi serca. Na Kalwarii, u stóp krzyża, w ogromie i głębi swojej macierzyńskiej ofiary, miała u swego boku Jana, najmłodszego z apostołów. Niech Maryja, nasza Opiekunka, Współodkupicielka, do której z wielkim zapałem zanosimy nasze modlitwy, sprawi, aby nasze pragnienie hojnie odpowiadało pragnieniu Odkupiciela".

Określenie „Współodkupicielka" pojawiało się nawet w oficjalnych dokumentach Stolicy Apostolskiej. W 1908 r. Kongregacja ds. Obrzędów wydała dokument wzywający do szerzenia nabożeństwa maryjnego, w którym Matka Boża nazwana została „miłosierną Współodkupicielką rodzaju ludzkiego". W 1914 r. Kongregacja Świętego Oficjum (a więc poprzedniczka instytucji, na czele której stoi teraz kard. Fernández) udzieliła nawet specjalnego odpustu za modlitwę do Maryi, w której Matka Boża była wzywana jako „Współodkupicielka rodzaju ludzkiego". Znana chrześcijańska maksyma mówi: „Lex orandi, lex credendi", czyli zasada modlitwy jest zasadą wiary.

Jeśli uznamy, że wspomniane określenie „jest zawsze niewłaściwe", jak utrzymuje ogłoszona niedawno watykańska nota, to okazuje się, że w błędzie była cała rzesza świętych, papieże i miliony katolików, natomiast rację ma obecnie kard. Fernández. Jednak do tej pory nikt nigdy nie podnosił zarzutu, że John Henry Newman, Maksymilian Kolbe czy Jan Paweł II zaciemniali zbawczą rolę Jezusa poprzez wyolbrzymianie znaczenia Maryi.

NAŚLADUJĄC ŚW. PAWŁA

Wydaje się, że całe zamieszanie wynika z niewłaściwego odczytania przedrostka „współ-" (po łacinie: „co-") w tytule „Współ-Odkupicielka" („Co-Redemptrix"). Można go rozumieć jako „równy z", co jest błędne, ale można też rozumieć jako „wspólnie z" – na zasadzie podporządkowania i zależności. W ten drugi sposób pojmowali to wspomniani papieże i święci. Dla nich było oczywiste, że nie ma równoległego odkupienia niż przez Jezusa, nie było absolutnej konieczności współpracy Maryi w tym dziele, a sama Matka Boża również potrzebowała odkupienia. Jej rola wynika jednak z miejsca, jakie przeznaczył dla niej w historii zbawienia sam Stwórca.

> Do tej pory nikt nigdy nie podnosił zarzutu, że John Henry Newman, Maksymilian Kolbe czy Jan Paweł II zaciemniali zbawczą rolę Jezusa poprzez wyolbrzymianie znaczenia Maryi

Jej dobrowolna zgoda na Boży plan sprawiła, że nie była ona jedynie biernym naczyniem łask, lecz stała się aktywną współpracowniczką Zbawiciela.

W swej nocie kard. Fernández kwituje argumenty na rzecz tytułu Matki Bożej jako Współodkupicielki w jednym akapicie, zawierającym zaledwie trzy zdania. By uzasadnić pogląd przeciwny, przywołuje natomiast trzy wypowiedzi Franciszka i dwie Benedykta XVI. Warto się przyjrzeć zwłaszcza tym drugim. Joseph Ratzinger sformułował owe tezy jeszcze jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary: najpierw w dokumencie tej instytucji w 1996 r., a następnie w rozmowie z Peterem Seewaldem w 2002 r. W pierwszym przypadku przyszły papież nie odrzucił definitywnie określenia Współodkupicielki, lecz napisał, że refleksja teologiczna na ten temat jest jeszcze zbyt niedojrzała, by przypisać Maryi ów tytuł. Z kolei w wywiadzie udzielonym Seewaldowi zgodził się z zasadą leżącą u podstaw tego rodzaju myślenia, że Chrystus chce dzielić z nami wszystko, nawet swoje bycie Odkupicielem.

Ta teza znajduje potwierdzenie także w Nowym Testamencie. W Liście do Kolosan św. Paweł pisał: „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony dopełniam niedostatki udręk Chrystusa w moim ciele dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół". Co znaczą twierdzenia o „niedostatkach udręk Chrystusa", które „dopełnia" Apostoł w „swoim ciele"? Przecież zgodnie z nauką Kościoła ofiara Jezusa była doskonała, nic jej nie brakowało i nie potrzebowała żadnych dopełnień.

Jednocześnie wiemy jednak, że w ciągu wieków wielu świętych łączyło swoje cierpienia z męką Chrystusa w intencji zbawienia grzeszników. Wzorem była dla nich Matka Boża, która pod krzyżem na Golgocie przeżywała ból podobny do przebicia serca mieczem. Czy przesłaniała przez to Jezusa? Czy owi święci, cierpiąc wstawienniczo, by ratować dusze innych ludzi od zatracenia, umniejszali przez to ofiarę Chrystusa? Myśl teologiczna w Kościele katolickim szła raczej w odwrotnym kierunku, pokazując, że Bóg zaprasza człowieka do wzięcia udziału w jego zbawczym planie. Żaden, nawet największy dar, ofiarowany przez niego ludziom, nie jest w stanie uszczuplić Bożej wielkości.

ZA WSKAZANIEM RATZINGERA

Wracając do Benedykta XVI – on nie odrzucił definitywnie miana Współodkupicielki, lecz wskazał wyzwanie dla teologów. Jego słowa z 1996 r. można więc odczytywać jako zarzut wobec współczesnej teologii, iż nie jest w stanie dostatecznie pogłębić refleksji mariologicznej. Ostatnia watykańska nota stanowi najlepszy dowód na słuszność tego twierdzenia.

Jeśli kard. Fernández uważał, że wydany przez niego dokument przyczyni się do likwidacji zamętu i sprostowania błędnych interpretacji, to odniósł skutek odwrotny od zamierzonego. Swym pismem wywołał jeszcze większy chaos i zamieszanie, co stało się już znakiem rozpoznawczym jego posługi w Watykanie.

eprasa.pl be6914882e



Niczym rozkładający się pstrąg

Dyrektor generalny BBC Tim Davie złożył rezygnację po tym, jak wyszło na jaw, że ten publiczny nadawca zmanipulował przemówienie Donalda Trumpa. Nie tylko jednak na Wyspach Brytyjskich lewicowo-liberalne media wykazują co najmniej luźny stosunek do prawdy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„W BBC News przewodzimy globalnej walce z dezinformacją. Ten film pokazuje, jak daleko posuwamy się w pogoni za prawdą – od trudnych i niebezpiecznych środowisk po wdrażanie narzędzi i technologii, które pomagają nam weryfikować fakty” – mówi prezenter BBC Clive Myrie na tle obrazów pokazujących skutki zmian klimatycznych, nielegalnych migrantów wysiadających z pontonów, by zatrzymać się na zamieszkach w Southport. „Dezinformacjo, myślisz, że wygrywasz” – zaznacza prezenter. „Ale im bardziej próbujesz przykryć rzeczywistość, tym ciężej pracujemy, by ustanowić fakty”. Film promocyjny ukazał się w połowie zeszłego roku.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl be6914882e

KŁAMSTWA I ANTYSEMITYZM

Tymczasem w minionym tygodniu dyrektor generalny BBC Tim Davie złożył rezygnację – po tym, jak wyszło na jaw, że nadawca zmontował przemówienie Donalda Trumpa tak, by zasugerować, że prezydent Stanów Zjednoczonych zachęcał swoich zwolenników do szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r. I nie był to bynajmniej błąd, tylko celowa manipulacja.

Jak wynika z 19-stronnicowego raportu autorstwa Michaela Prescotta, byłego niezależnego doradcy zewnętrznego w komisji ds. wytycznych redakcyjnych i standardów BBC, który wyciekł do mediów, nadawca połączył dwie wypowiedzi Trumpa wygłoszone w odstępie 54 minut. W ten sposób wyglądało na to, że powiedział on: „Idziemy do Kapitolu, a ja będę z wami i będziemy walczyć. Będziemy walczyć jak diabli, a jeśli nie będziecie walczyć jak diabli, nie będziecie mieli już kraju". W rzeczywistości po „idziemy do Kapitolu" pojawiło się „abyście pokojowo i patriotycznie dali się usłyszeć". Według Prescotta montaż ten „całkowicie wprowadził odbiorców w błąd". Dokument został zresztą wyświetlony tydzień przed wyborami prezydenckimi w USA w 2024 r. i ewidentnie stanowił próbę wpłynięcia na amerykańskich wyborców.

Ale na tym nie koniec. W swoim raporcie Prescott wytknął nadawcy także to, że w swojej arabskojęzycznej sekcji korzystał on z komentatorów, którzy wyrażali antysemickie poglądy. Jeden z nich miał stwierdzić, że „Żydów należy palić jak Hitler". Ponadto BBC miała zatrudniać reporterów LGBT+, którzy starali się cenzurować debatę na temat osób transpłciowych. A flagowy serwis nadawcy Verify, zajmujący się weryfikacją faktów, opublikował m.in. „całkowicie zmyślony" raport o rzekomym rasizmie ubezpieczycieli samochodowych. Część tych zarzutów idzie na konto BBC News. Jego szefowa Deborah Turness odeszła wraz z Daviem.

BRYTYJSKA UCZCIWOŚĆ

To już kolejny skandal w BBC na przestrzeni zaledwie roku. Publiczny nadawca był m.in. krytykowany za wyraźnie propalestyński dokument o Strefie Gazy i musiał przepraszać za to, że nazwał partię Nigela Farage'a Reform UK „skrajnie prawicową", a przy okazji ujawnił w swoim wewnętrznym przeglądzie, że „nieprzyjemne" fakty o imigracji nie są przez niego „zbytnio eksponowane". Była jeszcze sprawa komentatora sportowego Gary'ego Linekera, który podzielił się ze swoimi zwolennikami na platformie X postem o syjonizmie, ilustrowanym szczurem. Nie zapominając o transmisji występu punkowego duetu Bob Vylan na festiwalu w Glastonbury, który śpiewał: „Śmierć izraelskiemu wojsku". Za każdym razem do BBC wpływało kilka tysięcy skarg.

> Zmanipulowanie wypowiedzi Donalda Trumpa to już kolejny skandal w BBC na przestrzeni zaledwie roku

Tim Davie przeprosił, ale jednocześnie uznał, że nie naruszyło to „zasad bezstronności nadawcy". Od 7 października 2023 r. BBC setki razy przepraszało za „istotne błędy redakcyjne" w relacjach z Gazy. Wydaje się więc, że nie są to wszystko wypadki przy pracy, tylko systemowe działanie.

W Wielkiej Brytanii istnieje głęboko zakorzenione przekonanie – jako charakterystyczna cecha brytyjskiej uczciwości – że BBC musi zachować całkowitą neutralność, a każda strona, niezależnie od argumentów, zasługuje na równą uwagę. W praktyce już od dawna tak nie jest. Według „The Spectator" ponieważ różnorodność w miejscu pracy stała się kluczowym elementem rekrutacji w BBC, nowe pokolenie dziennikarzy nadawcy jest „stuprocentowo woke". „Nie chcąc zostawić swoich przekonań za drzwiami obrotowymi, Broadcasting House filtrują każde wydarzenie, o którym informują, przez pryzmat swoich postępowych uprzedzeń: Izrael to ludobójcze państwo zbójeckie; kobiety transpłciowe to kobiety; J.K. Rowling jest nikczemna i nienawistna; Trump to zły dyktator" – dodała gazeta. „Ryba psuje się od głowy – przekonuje „The Spectator". „Obecnie BBC cuchnie jak rozkładający się pstrąg na rozpalonej do czerwoności plaży" – dodaje. W skrócie – ekipa dziennikarzy pracujących w BBC uważa, że ich praca polega na tym, by forsować lewicową agendę. Bo jest dobra i moralnie słuszna. Są aktywistami bardziej niż dziennikarzami i nie widzą w tym niczego złego.

PRAWICOWY SPISEK

Przy tej okazji warto odnotować, że przeprosiny prezesa BBC Samira Shaha wypadły wyjątkowo miałko. Wprawdzie przyznał on, że montaż wypowiedzi Donalda Trumpa był „błędem w ocenie sytuacji", a sprawa skłoniła nadawcę do „refleksji". Jednocześnie uznał jednak, że „to niesłuszna nagonka na Tima Davie", co „nie jest fair". Podobnie uważają rząd laburzystów oraz lewicowe media, w tym „The Guardian".

Rzecznik premiera Keira Starmera stwierdził, że BBC „nie jest skorumpowana ani stronnicza pod względem instytucjonalnym". Dodał, że stacja „odgrywa kluczową rolę w erze dezinformacji". „The Guardian" natomiast dopatrzył się w raporcie Prescotta „prawicowego spisku" z prezydentem USA na czele, który rozważa pozwanie brytyjskiego nadawcy na 1 mld dol.

Bądź co bądź jest to największy skandal, który dotknął BBC od ujawnienia w 2012 r., że prezenter Jimmy Savile jest pedofilem. Zaufanie do publicznego nadawcy spada od lat, a najnowsza afera może mieć wpływ na przyszłe negocjacje stacji w sprawie abonamentu. Gabinet Starmera analizuje nowe sposoby finansowania BBC, ponieważ obecna umowa wygaśnie w 2027 r. „Problem polega na tym, że we współczesnym świecie, po

eprasa.pl be6914882e

erze telewizji, opłata abonamentowa jest całkowicie nieuzasadniona. BBC musi wyjaśnić, dlaczego, skoro jest tak wiele innych stacji [na rynku], powinna mieć prawo do zmuszania nas do płacenia – akurat wtedy, gdy gusta odbiorców różnią się, tożsamość narodowa jest rozbita, a jakość produkcji stoi pod znakiem zapytania" – pisze „The Telegraph".

TUBA PROPAGANDOWA

Problemy z uczciwością (dziennikarską) mają jednak nie tylko lewicowo-liberalne media nad Tamizą. W ostatnich latach mieliśmy wręcz wysyp podobnych skandali.

W 2018 r. okazało się, że jeden z reporterów prestiżowego „Der Spiegel" przez lata fałszował swoje teksty. Kiedy pisał reportaż o wpływie zmian klimatu na Kiribati, zamiast na wyspy, miał polecieć do Los Angeles i napisać tekst na podstawie informacji dostępnych w internecie. Jego reportaże o ruchu MAGA były równie nieuczciwe. Malowały obraz zacofanej i fundamentalistycznej amerykańskiej prowincji na podstawie całkowicie zmyślonych zdarzeń i scen. Gdy mieszkańcy jednego z miasteczek rozpoznali się w jego reportażu, sprawa wyszła na jaw. Claas Relotius przez cały czas był cenionym i nagradzanym dziennikarzem. Otrzymał cztery Niemieckie Nagrody Reporterskie, poza tym Nagrodę im. Petera Scholla-Latoura, European Press Prize, nagrodę przyznawaną przez organizację pomocy dzieciom Kindernothilfe i wiele innych. Pisał to, czego oczekiwali od niego przełożeni. Jego reportaże zawierały wszystkie postępowe, lewicowe tezy o złych zmianach klimatu, jeszcze gorszej amerykańskiej prawicy itd. Zapytany, ile z jego 120 artykułów spełniało dziennikarskie standardy, odpowiedział: „Po tym wszystkim, co dzisiaj o sobie wiem, prawdopodobnie bardzo niewiele". Nikomu w „Der Spiegel" nie przyszło do głowy, by sprawdzić, co wypisuje ich reporter. W końcu pasowało do tezy, więc musiało być prawdziwe. Po wybuchu skandalu Relotius wylądował w szpitalu psychiatrycznym. Do dziennikarstwa raczej nie wróci, ale w jego miejsce kłamią inni.

W 2024 r. Uri Berliner, doświadczony redaktor NPR, publicznego radia w USA, opublikował artykuł na łamach „The Free Press", w którym twierdził, że NPR „przymknęło oko" na skandal z laptopem Huntera Bidena, w „niepokojący" sposób ignorowało rosnący antysemityzm wśród swoich dziennikarzy po ataku Hamasu na Izrael i zamieniło kongresmena Adama Schiffa, demokratę z Kalifornii, w „nieustannie obecną muzę" w czasie afery Russiagate. W skrócie: publiczny nadawca zamienił się w tubę propagandową demokratów. Według Berlinera w waszyngtońskiej redakcji NPR zarejestrowanych demokratów jest 87, a republikanów – 0. W takiej sytuacji trudno o bezstronność.

> Problemy z dziennikarską uczciwością mają jednak nie tylko lewicowo-liberalne media nad Tamizą, jak ostatnio BBC. W ostatnich latach mieliśmy wręcz wysyp podobnych skandali

DZIENNIKARZE JAKO OCHRONIARZE

W minionym roku stacja ABC zapłaciła Trumpowi 15 mln dol. w ramach ugody po tym, jak prezenter serwisu informacyjnego stacji uporczywie powtarzał na wizji, że prezydent USA jest „winny gwałtu". W innym pozwie Trump zażądał 20 mld dol. odszkodowania od CBS za rzekomą manipulację wywiadu z Kamalą Harris na finiszu kampanii wyborczej – na korzyść kandydatki demokratów. Telewizja zawarła z nim ugodę i wpłaciła 16 mln dol. na jego fundację. Dzięki temu administracja Trumpa wydała zgodę na przejęcie CBS przez firmę Skydance.

Podczas gdy nad Tamizą toczyła się debata o przyszłości BBC, nad Sekwaną także wybuchł skandal związany z mediami. Do prasy wyciekło bowiem nagranie, na którym dwóch dziennikarzy publicznego radia France Inter rozmawia z dwoma politykami socjalistów o strategii na wybory samorządowe w Paryżu. Jeden z dziennikarzy, Thomas Legrand, obiecuje, że on i jego kolega Patrick Cohen zrobią wszystko co w ich mocy, „by storpedować kandydaturę Rachidy Dati", polityk konkurencyjnej centroprawicy. Legrand został zawieszony, Cohen dalej prowadzi swoje programy. Podczas spotkania ze słuchaczami Legrand tłumaczył się, że chciał po prostu „chronić Francuzów przed Dati". A problemem nie jest – jego zdaniem – lewicowy przechył we France Inter, tylko prawicowa prywatna stacja telewizyjna CNews oraz związane z nią radio Europe 1, należące do biznesmena Vincenta Bolloré, który, zdaniem dziennikarza, „powinien zostać aresztowany".

W Niemczech także doszło do sporu – po tym jak publiczna telewizja NDR zatrudniła młodą praktykantkę Julię Ruhs do prezentowania jednego z programów, by odmłodzić i odświeżyć format. Jej krytyczne uwagi na temat ideologii gender wywołały bezprecedensową awanturę, do której wtrącili się i wciąż wtrącają liczni politycy.

Publiczne media za Odrą – jak pisze dziennik „Die Welt" – które pochłaniają ponad 8 mld euro składek rocznie, muszą sobie zadać pytanie, czy będąc stronnicze (z wyraźnym przechyłem w lewo), nie tracą lub już nie straciły dużej części społeczeństwa, które nie czuje się przez nie reprezentowane.

BBC kosztuje podatników ok. 3,8 mld funtów rocznie, które pochodzą głownie z obowiązkowej opłaty abonamentowej. Tymczasem coraz więcej Brytyjczyków rezygnuje z publicznego nadawcy. W 2024 r. abonament opłacało 300 tys. domostw mniej w porównaniu do roku poprzedniego. Skandale takie jak ten wokół zmanipulowanego przemówienia Trumpa zapewne nie pomogą BBC zatrzymać pozostałych (jeszcze) widzów.

eprasa.pl be6914882e

Narodziny partii moskiewskiej



Fot. Andrzej Wiktor

*Przedstawiamy fragment rozdz. 2, t. VII „Dziejów Polski. Upadanie i powstawanie (1673–1763)” **prof. Andrzeja Nowaka**. Premiera książki – 17 listopada 2025 r.*

[...] w tym miejscu geopolitycznego równania wrócić trzeba było do Rosji. Przypomnijmy, że tron na Kremlu odziedziczył w roku 1676 po ojcu, Aleksym Michajłowiczu, piętnastoletni Fiodor III. Od czasu rozejmu z Andruszowa w roku 1667, a właściwie już od ponad dwudziestu lat,

eprasa.pl be6914882e

kiedy Połock, Smoleńsk, Kijów oraz inne centra życia intelektualnego i politycznego prawosławnej, wschodniej części Rzeczypospolitej zajęte zostały przez armie cara Aleksego, Moskwa czerpała obficie z nowych, w ten sposób uzyskanych „zasobów kadrowych". Setki, a może nawet tysiące drobnej i średniej szlachty, rzemieślników i kupców, których w mniejszym lub większym stopniu kształtowały wcześniej tradycje i obyczaje Rzeczypospolitej, a w niektórych przypadkach również język polski, służyć zaczynało państwu carów na najróżniejszych stanowiskach i odcinkach. Jednym z symboli tego masowego zjawiska jest Symeon Połocki (świeckie imię: Samuel Piotrowski z Połocka, 1629–1680), białoruski mnich, wychowanek Kolegium Kijowskiego i szkół polskich, od 1649 roku przekazujący swą erudycję Moskwie. Był tłumaczem, poetą, najważniejszym pośrednikiem w kontaktach między kulturą polskiego baroku i rodzącą się literaturą rosyjską, twórcą m.in. przekładu-parafrazy *Psałterza* Jana Kochanowskiego. Potrzebę tego przekładu sam wyjaśnił właśnie nową sytuacją, rzec można, geokulturową, jaką wytworzyło przyłączenie wschodnich województw Rzeczypospolitej do państwa carów: „We wszystkich krajach Rusi Małej, Białej, Czarnej i Czerwonej, a także w stołecznym i przez Boga strzeżonym grodzie Moskwie wielu, polubiwszy słodkie i zgodne śpiewanie *Psałterza* polskiego wierszem przełożonego, zwykło śpiewać te psalmy, chociaż znano język albo bardzo mało albo też nie rozumiano go wcale, znajdując jedynie korzyść duchową w samej słodkości śpiewania...". Kochanowski i urok poezji w bliskim mimo wszystko, słowiańskim języku, nęcił część moskiewskiej elity. Z inicjatywy Symeona otwarta została w Moskwie szkoła drukarska, pierwsza, skromna, ale ważna namiastka ośrodka wyższej edukacji w państwie carów, rozwinięta sześć lat później w formie słowiańsko-grecko-łacińskiej akademii.

Symeon był także, co szczególnie ważne, jednym z wychowawców nowego cara. Uczył go m.in. języka polskiego. Fiodor nosić zaczął polski kontusz, za nim oczywiście poszedł dwór na Kremlu. W kwietniu 1680 roku w cara uderzył miłosny grom: przy okazji uroczystości Niedzieli Palmowej zobaczył 17-letnią szlachciankę ze Smoleńszczyzny, Agatę (Agafię) Gruszecką herbu Lubicz (po matce wywodziła się również z rodu polskiego pochodzenia: Zaborowskich). Car może wszystko, zatem panna Gruszecka szybko stała się carycą Agatą. Jako żona cara upowszechniła na dworze modę na polskie stroje, zwłaszcza na tzw. polskie czapki, produkowane masowo przez czapnika z zagarniętego przez najazd moskiewski w roku 1654 Szkłowa. Za modą na stroje, nad rzeką Moskwą śmielej zaczęła kiełkować również moda na polskie słowo. W pewnym stopniu popularne – w kręgach dworskich – stawały się książki z Polski przywożone a dostarczające rozrywki niedostępnej dotąd w języku rosyjskim: świeckie opowiastki o przygodach wspaniałych rycerzy i pięknych panien. Caryca Agata zadbała też o to, by wybudować w rodzinnym Smoleńsku katolicki, drewniany kościół. Zmarła po niespełna roku u boku cara Fiodora III, przy połogu (Jan Sobieski będzie przypuszczał, że została otruta przez bojarów, którzy nie chcieli dopuścić do politycznego zbliżenia z Rzeczpospolitą). Moda na „polskie" jednak przetrwała i rozwijała się w Moskwie dalej. I to stanowi ważny niewątpliwie w owym czasie aspekt skrócenia dystansu między stolicą carów a Warszawą. Ale nie jedyny.

> Nazary Krajewski, szlachcic ze Smoleńska, który przeszedł w 1654 roku na stronę Rosji. [...] Stał się pierwszym znanym z nazwiska, można powiedzieć, organizatorem rezydentury rosyjskiego wywiadu na państwo polsko-litewskie. Urzędował w Smoleńsku i stamtąd pozyskiwał swoich opłacanych informatorów po drugiej stronie granicy oraz słał regularne raporty do Moskwy

Rosja, wraz z zagarniętymi w latach 1654–1667 ziemiami i ludźmi, nabyła także prawdziwych specjalistów w sprawach Rzeczypospolitej. Umiała ich wykorzystać. Oto inny niż Symeon Połocki przykład zbliżenia rosyjsko-polskiego: Nazary Krajewski, szlachcic ze Smoleńska, który przeszedł w 1654 roku na stronę Rosji. Zmienił wyznanie na prawosławne i imię (z polskiego: Stanisław) i przyjęty został do służby w Posolskim Prikazie, odpowiedniku ministerstwa spraw zagranicznych. Stał się pierwszym znanym z nazwiska, można powiedzieć, organizatorem rezydentury rosyjskiego wywiadu na państwo polsko-litewskie. Urzędował w Smoleńsku i stamtąd pozyskiwał swoich opłacanych informatorów po drugiej stronie granicy oraz słał regularne raporty do Moskwy. Najcenniejszym agentem Krajewskiego był najbliższy powiernik wojewody trockiego Marcjana Ogińskiego, pisarz grodzki mścisławski Augustyn Konstantynowicz. Nie tyle agentem, ile ochotniczym współpracownikiem dyplomacji moskiewskiej, przeciw własnemu królowi, stał się sam Ogiński, senator Rzeczypospolitej, wojewoda, a wkrótce hetman litewski. Wychowany w wierze prawosławnej, przyjął katolicyzm wraz z kolejnymi zaszczytami i urzędami w Wielkim Księstwie. Połączony licznymi interesami handlowymi z moskiewskimi sąsiadami swoich dóbr na Litwie, stał się Ogiński pośrednikiem między opozycją litewską, z hetmanem Michałem Pacem na czele, a polityką Kremla, rozgrywającą swoją partię w Rzeczypospolitej.

eprasa.pl be6914882e

Na czym owa gra polegała w pierwszych latach panowania króla Jana III? Państwo carów było w stanie wojny z imperium osmańskim i chanatem krymskim. Dlatego, z polskiej strony patrząc, wejście w sojusz z Moskwą mogłoby prowadzić do podzielenia się wojennymi zadaniami i zwiększyć istotnie nadzieje na wspólny sukces. Rozmowy z Rosją w tej sprawie toczyły się niemal bez przerwy, tym bardziej, że mijał termin 13-letniego rozejmu z Andruszowa i trzeba było go odnowić. Sporna pozostawała oczywiście m.in. sprawa zwrotu Kijowa, który zgodnie z andruszowskim rozejmem miał już dawno wrócić do Rzeczypospolitej. W sierpniu 1678 poselstwo polsko-litewskie w Moskwie, z wojewodami wołyńskim, Michałem Czartoryskim oraz połockim – Kazimierzem Sapiehą, wynegocjowało tyle, że Rosja oddała Litwie pograniczne miasta Newel, Siebież i Wieliż oraz wypłaciła 200 tysięcy rubli odszkodowania (1 rubel równał się mniej więcej 5 złotym polskim). O zwrocie Kijowa mowy nie było. Rozmowy toczyły się dalej w czasie kolejnego poselstwa moskiewskiego na sejm grudniowy roku 1678 do Grodna, a następnie w trakcie wizyty polskiego poselstwa w Moskwie. Dyplomacja rosyjska zgadzała się na przedłużenie rozejmu z Rzeczpospolitą i ewentualne (ale ograniczone liczbowo i mgliście zarysowane) „połączenie sił" przeciw armiom chana i sułtana. Stronie moskiewskiej chodziło o to, by w miarę możności nie angażować się głębiej w wojnę ofensywną z islamskimi przeciwnikami, a już zwłaszcza w podpowiadaną przez Polaków wyprawę na Krym. Z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że zdawano sobie sprawę, iż jest to zadanie militarnie bardzo trudne i kosztowne, a lepiej byłoby dla Moskwy raczej wycofać się chwilowo z wojny z Półksiężycem, niż brnąć w nią dalej. Po drugie, rozumiano oczywiście (m.in. dzięki stałym informacjom i komentarzom od Krajewskiego i Ogińskiego), że istotna pomoc moskiewskiego wojska na tym odcinku umożliwiłaby Sobieskiemu odzyskanie Podola, Ukrainy lewobrzeżnej i ewentualnie nawet zwycięski marsz na Mołdawię oraz wzmocniła bardzo pozycję króla i samego państwa polsko-litewskiego. Wreszcie, po trzecie i najważniejsze: dwór rosyjski pragnął utrzymać strategiczną przewagę nad Rzeczpospolitą, osiągniętą w krwawej wojnie lat 1654–1667, i zdobyć ostateczne potwierdzenie jej układem pokojowym z Warszawą, w którym uznano by na zawsze prawo Rosji do panowania nad Kijowem i większością Ukrainy.



Kwestia rzeczywistego sojuszu z Rosją miała się rozstrzygać w czasie sejmu, zwołanego przez króla w październiku 1680 roku na styczeń roku następnego do Warszawy. W listach rozesłanych do senatorów Jan III na podstawie informacji wywiadowczych uznawał nadal niebezpieczeństwo nowego wielkiego najazdu tureckiego za najbardziej realne. Jeśli Turcy zawrą rozejm z cesarzem, to „traktat moskiewski", negocjowany wytrwale przez kolejne poselstwo polsko-litewskie w stolicy carów miał być, zdaniem króla, jedyną szansą na wzmocnienie Rzeczypospolitej w takim starciu. Ale król wcale nie zamierzał prowokować islamskiej potęgi, tylko uspokajać Stambuł środkami dyplomatycznymi, by odwlec przynajmniej uderzenie, ile można. Wojewoda Marcjan Ogiński tymczasem na tajnym spotkaniu z rezydentem moskiewskim słał do jego zwierzchników przestrogi, że król zbiera wojsko bez zgody sejmu, nie na „bisurmanów", ale na cara... Razem z hetmanem Pacem pisał do Moskwy: „lepiej z nami, z Rzeczpospolitą sposoby obrony przed najazdem bisurmańskim uzgodnić, niż z tym, kogo Francuz z Turkiem posadzili na tron [czyli z... Janem III]".

Warto przytoczyć ten fragment listu, opublikowany przez badacza rosyjskiego Kiryła Koczegarowa w jego najnowszym studium stosunków Rosji z Rzeczpospolitą w latach 1680–1686, by dostrzec nowe znaczenie pojęć, niestety utrwalające się w kolejnych latach. Z jednej strony „Rzeczpospolita", czyli obywatele, kierowani przez opozycyjnie nastawioną wobec króla część magnaterii – a z drugiej, przeciwnej, uznanej za wrogą! – król i Królestwo. Rzeczpospolita przeciw królowi, przeciw Królestwu (Polskiemu) to nie był tylko wymysł przywódców Litwy, zawsze gotowych bronić niezależności Wielkiego Księstwa wobec Korony, czyli wąsko rozumianego Królestwa Polskiego. To był także manifest postawy swoiście rozumianego republikanizmu, w której przeciwnikiem – jedynym wartym uwagi – jest własny król i jego niecne knowania (np. wzmocnienie armii). Sojusznikiem przeciw królowi i Królestwu (czyli widmu *absolutum dominium*, władzy absolutnej, wpisanej w takie rozumienie owego pojęcia) może być każde ościenne mocarstwo, na przykład Rosja, albo elektor brandenburski... Owszem, powtórzmy to raz jeszcze, Sobieski przecierał niegdyś szlak takiej postawie, kiedy jako hetman stawał na czele faktycznego buntu przeciw królowi Michałowi, tyle że za francuskie, a nie brandenburskie czy moskiewskie pieniądze. Zauważmy tę różnicę, że Francja na pewno nie miała sporu terytorialnego z Rzeczpospolitą, ani nie toczyła z nią wojen. Teraz w ręce absolutnego cara sami pchali się potężni ochotnicy do rozbijania Królestwa od środka – pod hasłem obrony wolności Rzeczypospolitej. To było *novum*. Dyplomacja rosyjska była tym nawet zaskoczona, jeszcze w roku 1680 nie gotowa do pełnego wykorzystania takich wspaniałych możliwości. Na razie car i jego Posolski Prikaz, podtrzymując tajne układy z wartościowymi agentami, woleli poważniej traktować rozmowy oficjalne z silnym jeszcze królem Janem. Lekcję możliwości przeciwstawienia „Rzeczypospolitej" i „króla/Królestwa" jednak zapamiętano.

Andrzej Nowak

eprasa.pl be6914882e

Bitwa, która obaliła ród Sapiehów


Jan Kazimierz Sapieha

18 listopada 1700 r. pod Olkienikami litewskie pospolite ruszenie rozgromiło armię Sapiehów, kończąc epokę ich niemal książęcej dominacji. To mało znany, a fascynujący epizod historii Rzeczypospolitej: wojna magnacka, bunt przeciwko oligarchii, walka o odzyskanie kontroli nad państwem i zapomniana bitwa, która zmieniła układ sił na Litwie



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Był chłodny późnojesienny poranek. Niedaleko Olkienik, niewielkiego miasteczka położonego w południowo-wschodniej Litwie nad rzeką Mereczanką, stały dwie armie gotowe do walki. Wkrótce miało dojść do starcia, które wstrząsnęło Wielkim Księstwem. Z jednej strony zgromadziły się potężne, dobrze wyszkolone oddziały Sapiehów, wspierane przez elitarną jazdę i działa, z drugiej – rozsierdzone pospolite ruszenie szlacheckie, determinowane bardziej polityczną nienawiścią niż wojskową rutyną. Zwycięstwo tych ostatnich nie było oczywiste, a jednak w ciągu kilku godzin upadła potęga wielkiego magnackiego rodu, który wydawał się u szczytu swojej świetności.

CORAZ SŁABSZA RZECZPOSPOLITA

Pod koniec XVII i na początku XVIII w. Rzeczpospolita Obojga Narodów znajdowała się w stanie głębokiego kryzysu. Królestwo wciąż podnosiło się po wojnach XVII stulecia – potopie szwedzkim, walkach z Moskwą i Turcją. Państwo było osłabione fiskalnie, zdezorganizowane administracyjnie i coraz bardziej sparaliżowane mechanizmami wolnej elekcji oraz *liberum veto*.

Monarcha August II Mocny jako elektor Saksonii, szykował się do wojny przeciwko Szwecji, do której przystąpił na początku 1700 r. Liczył, że wykorzysta ten konflikt m.in. do wzmocnienia swojej pozycji w Rzeczypospolitej, w której musiał zmagać się z wewnętrznymi waśniami i potężnymi rodami magnackimi, które w niektórych regionach były silniejsze niż władza królewska. Litwa stanowiła pod tym względem szczególny przypadek, będąc niemal całkowicie zdominowana przez jeden ród.

NASTĘPCY RADZIWIŁŁÓW

W wyniku wojen z XVII w. dawni litewscy potentaci, Radziwiłłowie, utracili znaczną część swojej potęgi. Ich miejsce na szczycie magnackiej hierarchii zajęli Pacowie, którzy jednocześnie szybko stali się główną siłą opozycyjną wobec króla Jana III. Monarcha, pragnąc osłabić wpływy Paców i zrównoważyć ich rosnącą siłę, zaczął wspierać konkurencyjny ród Sapiehów. Dzięki królewskiej protekcji rodzina ta stopniowo przejmowała kluczowe urzędy w Wielkim Księstwie, w tym hetmańskie i marszałkowskie, a w końcu kontrolowała całą administrację. Pod koniec XVII stulecia ich dominacja była już niekwestionowana. Kontrolowali wojsko, kierowali polityką kraju i dysponowali rozbudowaną siecią klientów oraz stronników. Hetman wielki litewski Kazimierz Jan Sapieha zyskał niemal książęcą pozycję, był niezależny od króla, narzucał swoją wolę sejmikom i skutecznie blokował działania, które mogłyby ograniczyć znaczenie jego rodu.

Sapiehowie, podobnie jak wcześniej Pacowie i Radziwiłłowie, dążyli również do zwiększenia niezależności Litwy względem Rzeczpospolitej, co mogło mieć tragiczne skutki dla państwa. Bezpośrednią przyczyną wojny domowej okazało się jednak to, że wykorzystywali swoją dominację do systematycznego osłabiania i niszczenia konkurencyjnych rodzin magnackich. To właśnie agresywna polityka wewnętrzna stała się bezpośrednim powodem zbrojnego buntu.

eprasa.pl be6914882e

PRZECIWKO SAPIEHOM

Rosnąca dominacja Sapiehów nieuchronnie prowadziła do kolejnych konfliktów. Ponieważ próbowali utrzymać monopol w najważniejszych urzędach, opór litewskiej średniej szlachty rósł. Już w latach 90. XVII w. doszło do pierwszych zbrojnych wystąpień antysapieżyńskich, w których prym wiodły rody Ogińskich i Radziwiłłów. W 1696 r. wystąpienia na Żmudzi i w Nowogródku zostały stłumione przez stolnika wielkiego litewskiego Jerzego Stanisława Sapiehę. Mimo to opór tylko przybrał na sile.

W 1698 r., wykorzystując nieobecność hetmana Kazimierza Jana Sapiehy, który towarzyszył Augustowi II w kampanii przeciw Turkom, litewska szlachta przystąpiła do zorganizowanych ataków na dobra Sapiehów oraz ich stronników. Ofiarą najazdów padły liczne majątki, a jednym z najbardziej symbolicznych wydarzeń było spalenie siedziby rodowej w Różanie (obecnie znajdującej się na terenie Białorusi). Po powrocie z wyprawy tureckiej hetman wyruszył, by przywrócić porządek. Jego wojska stanęły naprzeciw sił zbuntowanych magnatów w okolicy Grodna. Do rozlewu krwi ostatecznie nie doszło dzięki interwencji Augusta II, któremu udało się doprowadzić do zawarcia kompromisu. Był to jednak tylko chwilowy rozejm. Niespełna dwa lata później konflikt rozgorzał na nowo, prowadząc do wojny domowej.

KONFEDERACJA OLKIENICKA

W 1700 r. zawiązała się konfederacja województw i powiatów Wielkiego Księstwa Litewskiego, znana później jako olkienicka. Jej przywódcy wykorzystali uniwersał króla Augusta II wzywający szlachtę do wsparcia wojny ze Szwecją jako formalny pretekst do zorganizowania zbrojnego oporu przeciw Sapiehom. W Lipniszkach w powiecie oszmiańskim zgromadziło się liczne pospolite ruszenie średniej i drobnej szlachty pod wodzą Wiśniowieckich, Radziwiłłów, Paców i Ogińskich. Na pułkownika generalnego wybrano Michała Serwacego Wiśniowieckiego. Król August II próbował zapobiec eskalacji konfliktu, wysyłając jako mediatora referendarza koronnego Jana Sebastiana Szembeka, ale jego misja zakończyła się fiaskiem.

Tymczasem z Wilna w stronę konfederatów wyruszyły liczące 3–4 tys. żołnierzy oddziały sapieżyńskie dowodzone przez hetmana Kazimierza Jana Sapiehę oraz jego syna, koniuszego wielkiego litewskiego Michała Franciszka. Na wieść o ich marszu 10 listopada ok. 12-tys. pospolite ruszenie wyruszyło z Lipniszek do Olkienik.

Ostatnią próbę ocalenia pokoju podjął biskup wileński Konstanty Kazimierz Brzostowski, który nakłonił zgromadzonych 17 listopada konfederatów do przedstawienia warunków porozumienia. Były jednak tak surowe, że hetman odrzucił je z oburzeniem, deklarując, iż „szabla rozstrzygnie ten spór najlepiej". Wzburzona odpowiedzią szlachta ruszyła następnego ranka z Olkienik i ustawiła się do walki naprzeciw wojsk sapieżyńskich.

BITWA

Sapiehowie dysponowali zawodowym wojskiem i dlatego – mimo przewagi liczebnej przeciwnika – byli pewni zwycięstwa. Na prawym skrzydle ustawili hufce tatarskie, na lewym rajtarię, a w centrum piechotę wspieraną artylerią. W odwodzie pozostawili lekką jazdę złożoną z własnych dworzan i wiernej im szlachty. Wiśniowiecki rozmieścił siły konfederacji w podobnym porządku: na lewym skrzydle chorągwie litewskie, na prawym ruskie, piechota w centrum, a tyły ubezpieczył oddziałem jazdy.

Bitwa rozpoczęła się nad ranem 18 listopada 1700 r. Początkowo przewaga była po stronie Sapiehów, a salwa z dział zmusiła część konfederatów do cofnięcia się. Na obu skrzydłach przez kilka godzin trwał zażarty bój, ale żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi. Przełom nastąpił, gdy Wiśniowiecki rzucił do walki odwody. Okrążyły one oddziały sapieżyńskie i uderzyły na nie od tyłu, wywołując chaos w ich szeregach. Jednostki hetmańskie zaczęły łamać szyk, a następnie wycofywać się. Odwrót błyskawicznie przerodził się w bezładną ucieczkę, w czasie której wielu żołnierzy ginęło pod ciosami rozpalonej gniewem szlachty. Wśród uciekających był hetman Kazimierz Jan Sapieha. Jedynie oddziały tatarskie zachowały dyscyplinę i zdołały się przebić przez szyki pospolitego ruszenia.


Michał Serwacy Wiśniowiecki

Klęska Sapiehów była całkowita. Michał Franciszek Sapieha, dowodzący grupą ok. 1 tys. konnych, do końca próbował osłaniać odwrót rozbitego wojska. Widząc beznadziejność sytuacji, został w końcu zmuszony do kapitulacji. Oddał się pod opiekę Wiśniowieckiemu, lecz to nie uchroniła go przed śmiercią. 19 listopada został wyciągnięty z izby, w której go przetrzymywano, i zamordowany przez rozjuszoną szlachtę, podżeganą przez kanonika wileńskiego Białłozora, pragnącego pomścić brata straconego z rozkazu hetmana. W podobny sposób zginęli także inni najbardziej znienawidzeni stronicy Sapiehów pojmani podczas walk. Łącznie pod Olkienikami zginęły ok. 4 tys. ludzi.

PODZIAŁ ŁUPÓW DLA ZWYCIĘZCÓW, BANICJA DLA PRZEGRANYCH

Zwycięstwo konfederacji olkienickiej dało początek wielkim zmianom w strukturze władzy w Wielkim Księstwie Litewskim. Przywódcy konfederacji natychmiast podzielili między sobą najważniejsze funkcje państwowe:

Fot. Domena publiczna x2

eprasa.pl be6914882e

Michał Serwacy Wiśniowiecki na dwa lata otrzymał komendę nad litewskim wojskiem, a Grzegorz Antoni Ogiński wraz z Michałem Kazimierzem Kociełłem uzyskali uprawnienia do nakładania i ściągania podatków. Litewska armia ulokowała się na leżach zimowych w dobrach odebranych Sapiehom, natomiast majątki księżnej neuburskiej oddano pod zarząd kanclerza wielkiego litewskiego Karola Stanisława Radziwiłła. Rodzinom zabitych obiecano stosowne rekompensaty. Konfederaci zadbali również o rozliczenie swoich przeciwników. Najważniejszych przedstawicieli rodu Sapiehów skazano na banicję, pozbawiono urzędów, praw i dóbr, a co za tym idzie – także wpływów.



„Pospolite ruszenie u brodu", Józef Brandt

Fot. Domena publiczna/w

III WOJNA PÓŁNOCNA

Król August II Mocny obserwował wydarzenia na Litwie z niepokojem, a także oczekiwaniem. Z jednej strony dominacja Sapiehów stanowiła przeszkodę w umacnianiu jego autorytetu w Rzeczypospolitej, więc ich osłabienie mogło być dla niego korzystne. Z drugiej jednak – otwarty konflikt zbrojny w czasie wielkiej wojny północnej groził całkowitą destabilizacją państwa, które August II chciał wykorzystać do realizacji własnych planów dynastycznych. Mimo prób mediacji król nie opowiedział się zdecydowanie po żadnej ze stron. W tym czasie był zaangażowany w działania wojenne w Inflantach i miał w planach zaangażowanie wojsk Rzeczypospolitej przeciwko Szwecji.

Klęska pod Olkienikami zakończyła hegemonię Sapiehów na Litwie, ale nie oznaczała ich całkowitego upadku. Choć pozbawieni urzędów i części majątków, pozostawali znaczącą siłą w Wielkim Księstwie. Zwycięstwo konfederacji osłabiło ich potęgę i zmieniło układ sił w Wielkim Księstwie Litewskim, nie ustabilizowało jednak sytuacji. Wręcz przeciwnie – usunięcie jednego rodu z pozycji hegemona otworzyło drogę do kolejnych sporów magnackich. Była to zapowiedź jeszcze głębszego kryzysu, w jaki wpadła cała Rzeczpospolita na początku XVIII w.

Osłabienie wewnętrzne pogłębiło podatność kraju na presję innych państw. Klęska w walce z konfederatami skłoniła m.in. Sapiehów do szukania pomocy w siłach zewnętrznych. W ten sposób stali się oni stronnikami Szwecji, którzy pół wieku po potopie kolejny raz planowali inwazję na południe.

> Michał Franciszek Sapieha, dowodzący grupą ok. 1 tys. konnych, do końca próbował osłaniać odwrót rozbitego wojska. Widząc beznadziejność sytuacji, został w końcu zmuszony do kapitulacji. Oddał się pod opiekę Wiśniowieckiemu, lecz to nie uchroniło go przed śmiercią

Wydarzenia te zbiegły się z trwającą wielką wojną północną, która całkowicie zmieniła układ sił w regionie. W 1701 r. Karol XII rozgromił wojska saskie pod Rygą, a jego armia zajęła Inflanty i wkroczyła do Rzeczypospolitej. Rok później, w kwietniu 1702 r., Szwedzi zajęli Wilno. Wraz z nimi na Litwę powrócili Sapiehowie, jednak gdy armia Karola XII ruszyła przeciw Augustowi II, opuścili kraj wraz z korpusem gen. Maydla.

Nie oznaczało to jednak końca dramatu państwa polsko-litewskiego. Rozdarta konfliktami wewnętrznymi i niezdolna do obrony Rzeczpospolita stała się areną zmagań między Szwecją a Saksonią wspieraną przez Rosję. Upadek autorytetu królewskiego, niestabilność sejmów i zantagonizowanie elit doprowadziły do wybuchu kolejnej wojny domowej. Tym razem konflikt ogarnął cały kraj, a stronami były inspirowana przez Rosję konfederacja sandomierska, wierna Augustowi II Mocnemu, i konfederacja warszawska, wierna Stanisławowi Leszczyńskiemu, wspierana przez Szwecję.

POCZĄTEK KOŃCA

Konflikt zakończył się chwilowym zwycięstwem Leszczyńskiego, później do władzy wrócił przedstawiciel dynastii Wettynów. Skutki były katastrofalne dla Rzeczypospolitej: wyniszczenie ziem, upadek autorytetu monarchii, jeszcze głębsze osłabienie struktur państwa i zależność od mocarstw ościennych. Można zatem powiedzieć, że wojna domowa na Litwie z 1700 r. rozpoczęła okres chaosu, który doprowadził do głębokiego kryzysu politycznego i militarnego w Rzeczypospolitej. Z czasem ród Sapiehów odzyskał część dawnej pozycji, jednak nigdy już nie wrócił do stanu sprzed bitwy pod Olienikami. Tak samo jak cała monarchia polsko-litewska.

eprasa.pl be6914882e


Piotr Domalewski


Jan Holoubek


Jan Komasa

Świetni czterdziestoletni

O ich produkcjach jest głośno. Jan Holoubek właśnie dał widzom „Heweliusza". Jan Komasa za chwilę pokaże amerykańską „Rocznicę". Piotr Domalewski idzie jak burza z „Ministrantami". To czterdziestolatkowie, którzy nadają dziś reżyserski ton

Fot. Anna Rezulak/KFP/50. FPFF Gdynia; Owen Behan/Lionsgate; Robert Palka/Netflix

eprasa.pl be6914882e



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Agnieszka Osiecka pisała kiedyś o szpetnych czterdziestoletnich. Dziś czterdziestolatkowie – przynajmniej w kinie – radzą sobie świetnie, wyznaczają nowe trendy i standardy.

O PAMIĘĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Twórcy podkreślają, że „Heweliusz" to nie tylko opowieść o tragedii na morzu, lecz także o walce o pamięć i sprawiedliwość. Na ekranie wracają pytania zadawane po tragedii, która rozegrała się w styczniu 1993 r., gdy podczas sztormu na Bałtyku zatonął prom Jan Heweliusz. Udało się uratować ledwie 9 osób. Morze zabrało 36 pasażerów i 20 członków załogi.

Serial, który od dnia premiery zdeklasował konkurencję na platformie Netflix, poraża skalą ludzkiej tragedii, równocześnie budząc uznanie stroną twórczą (w tym aktorską) i techniczną. To kolejna odwołująca się do nieodległej przeszłości, inspirowana prawdziwymi wydarzeniami realizacja, za którą stoi 47-letni dziś reżyser Jan Holoubek.

PRZYSZŁOŚĆ W KINIE

Według rodzinnej anegdoty jako dwunastolatek podkradł rodzicom świeżo nabytą kamerę wideo i oświadczył, że swoją przyszłość widzi w kinie. Jednak syn wyjątkowej aktorskiej pary – Magdaleny Zawadzkiej i Gustawa Holoubka – nie od razu wszedł w rolę reżysera. W 2001 r. ukończył wydział operatorski w łódzkiej filmówce, pracując potem m.in. z Juliuszem Machulskim, Krzysztofem Zanussim czy Jerzym Stuhrem.

Można powiedzieć, że jako reżyser zadebiutował dzięki ojcu i jego serdecznemu przyjacielowi. Podstawą dokumentu „Słońce i cień" (2007) była rozmowa toczona przez Gustawa Holoubka i Tadeusza Konwickiego. Siedem lat później 36-letni Jan Holoubek zrealizował „Pocztówki z Republiki Absurdu" – przewrotny paradokument, w którym przedstawił alternatywną wersję współczesnej polskiej historii. Wraz z ukończoną czterdziestką i pierwszym sezonem serialu „Rojst" (rozwiniętym do trylogii w 2021 i 2024 r.) przyszedł zawodowy przełom. Tak jak w „Pocztówkach...", a potem kolejnych produkcjach, przeniósł się w nieodległą przeszłość. Od lat 80. przez lata 90. („Rojst" i „Rojst '97"), by w „Rojście Millenium" sięgać naprzemiennie do końca 1999 r. i lat 60.

Autentyczna historia, którą zapoczątkowała zbrodnia dokonana w sylwestrową noc na przełomie 1996 i 1997 r., stała się podstawą pełnometrażowego fabularnego debiutu „25 lat niewinności. Sprawa Tomasza Komendy" (2020). „Wielka woda" (2022) przypomniała powódź stulecia z 1997 r. Do czasów PRL i agentów specjalnych kradnących cudzą tożsamość nawiązywał kinowy „Doppelganger. Sobowtór" (2024). Teraz Jan Holoubek pracuje nad produkcją inspirowaną kryminalną sprawą z lat 70. i nocy wigilijnej, która zakończyła życie trojga młodych ludzi. Tytuł filmu: „Wśród nocnej ciszy".

SYMBOLICZNE „44"

Jan Komasa, rocznik 1981, wraca do polskich widzów jako reżyser dwóch międzynarodowych produkcji. „Rocznica" to amerykański debiut 44-latka, któremu miejsce wśród twórców najgłośniejszych polskich filmów zapewniła megaprodukcja o powstaniu warszawskim „Miasto 44" (2014). Reżyserski talent i wyczucie tematu potwierdziły nagrodzona Srebrnymi Lwami debiutancka „Sala samobójców" (2011 i jej kontynuacja „Sala samobójców. Hejter", 2020) oraz nominowane do Oscara w kategorii film międzynarodowy „Boże Ciało" (2019).

WYSTAWIENI NA PRÓBĘ

„Rocznica" to – jak zapowiadają twórcy – nie tylko amerykański debiut Komasy, lecz także najbardziej osobista, emocjonalna opowieść reżysera. W kilku płaszczyznach czasowych, w domowej przestrzeni – z początku sielskiej i dobrze zorganizowanej, zapewniającej bezpieczeństwo wszystkim jej członkom – pojawiają się niepokojące rysy. Początkowo bagatelizowane, a nawet lekceważone, z czasem prowadzące do katastrofy. Widzimy rodzinę wystawioną na próbę przez świat, który zmienia się w tempie, za którym nie sposób nadążyć, i na zasadach, które trudno zaakceptować.

Recenzenci oceniają, że „Rocznica" łączy „emocjonalną głębię rodzinnego dramatu z politycznym i społecznym komentarzem – to opowieść o tym, jak przemiany współczesnego świata potrafią wstrząsnąć fundamentami nawet najbardziej kochającej się familii".

Drugim anglojęzycznym filmem, którym reżyser przypomni się polskim widzom, będzie nagrodzony m.in. w Toronto oraz podczas 69. Festiwalu Filmowego w Londynie „Dobry chłopiec" (polsko-angielska koprodukcja, w której młody bohater zostaje poddany specyficznej formie resocjalizacji). Film jest zapowiadany w polskich kinach w 2026 r.

CHŁOPAK Z PRAGI

Urodzony w Poznaniu, ale wychowany na warszawskiej Pradze Komasa wcześnie zderzył się z rzeczywistością „dzielnicy, na którą jeszcze wówczas klasa średnia się nie zapuszczała". Syn cenionego aktora i redaktorki telewizyjnej wrócił do tych doświadczeń w debiutanckiej etiudzie o raperze z osiedla i dziewczynie z zamożnej klasy średniej. Jego „Warszawa" była jedną z trzech nowel pełnometrażowej „Ody do radości" (2005, pozostałe dwie części wyreżyserowali Anna Kazejak i Maciej Migas). „Oda" była pierwszym kinowym portretem młodych ludzi masowo wyjeżdżających z Polski na emigrację.

Pełnometrażowa debiutancka „Sala samobójców" pokazała nastolatka szukającego akceptacji w internetowej społeczności, w której w końcu się zatraca. W „Mieście 44" 33-letni wtedy Komasa udowodnił, że potrafi mówić o przeszłości w sposób nowoczesny i bliski współczesnemu młodemu odbiorcy.

Inspirowane prawdziwą historią „Boże ciało" (2019) opowiadało historię chłopaka, który postanowił, że po wyjściu z poprawczaka zostanie księdzem. Główną rolę genialnie zagrał Bartosz Bielenia. Na 44. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni „Boże ciało" zdobyło dziesięć nagród, w tym za reżyserię dla Komasy.

Tuż po premierze „Sali samobójców. Hejtera" (w którym znakomicie odnalazł

eprasa.pl be6914882e



Serial „Heweliusz” Jana Holoubka od dnia premiery zdeklasował konkurencję na platformie Netfliksa



„Rocznica” to amerykański debiut Jana Komasy



„Ministranci” Piotra Domalewskiego zdominowali najważniejszy konkurs polskiego kina

Fot. Robert Palka/Netflix; Owen Behan/Monolith Films; Michal Charyton/Next Film

się w głównej roli Maciej Musiałowski), w marcu 2020 r., kina zostały zamknięte z powodu pandemii. Na szczęście ówczesne ograniczenia nie zatrzymały Jana Komasy. Świetnie wykorzystał szansę na sprawdzenie się na amerykańskim rynku. Udowodnił, że nawet w tamtych producenckich realiach potrafi być blisko zarówno bohaterów oraz grających ich aktorów, jak i w opowiadanej historii, która budując kolejne napięcia, wciąga i angażuje widza, zmuszając go również do głębszej refleksji.

Z PALETĄ NAGRÓD

Najmłodszy z przedstawianych reżyserów to 42-letni Piotr Domalewski. Jego najnowszy film „Ministranci” po raz kolejny zdominował najważniejszy konkurs polskiego kina (pierwszy raz Złote Lwy otrzymał w 2017 r. za pełnometrażowy debiut „Cicha noc”). Podczas tegorocznego 50.FPFF w Gdyni zebrał całą paletę nagród, w tym dwie najważniejsze: Złote Lwy oraz Nagrodę Publiczności.

KLUCZE DO SUKCESU

Swoją przygodę z filmem zaczynał jako aktor. Dziś może się przedstawiać: reżyser, scenarzysta, aktor, dramatopisarz. Ta twórcza wielkoformatowość oraz wiążąca się z nią otwartość na przedstawiane historie i bohaterów wydaje się jednym z kluczy do sukcesów Domalewskiego.

Mawiał, że jest „podwójnym” aktorem – w 2006 r. ukończył aktorstwo lalkowe w filii warszawskiej AT w Białymstoku, a trzy lata później – z wyróżnieniem – aktorstwo w krakowskiej PWST. Przez kilka lat był etatowym aktorem Teatru Wybrzeże, grał też w Teatrze Muzycznym Capitol we Wrocławiu i warszawskiej Romie. Jako 27-latek zdał egzaminy na katowicką reżyserię. Jest też autorem sztuk teatralnych (m.in. „Pięć metrów kwadratowych” czy „Kobieta w lustrze”).

CZŁOWIEK Z PROWINCJI

Urodził się w 1983 r. w Łomży, wychował w niewielkiej miejscowości w jej pobliżu, gdzie rodzice pracowali jako nauczyciele. Mawiał, że jest człowiekiem „z prowincji”. I taką „prowincję” pokazuje w swoich filmach.

„Cicha noc” – nagrodzona na festiwalu w Gdyni siedmioma statuetkami opowieść o wigilijnym rodzinnym spotkaniu w domu na warmińsko-mazurskiej wsi – mimo krytycznych rysów nie była pozbawiona ciepła oraz zrozumienia dla bohaterów oraz ich często pogmatwanych i niełatwych relacji.

Wrażliwość Domalewskiego zarówno jako scenarzysty, jak i reżysera potwierdził kolejny film – „Jak najdalej stąd” (2020), w którym nastolatka wyrusza samotnie za granicę, by sprowadzić do Polski ciało zmarłego w wypadku na budowie ojca. 2021 r. to czas produkcji dla platformy Netflix: serialu „Sexify”, którego był również współscenarzystą, i sięgającego do autentycznych wydarzeń z lat 80. ub.w. czarnego kryminału „Hiacynt”.

Choć reżyser mówi, że jego najnowszy obraz powstał „z gniewu i niezgody”, to jednocześnie zaznacza, że jest to film o „bardzo delikatnych emocjach i osobistych doświadczeniach oraz spostrzeżeniach”.

Na festiwal w Gdyni „Ministranci” trafili w atmosferze finansowego skandalu (z powodu ponoć nieprawidłowo rozliczonego finansowania z PISF posadę straciła szefowej tej instytucji). Dziś nikt nie wraca do dawnych zarzutów, więc chyba się nie potwierdziły. Na dodatek film Domalewskiego – bynajmniej nie przeszarżowana finansowo superprodukcja – trafił do serc wielu, i to bardzo różnych festiwalowych widzów. Teraz ma szansę podbić równie szerokie grono kinowych odbiorców.

eprasa.pl be6914882e





HITY i KITY ZAREMBY

W „1670” bez zmian, choć czasem zabawnie

Pierwszy sezon serialu „1670” wywołał publicystyczne trzęsienie ziemi i stał się popularny. Teraz Netflix pokazał nam ciąg dalszy. Mam wrażenie, że urok nowości trochę się zatarł. Ale wielbiciele tej konwencji wciąż bawią się dobrze

Serial ma zręcznego scenarzystę Jakuba Rużyłłę i dwóch reżyserów: Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzielę. Pierwsza seria stała się źródłem nieporozumień. Opisywano ją jako produkt tzw. ludowej historii Polski. Konserwatyści oburzali się, że oto szkaluje się szlachecką Rzeczpospolitą.

Tymczasem na początku pierwszego sezonu pomocnik kowala Maciej przybywał do wsi Adamczycha z Litwy w ramach... programu Erasmus, a postępowa córka Jana Pawła Adamczewskiego Aniela organizowała tam „paradę równości”. W pierwszym odcinku serii drugiej szlachecka rodzina Adamczewskich jedzie na wakacje do Turcji sułtanów skorzystać z usługi „all inclusive”. To nie jest portret dawnej Polski, bohaterowie mówią współczesnym językiem, niemal nic się tu nie zgadza z realiami. To bardziej przypowieść o Polsce współczesnej, choć bez precyzyjnych odniesień.

Mamy parę żartów na temat sarmatyzmu, niemal dobrotliwych. Obraz pańszczyzny jest idyllą w stosunku do rzeczywistych stosunków na polskiej wsi w XVII w. Dziedzic Jan Paweł (ten żarcik z imion dodatkowo wkurzał tradycyjnych widzów) trochę nęka chłopów, ale głównie zwodzi ich retoryką w stylu współczesnych szefów korporacji. Możliwy jest tu romans pańskiej córki, zagorzałej krytyczki szlachty, z chłopem Maciejem.

Pierwszy sezon kupiłem, choć nie śmiałem się nieustannie. Sezon drugi nie wydał mi już tak zaskakujący, choć nadal miejscami trafiał w moje poczucie humoru. Mój ulubiony żarcik? Choćby ten, gdy państwo Adamczewscy odwiedzają chłopskie chałupy, aby czytać dzieciom bajki. Dzieci przyjmują je wrzaskiem, bo są one wyjątkowo makabryczne.

Czasem skecze operują bardzo czarnym humorem, czasem są przesadnie, jak na mój gust, wulgarne. Bywa, że żartują z historycznych stereotypów, zresztą w różne strony. Oto Adamczewski z córką trafiają na imprezę pod nazwą „Stos”, na której mają być palone wiedźmy. Czy to żart z dawnego obskurantyzmu? Ale pomijając fakt, że wszystko przypomina współczesne wesołe miasteczko, w odpowiednim momencie pojawia się królewski urzędnik i zakazuje egzekucji, bo „Polska jest państwem bez stosów”.

Przy okazji zafundowano nam próbki rozmaitych gatunków: wątek opętanego wuja Bohdana to prawie horror, a miłosne perypetie Anieli i Macieja niemal trącą melodramatem. Poza wszystkim to opowieść o nieśmiertelnej ludzkiej głupocie. Adamczewski jest idiotą (choć Bohdan jeszcze większym), a wciąż spada na cztery łapy. Podczas absurdalnej ceremonii „dożynek” pojawia się nawet lekceważony przez wszystkich król Michał Korybut Wiśniowiecki.

Nie zawodzą aktorzy: role Bartłomieja Topy (na przemian butny lub naiwny Adamczewski), oszpeconej nie do poznania Katarzyny Herman (jego żona) czy Dobromira Dymeckiego (Bohdan) to istne mistrzostwo świata. Podobnie jak popis Michała Sikorskiego jako ich syna, makiawelicznego księdza Jakuba. Nawet antyklerykalne żarty z niego prezentują się niewinnie na tle tego, co wyprawia popkultura. Do drugiego sezonu z impetem wszedł Filip Zaręba jako drugi syn Stanisław – dopiero co chwaliłem jego rolę w filmie Kądzieli „LARP. Miłość, trolle i inne questy”. Może bardziej konwencjonalnie wypadła Martyna Byczkowska jako Aniela, ale tym razem nie było na nią wyrazistego scenariuszowego pomysłu.

Podobno kręci się już część trzecia. I trochę się boję, czy starczy na nią inwencji.

Piotr Zaremba

Fot. Netflix



Konwencjonalny koszmar w Derry

Serial „To. Witajcie w Derry" jest przykładem dreptania amerykańskiego kina wokół tych samych historii. Przy okazji także sposobność do rytualnego już dowartościowania czarnych

W Polsce serial jest pokazywany w HBO i na platformie HBO Max. Tekst o nim piszę po trzech odcinkach (z ośmiu), pogląd zdążyłem już sobie wyrobić.

„To..." jest jedną z „kanonicznych" powieści Stephena Kinga z 1986 r. Rzecz dzieje się w Derry, miejscowości umieszczonej przez pisarza w jego rodzinnym stanie Maine – osadzono tam również akcję innych jego utworów. To miejsce, w którym co 27 lat uaktywnia się upiorny klown Pennywise, polujący na dzieci słabo bronione przez dorosłych. Ale to także przestrzeń przemocy rówieśniczej. King przeciwstawia jej przyjaźń.

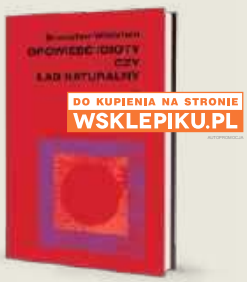
W powieści mamy dziecięcych bohaterów w 1958 r. i tych samych ludzi jako dorosłych w 1985 r. To coś w rodzaju epopei o walce dobra ze złem, zmaganiu się z magią. W latach 2017 i 2019 Andy Muschietti nakręcił udaną, dwuczęściową wersję filmową, choć przesunął wszystko w czasy bardziej współczesne. To w gruncie rzeczy opowieść o dzieciństwie jako przestrzeni koszmarów.

Andy Muschietti wraz z kilkoma innymi reżyserami dał się namówić na kolejną przypowieść o Derry. Na razie dzieje się to w 1962 r., więc jest prequelem filmu. Mamy innych bohaterów. Cofamy się także do 1908 r., bo koszmar Derry trwa od kilkuset lat. Widać tu zresztą jakąś próbę jego racjonalizacji. Wojsko usiłuje zgłębić naturę zjawiska, kopiąc w ziemi i używając jako przewodnika pilota Dicka Hallorana o zdolnościach parapsychologicznych. To postać z innych dzieł Kinga, m.in. kucharz z „Lśnienia".

Na razie nic mnie w tym serialu nie porusza. Nawet sceny straszenia wydają mi się konwencjonalne. Może się to zmieni, gdy pojawi się Pennywise, grany – jak w filmie – przez znakomitego Billa Skarsgårda. To naprawdę przerażająca kreacja.

Mamy i inne zjawisko, które nazwałbym podstawianiem wątków murzyńskich. Połowa bohaterów dziecięcych i spora część starszych, w tym Halloran, to czarnoskórzy. Stawiany jest problem krzywdy tej rasy – także w przewidywalny sposób. Nowe wersje starych historii w amerykańskim kinie są nagminnie uzupełniane o Murzynów, dotyczy to m.in. niemal wszystkich nowszych adaptacji Kinga. Pewnie w czasach Trumpa robi się to jeszcze gorliwiej.

Fot. HBO, materiały prasowe



WILDSTEIN O SZEKSPIRZE I O ŚWIECIE

„Opowieść idioty czy ład naturalny" – pyta Bronisław Wildstein w tytule swojej najnowszej książki. To esej z pogranicza filozofii, politologii i literaturoznawstwa. Nade wszystko unosi się nad nim duch Williama Szekspira

„Opowieścią idioty" nazywa świat zbrodniarz Makbet, jeden z najsławniejszych bohaterów Szekspira. Angielski dramatopisarz ma w tej książce poświęcony sobie rozdział, ale autor powraca do niego nieustannie. Polemizuje z tezami Jana Kotta, a także Allana Blooma, konserwatywnego znawcy szekspirowskiej twórczości. Ich zdaniem Anglik opowiadał się za tezą o absurdzie świata. Wildstein zaprzecza: był kronikarzem czasów chaosu. Ale sam był za ładem. Tyle że myśli Makbeta czy oszalałego Króla Leara przypisano jemu samemu.

To jednak nie jest esej tylko o tym. Wildstein swobodnie przeskakuje od rozważań filozoficznych i polemik z filozofami do analizy feudalizmu, roli religii kiedyś i teraz czy pojęcia honoru na przestrzeni dziejów. Niektóre fragmenty mogą się wydać trudne, ale zasadnicze przesłanie jest mocne i proste. Ludzkość ulega ideologii emancypacji, która każe zrywać wszelkie ograniczenia. „Na tytułowe pytanie mojej książki nowoczesny człowiek odpowiada jak Makbet. Odrzuca ład świata" – to zdanie z finału.

Po drodze Wildstein dokonuje wiwisekcji wielu utworów literackich, nie tylko szekspirowskich. Ładu poszukuje już w lubianym przez siebie antyku. Jego podróż po „Orestei" Ajschylosa przeplata się z rozważaniami o roli rodziny, wolnej woli, wreszcie – polityce w starożytnej Grecji, więc o sensie i ułomnościach demokracji.

Kojarzący się z wyrazistymi politycznymi ocenami Wildstein jest tu mistrzem niejednoznaczności. Przestrzega przed cielęcym kultem postępu, ale jego wartości całkiem nie podważa. Broni średniowiecza jako epoki naznaczonej wspólnotowością, a przecież rozumie, dlaczego musiało przeminąć.

Najwięcej jest jednak o Szekspirze. Ogólnie się z nim zgadzam, kiedy stawia klasyków wyżej niż współczesnych albo kiedy natrząsa się z deformowania szekspirowskich opowieści w dzisiejszym teatrze w imię rozmaitych transgresji. Choć czasem bym się spierał. Kiedy wygłasza mowę przeciw komizmowi i komedii (w innym miejscu chwaląc Szekspira za poczucie humoru) albo kiedy domaga się wiernego odtwarzania szekspirowskich myśli. Antykobiece „Poskromienie złośnicy" naprawdę trudno dziś wystawiać bezkrytycznie.

Chętnie bym też poskrobał po opiniach autora o religii. Choć trudno się nie zgodzić z jedną myślą: „Odrzucenie religijności to zatracenie całościowego ujęcia świata. [...] To przyczyna dezintegracji i alienacji ludzkiej egzystencji dziś".

3 MIŁOŚCI

Katedra kontra Encyklopedia



ROBERT TEKIELI

Gdy pytamy o cierpienie, spada zasłona. Widzisz pozorność wszystkich wielkich i małych odpowiedzi. Wielkich. Religijnych. I małych. Filozoficznych, ideologicznych czy dawanych przez popkulturę. Jest tylko jedna odpowiedź. Jezus Chrystus.

Skonfrontowanym ze śmiercią przyjaciela lub trzyletniego dziecka odpowiedzi nie udzieli duch czasów. Nie pomogą afirmacje, manifestacje pragnień, medytacje na mistrza czy na pustkę, odpowiedzi nie przyniesie mistrzowskie opanowanie manipulacji energią kundalini ani żadna ze zrób-to-sam-religii, skonstruowanych na użytek własnego egoizmu przez tancerkę influencerkę czy obdarzoną wielką charyzmą byłą panią oficer CBŚ. Usłyszymy najwyżej: „Nie chrzczę dzieci, bo sakramenty zamykają czakry" lub „Open your mind na mądrość Quantum, na moc Bogini z Bali, na religię Aborygenów".

Rynek samozbawienia: magia, spirytyzm, reinkarnacjonizm, neopoganizm, neognostycyzm, misteryjna religia masonerii, wierzenia New Age, satanizm, ideologie, style życia mające eschatologiczne konsekwencje – choćby niosące w sobie przekonanie o nieistnieniu grzechu.

Również zbawienie, które niosą gnostycyzm czy masoneria – marzenia chłopców w krótkich spodenkach. Jest tylko jedna odpowiedź. Człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa. Nie sposób zaakceptować ciężaru życia bez pojęcia wagi ofiary Jezusa.

Od religii, kultury, sztuki, filozofii, mądrości, tradycji, doświadczenia innych ludzi człowiek oczekuje porady, jak dobrze przeżyć życie, być szczęśliwym i osiągnąć życiowy sukces.

A co, jeśli już całemu pokoleniu odpowiedź na to jak żyć, przynoszą memy?

To dziś, a w XX w. kolejno: kino, telewizja, reklamy. I nazizm, i marksizm, i postmodernizm. Kiedy Kościół katolicki stracił wpływ na duchową formację człowieka Zachodu?

Rozpacz to decyzja o odrzuceniu Boga. Dzisiejsza kultura Zachodu to kultura rozpaczy. Duch czasu mówi: nowoczesna religia musi być bezwyznaniowa. Na zewnątrz nie ma niczego, w co moglibyśmy wierzyć albo w czym pokładać nadzieję.

Tyle że odrzucenie zinstytucjonalizowanej religii, z której wyrósł Zachód, na rzecz nieokreślonych i eklektycznych „duchowości" nic nie daje. Jako dzieci Logosu nie potrafimy się obejść bez

Na szczęście Bóg bardzo poważnie traktuje każdy najmniejszy wysiłek człowieka. I nikogo nie pozostawi bez wsparcia i odpowiedzi. Zrozumienie Boga, objęcie go sercem, umysłem, duszą, daje szansę na życiowy happy end. My, katolicy, mamy dużo szczęścia. Lecz także obowiązki mamy katolickie, co znaczy: powszechne

tworzenia spójnych teorii i przekonań. A jako istoty społeczne niezmiennie organizujemy się w grupy i wspólnoty.

Co się dzieje, kiedy Kościół daje sobie zabrać, a potem wręcz odrzuca swą misyjność – nakaz głoszenia Chrystusa każdemu, w porę i nie w porę?

Michał: „Mój ojciec pił, odkąd pamiętam. Bił, dusił matkę, wtedy waliłem go po plecach krzesłem. Zainteresowałem się wiedzą tajemną, gdy matka zaprosiła radiestetę do domu. Zrobiłem z drutu różdżkę i rzeczywiście zaczęła się sama ruszać, krzyżować. Poszedłem dalej we wróżbiarstwo. W nocy zaczął przylatywać do mnie kruk, siadał na moim łóżku, a ja rozmawiałem z nim. To nie było złudzenie ani sen. Nie zapomnę wizyty niesamowicie wielkiego wilka o płonących oczach... Słyszałem w głowie, że chce mnie uczyć. Ja chciałem być magiem. Żeby »zwiększyć percepcję«, zacząłem brać psychodeliki. Marihuanę, potem amfetaminę, skończyłem na heroinie. Miałem 14 lat. Zacząłem ćpać. Zostałem wyrzucony z domu, straciłem wszystko".

To ścieżka magii. Jedna z prób ucieczki od bez-silności i bez-nadziei.

Metoda ustawień rodzinnych Berta Hellingera została w Polsce przyjęta z wielką rewerencją. Najwybitniejsze psychologiczne autorytety medialne wypowiadały się o niej z zachwytem. Stworzył ją katolicki kapłan, który po 17 latach pracy wśród Zulusów przejął ich wierzenia i odszedł z Kościoła. W trakcie „ustawień" dzieją się rzeczy nadzwyczajne. Potwierdzają to również osoby niewierzące. Otóż ludzie widzący się pierwszy raz dysponują informacjami na temat osoby „terapeutyzowanej" oraz jej rodziny. Informacjami, których w porządku natury mieć po prostu nie mogą. Hellinger nie podaje żadnych wytłumaczeń tego fenomenu. Jeśli jednak bliżej przyjrzeć się ustawieniom, okazują się formą seansu spirytystycznego. I wtedy posiadanie nadzwyczajnych informacji o nieznajomych przestaje dziwić.

eprasa.pl be6914882e

To spirytystyczne doświadczenie mocy. Kolejna usystematyzowana próba ucieczki od bezsilności.

Piętnastoletniej Agnieszce nauczycielka rysunków wmawiała, że w poprzednich wcieleniach była prowansalskim chłopem i prostytutką w starożytnym Kairze. Agnieszka ją wyśmiała. Jednak reinkarnacyjne opowieści nauczycielki zafascynowały chłopaka z innej klasy. Michał zaczął ćwiczyć medytację transcendentalną i próbował regresingu. Potem wszedł we wschodnie sztuki walki i praktyki magiczne. Dopiero drastyczne dręczenia, nocne paraliże i towarzyszące mu wszędzie poczucie wrogiej obecności wewnątrz duszy doprowadziły Michała do egzorcyzmów i uwolnienia.

Reinkarnacja jest koncepcją eschatologiczną. Wiara w reinkarnację występuje w religiach indyjskich, platonizmie, kabale, teozofii, wierzeniach australijskich Aborygenów czy New Age. Popularność reinkarnacji w społeczeństwach Zachodu ciągle rośnie. Wierzy w nią 32 proc. Polaków i Irlandczyków, 27 proc. Brytyjczyków i 22 proc. Włochów.

Jakie są konsekwencje przyjęcia światopoglądu reinkarnacyjnego? Jacques Verlinde opisuje rozmowę młodej Hinduski z najwyższej kasty z guru Mahesh Yogi. Dziewczyna przyszła do mistrza z pytaniem, czy może zostać pielęgniarką. Guru gwałtownie odradzał jej wybór tego zawodu. Mogłaby bowiem skalać swoją karmę poprzez kontakt z siudrami, osobami z najniższej kasty „niedotykalnych". Siudra dosłownie znaczy „gnój".

Starożytny reinkarnacjonizm tak łatwo wpasował się w myślenie New Age, ponieważ jest jedną z koncepcji samozbawienia. Próby tworzenia syntezy myśli chrześcijańskiej i reinkarnacji występowały w pierwotnym Kościele jedynie na jego obrzeżach, w sektach i herezjach.

Trwa powrót magii i spirytyzmu, starcie neopogaństwa, zdesakralizowanych wierzeń orientalnych, wiązki wierzeń New Age z myślą chrześcijańską. Idea reinkarnacji jest w niej podstawowym orężem. Jednak według wiary objawionej człowiek sam nie jest zdolny do tego, aby osiągnąć zbawienie. Nawet w wielu wcieleniach nie potrafiłby sam siebie oczyścić z win i stanąć twarzą w twarz z Bogiem.

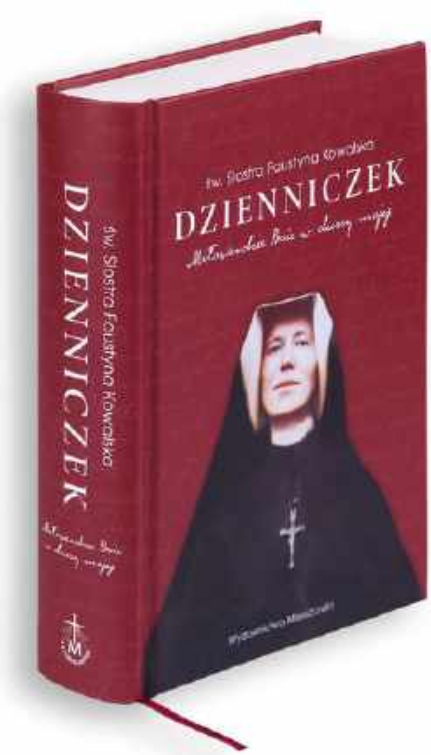
Magia, spirytyzm, reinkarnacjonizm, neopoganizm, neognostycyzm, misteryjna religia masonerii, wierzenia New Age... Wiele słów... Ale od zawsze ta sama herezja samozbawienia.

W miejsce mądrości Objawienia podstawą nowożytnej kultury Zachodu stał się intelektualizm. Człowiek zajął miejsce Boga. Zwieńczeniem paradygmatu intelektualnego, który w epoce odrodzenia zastąpił system mądrościowy, jest Encyklopedia.

Katedra kontra Encyklopedia. Sercem Katedry jest Bóg. Pełna prawdy Encyklopedia jest zaś oszustwem, wmawia nam bowiem, że suma faktów może dać zrozumienie, że sami możemy nadać światu sens.

Intelektualizm sieje zamęt w duszach. Dlatego tak łatwo dziś o zwiedzenie. Odrzucono Objawienie, demon szaleje w centrum kultury. Stworzył paletę quasi-religijnych stylów życia, którymi nasiąka się nieświadomie. Jesteśmy bezradni. Z bezradnością patrzymy na wybory życiowe naszych dzieci. Bo kulturą oddycha się jak powietrzem.

Jest jedno antidotum. Realizm. Realizm kontra zwiedzenie. Realizm bazujący na zdrowym rozsądku zakorzenionym w objawionej wierze. I antropologii wywiedzionej z Objawienia. Realizm kontra fatum i zbyt łatwy optymizm systemów samozbawienia.



Rozpacz to decyzja o odrzuceniu Boga. Polska jako zbiorowość odrzuciła Boga. Cieszymy się z morza biało-czerwonych flag w Święto Niepodległości. A ilu z tych naszych braci i sióstr żyje tak, jakby Boga nie było? Jesteśmy łatwym celem. Paszą demonów. Grzech to śmierć, to rozłam.

Na szczęście Bóg traktuje bardzo poważnie każdy najmniejszy wysiłek ze strony człowieka. I nikogo nie pozostawi bez wsparcia i odpowiedzi. Zrozumienie Boga, objęcie go sercem, umysłem, duszą, daje szansę na życiowy happy end. My, katolicy, mamy dużo szczęścia. Lecz także obowiązki mamy katolickie, co znaczy: powszechne.

Od Boga pochodzi życie, nadzieja, pełnia. To Bóg ożywia ducha, daje prawdziwą nadzieję. Sprzedawców fałszywej nadziei jest na pęczki. Ideolodzy, doradcy życiowi, okultyści, spirytyści, masoni. A Bóg przygarnia nas z miłością. Chce zostać poznany, odkryty, przyjęty. Bóg daje szczęście. Pojęcie go jest najlepszą drogą do radości. On uczy nas chodzić prostymi ścieżkami. Zbawianie świata, ratowanie Polski musisz zacząć od ratowania od śmierci własnej duszy.

„W swoim utrapieniu wołali do Pana, a On ich uwolnił od trwogi'. Kto potrafi uwolnić twoje serce od trwogi? Odpowiedz sobie szczerze.

Bóg daje życie. Bóg ożywia, daje nowego ducha. Bóg daje się poznać, dając nadzieję. Wystarczy poprosić i pójść do spowiedzi. Czytaj największą mistyczkę XX w. Czytaj s. Faustynę. Boże miłosierdzie jest miarą jego miłości do mnie i do ciebie.

Ożywiając, ratując od śmierci grzechu, dając poznać, czym różni się bycie z nim od bycia samemu, Bóg uczy mnie chodzić prostymi ścieżkami.

Naszym przeciwnikiem, przeciwnikiem natury ludzkiej, autorem koncepcji samozbawienia, jest demon, inteligencja pozbawiona nadziei. A my jesteśmy odkupieni, Jezus swoją krwią wykupił nas z tej niewoli. Z niewoli grzechu. Z pułapki uzależnienia, zaniżonej samooceny, z otchłani rozpaczy, czyli bez-nadziei. Jestem wykupiony z niewoli grzechu krwią Jezusa. Rozpacz nie jest chorobą, jest decyzją. Decyzją o odrzuceniu Boga.

„Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem" – oto recepta na szczęście. Polska nieuporządkowana duchowo jest łatwym celem.

eprasa.pl be6914882e



Gospodarka strachu

Wysoki deficyt, szybko narastający dług publiczny i brak porozumienia w kwestiach reformy finansów państwa między rządem a prezydentem nie wróżą dobrze gospodarce. Międzynarodowe instytucje specjalizujące się w wystawianiu ratingów ostrzegają ekipę Donalda Tuska: zróbcie z tym coś, bo inaczej wyłączymy wam silnik



STANISŁAW KOCZOT

W światowych finansach liczą się trzy agencje ratingowe: Fitch, Moody's i S&P. Ta wielka trójka speców od księgowości zajmuje się oceną wiarygodności kredytowej, czyli nadawaniem tzw. ratingów. To cenzurki wystawiane państwu, korporacji czy miastu. Informują o tym, czy są one w stanie spłacać swoje długi: jeżeli ryzyko jest minimalne, dostają ocenę AAA, jeżeli bardzo wysokie – D. Agencje używają też cyfr, plusów i minusów.

CENZURKI, POCHWAŁY I NAGANY

Tak jak w szkole poza aktualnymi ocenami są jeszcze nagany i pochwały, które w nomenklaturze agencji ratingowych noszą nazwę „perspektyw" (outlook): jeżeli uczeń sprawuje się dobrze, robi postępy i zasługuje na awans do następnej klasy, dostaje perspektywę pozytywną. Jeżeli stoi w miejscu, ale nic nie zapowiada, że postąpi źle lub opuści się w nauce, zasługuje na perspektywę stabilną. Jeżeli natomiast robi błędy, zachowuje się fatalnie i idzie mu coraz gorzej, agencja grozi mu palcem i zmienia outlook na negatywny.

To poważne ostrzeżenie, ponieważ jeżeli delikwent się nie poprawi, jego ocena zostanie obniżona. Inwestorzy bardzo tego nie lubią, bo kraj, któremu spadają perspektywy, a w konsekwencji – być może – rating, traci na wiarygodności. Nie oznacza to, że nikt mu nie pożyczy ani grosza. Owszem, może pożyczy, ale każe mu za to płacić bardzo wysokie odsetki.

POCZEKAJMY DO WIOSNY

Do tej pory polska gospodarka dostawała oceny na poziomie jednego A z minusem lub AA (czyli całkiem dobre, choć dość odległe od idealnego, potrójnego A) i perspektywę stabilną. Zmieniło się to we wrześniu, kiedy Fitch i Moody's zostawiły oceny bez zmian, ale obniżyli naszą perspektywę do... negatywnej. W listopadzie swojego zdania o polskiej gospodarce nie zmieniła agencja S&P i pozostała przy poprzednim outlooku, czyli perspektywie stabilnej.

Nie do końca wiadomo, czym kierowała się S&P, zostawiając perspektywę bez zmian, bo od września do listopada w polskiej gospodarce nic się nie zmieniło na lepsze, budżet jest w fatalnym stanie, a parametry zadłużenia na przyszły rok wołają o pomstę do nieba. Być może przeważyła opinia, że między stabilnymi perspektywami wzrostu gospodarczego a ryzykiem wynikającym z szybko rosnącego długu publicznego panuje równowaga.

Polskie plusy – m.in. zdywersyfikowaną i odporną gospodarkę – widzą też Fitch i Moody's, jednak raczej nie dostrzegają harmonii między nimi a konsekwencjami niekontrolowanego przyrostu długu.

Na razie pesymiści wygrywają z optymistami 2:1. Rząd Donalda Tuska ma czas do wiosny 2026 r., by udobruchać analityków Fitch i Moody's i nie popsuć humorów S&P – wówczas agencje znowu wezmą Polskę pod lupę. Jeżeli tego nie zrobi, wielka trójka pokaże czerwoną kartkę. Czy odgwiżdże również koniec meczu?

NIC IM SIĘ NIE PODOBA

Sprawa jest poważna, gdyż agencje przyczepiły się do fundamentów polskiej gospodarki. Można nawet założyć, że księgowym z Fitch i Moody's prawie nic się nie podoba: deficyt sektora publicznego, czyli różnica między dochodami powiększonymi o środki pochodzące ze źródeł zagranicznych a wydatkami (w tym także z fun-

eprasa.pl be6914882e



duszy pozabudżetowych), jest za wysoki, rosną świadczenia socjalne i płace w sektorze publicznym, obsługa zadłużenia jest coraz bardziej kosztowna. Za wysoki jest dług publiczny, czyli całkowite zadłużenie podmiotów sektora (kredyty, pożyczki, obligacje emitowane przez rząd i samorządy), który w przyszłym roku zbliży się do 67 proc. PKB, a pod koniec lat 20. – według Moody's – przekroczy 70 proc. Na koniec II kwartału 2025 r. wyniósł on prawie 1,8 bln zł, o niemal 10 proc. więcej niż w końcu 2024 r.

Polskę na razie stać na obsługę rosnącego długu, ale nie wiadomo, jak długo to potrwa.

„Obniżka perspektywy ratingu to żółta kartka dla polityków i mocny sygnał raczej skierowany właśnie do tego grona. Trwa kampania przed wyborami w 2027 r., agencja wyraża obawy, że może ona przynieść dalsze zwiększenie wydatków budżetowych. Gdyby tak się stało, możliwa jest obniżka samego ratingu – tak komentowali decyzję Moody's analitycy ING.

PUŁAPKA ZADŁUŻENIA

Czy może być aż tak źle? – Zasada jest taka, że jeżeli agencja ratingowa zmienia perspektywę z neutralnej na negatywną i jeśli w międzyczasie nie wydarzy się nic pozytywnego, to rating zostaje obniżony – mówi Marek Zuber, ekonomista z Akademii WSB.

Rząd musi wziąć się ostro do roboty, jednak na razie nie widać, by miał takie plany. Stan finansów publicznych jest zły, we wrześniu deficyt wzrósł o kolejne 29 mld zł i od początku roku przekroczył już 200 mld zł, wpływy z VAT są niższe w stosunku do planów. Jak wyliczyli analitycy Pekao SA, Ministerstwo Finansów musi poczynić oszczędności sięgające ok. 20 mld zł, aby zmieścić się w limicie gigantycznego deficytu 289 mld zł zaplanowanego na 2025 r.

Marek Zuber twierdzi jednak, że niektóre zapowiedzi rządu Donalda Tuska, np. wprowadzenie centralnego rejestru faktur w przyszłym roku i ewidentne zmniejszanie narastania wydatków socjalnych, mogą powstrzymać karzącą rękę Fitch i Moody's.

Nie wiadomo jednak, czy to wystarczy, skoro dług państwa rośnie w tak szybkim tempie. – Jeśli chodzi o porządkowanie narastającego długu, nie widzę żadnej rewolucji w ostatnich latach – mówi Marek Zuber.

Dług publiczny nie jest problemem, jeżeli państwo kontroluje jego wzrost i wie, jak nim sterować. Długi mają oszczędni Niemcy, a także strefa euro. Problem pojawia się wtedy, gdy rząd nie ma strategii, która porządkuje zarządzanie zobowiązaniami i wydatkami. Agencjom ratingowym bardzo się to nie podoba, gdyż – w krańcowych przypadkach – państwo może wpaść w pułapkę zadłużenia, kiedy konieczne jest zaciąganie nowych kredytów na spłatę starych zobowiązań.

Długi mają sens, kiedy finansują inwestycje pomnażające kapitał i tworzące nowe miejsca pracy.

Marek Zuber uważa, iż rząd nie ma strategii, a to duży minus z punktu widzenia agencji ratingowych. – Nie wiemy, dokąd zmierzamy. Strategia jest bardzo ważnym elementem informującym o tym, co się może dziać także z długiem publicznym – podkreśla.

FRANCUZOM JUŻ OBNIŻYLI

To nie jedyna bolączka rządu Donalda Tuska. Poważnym problemem jest fatalna współpraca jego ekipy z prezydentem Karolem Nawrockim. To beczka prochu, która może wysadzić w powietrze każdą gospodarkę, nawet mocniejszą od polskiej. Moody's już w pierwszych akapitach analizy pisze o skutkach złych relacji między rządem a prezydentem.

Także S&P zwraca uwagę, że zwycięstwo Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich przekłada się na impas polityczny, co skomplikuje wprowadzenie działań zmniejszających napięcia w finansach państwa.

Agencja Fitch, która we wrześniu obniżyła rating Francji, jako główny powód swojej decyzji podała polityczną niestabilność kraju, utrudniającą ograniczenie zadłużenia publicznego.

WSZYSCY WIEDZĄ, ŻE JEST ŹLE

Rynki ze spokojem przyjęły obniżenie perspektyw Polski przez Fitch i Moody's. Inwestorzy nie byli zaskoczeni decyzjami agencji, gdyż – jak mówił portalowi wGospodarce.pl Marek Rogalski, główny analityk walutowy Domu Maklerskiego BOŚ – ekonomiści już od pewnego czasu zwracali uwagę na stan naszych finansów publicznych, nadmierny deficyt, rosnące zadłużenie, brak prostej recepty, „żeby te negatywne tendencje odwrócić".

Według analityków ING rynki finansowe oceniają wiarygodność kredytową Polski nawet gorzej niż agencje ratingowe. Eksperci banku uważają wręcz, że agencja Moody's była „wyjątkowo tolerancyjna", utrzymując sam rating bez zmian, w sytuacji gdy „prognozy fiskalne są coraz gorsze".

Co będzie, jeżeli na wiosnę okaże się mniej życzliwa? Co się stanie, jeżeli Fitch obniży nam rating? „Wtedy powinniśmy się bardziej martwić" – mówił Marek Rogalski.

SKĄD WZIĄĆ PIENIĄDZE?

Aż strach pomyśleć, co może się wówczas wydarzyć. Obniżka ratingu to nie żarty, powoduje natychmiastową i silną reakcję rynków finansowych.

Efekt pojawia się przede wszystkim na rynku obligacji emitowanych przez rząd. Sprzedaje je Skarb Państwa, by zaspokoić potrzeby budżetu: finansować zbrojenia, służbę zdrowia, pensje w sferze budżetowej... Dochody z podatków są zbyt małe, by na wszystko starczyło.

Obniżka ratingu sprawia, że inwestorzy będą nadal kupować od nas obligacje, ale zażądają wyższych bonusów. – Kolejne miliardy trzeba by przeznaczyć na obsługę długu, czyli na spłatę odsetek, a nie na zaspokojenie kluczowych potrzeb państwa, np. na inwestycje w energetykę czy rolnictwo – mówi Marek Zuber.

Pieniądze i tak trzeba będzie skądś ściągnąć. Najprostszy sposób to sięgnięcie do kieszeni Polaków, podnosząc kolejne opłaty. I rząd pewnie tak zrobi.

eprasa.pl be6914882e

JAN HOLOUBEK REŻYSER SERIALU „HEWELIUSZ”

W poszukiwaniu plenerów do filmu



Ponad 120 aktorów i 3 tys. statystów. Do tego 2 tys. pojazdów, w tym „200 ciężarówek, 700 t wody (większość krążyła w obiegu zamkniętym), kilometr deszczownic i trawersów oraz 70 różnych planów zdjęciowych”. To techniczna statystyka serialu Netfliksa, który w ostatnim czasie przyciąga rekordową liczbę widzów.

Jak opowiadają realizatorzy, w „Heweliuszu” każda scena była rozpracowana na czynniki pierwsze, rozrysowano storyboardy i dopiero wtedy decydowano, w jaki sposób i gdzie dane ujęcie będzie realizowane – na otwartym morzu, w hali zdjęciowej z wybudowaną dekoracją umożliwiającą efekt przechyłów (tam powstał siedemnastometrowy mostek kapitański promu), w specjalistycznej hali wodnej lub komputerowo, w postprodukcji.

Najbardziej dramatyczne sceny, przywołujące katastrofę promu podczas sztormu 13 stycznia 1993 r., były realizowane nie na Morzu Bałtyckim, lecz w specjalnym basenie w studiu w Belgii. „Prawdziwy akwen odpadał z wielu powodów, choćby bezpieczeństwa, temperatury, niemożności oświetlenia go w nocy. Były różne pomysły: może zbudować wielki basen w plenerze? Obudujemy go namiotem cyrkowym, powiesimy światło i tam wszystko nakręcimy? Zaczęliśmy się nawet zastanawiać, jak stworzyć tam fale, ale ważniejsze było pytanie, w jaki sposób podgrzać miliony litrów wody. Bo przecież woda w takim basenie byłaby zimna. Ile wytrzymałby w niej aktor? Pół godziny? 40 minut?” – wspomina Jan Holoubek w rozmowie z Cezarym Łazarewiczem w książce „Między słońcem a cieniem”.

Niektóre wnętrza serialowego „Heweliusza” – np. ładownie wypełnione ciężarówkami i maszynownię statku, których nie dało się zbudować w hali (bo kajuty, korytarze, mostek kapitański były budowane od zera: zarówno w tzw. suchych halach w Polsce, jak i na basenie w Belgii) –były filmowane w specjalnie do tego celu wynajętym pasażerskim promie.

Oprócz wspomnianych miejsc do realistycznego przypomnienia tragedii „Heweliusza” potrzebnych było kilkadziesiąt innych lokalizacji. Wśród nich znalazło się m.in. polsko-czeskie przejście graniczne w Chałupkach. W ekranowej historii zagrało granicę z Niemcami. Realizatorzy wykorzystali charakterystyczną zabudowę nieczynnego przejścia. Na ekranie przez moment widać też charakterystyczny element – stalową konstrukcję Mostu Jubileuszowego Cesarza Franciszka Józefa z 1899 r. (zburzonego i odbudowanego w 1945 r.), obecnie mostu granicznego nad Odrą.

Bardzo dużo zdjęć powstało we Wrocławiu. Jan Holoubek, który zrealizował w tym mieście kilka swoich wcześniejszych produkcji, m.in. serial „Wielka woda” dla Netfliksa czy film „Doppelgänger. Sobowtór”, nie ukrywa, że bardzo lubi pracować w stolicy Dolnego Śląska. Producentka Anna Kępińska dodaje, że pasjonatem miasta jest też scenograf Marek Warszewski, który tu zamieszkał.

Nie tylko jednak sentyment decydował o przestrzeniach, w których pojawiła się ekipa „Heweliusza”. Kępińska zdradza, że lokacji do serialu poszukiwano w całej Polsce. I wbrew pozorom nie ma aż tak wielu, w których można odtworzyć lata 90. ub.w. Tymczasem Wrocław słynie z dużej bazy, różnorodnej architektury – także tej z okresu, jakiego potrzebowali filmowcy.

Miejsca znaczące dla fabuły znaleziono też w Zgorzelcu. Jedno z tamtejszych osiedli „zagrało” enklawę na Ursynowie, gdzie mieszkała żona kpt. Ułasiewicza.

Poza realnymi planami tak rozbudowana scenograficznie i dramaturgicznie produkcja jak „Heweliusz” nie mogła się obejść bez obrazów generowanych komputerowo. Przy czym reżyser zapewnia, że tam, gdzie się tylko dało, ekipa pracowała w realnych warunkach. „Jeśli scenę można było zrealizować w basenie o długości 25 m, robiliśmy to, ale wszystkie szerokie plany, na których widać cały statek – to już komputer” – dodaje.

W „Heweliuszu” ponad 900 ujęć przeszło obróbkę cyfrową w mniejszym lub większym stopniu. Postprodukcja obrazu i dźwięku trwała przez rok od zakończenia zdjęć.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl be6914882e



SŁODKO-SŁONY

Pasztet z oliwek

ANNA MONICKA

Dla smakosza oliwek przejście obojętnie koło stoiska z włoskimi delikatesami jest okrutną torturą. Nie byłam w stanie się jej poddać, więc gdy zobaczyłam w pewnej galerii handlowej stand zorganizowany przez restaurację słynącą z pizzy i pasty, ruszyłam, by obejrzeć smakołyki. Skończyło się tak, że wyszłam z torbą pełną różnych oliwek. Podjadałam je w drodze do domu, a gdy wreszcie dotarłam do kuchni, postanowiłam zrobić pyszną pastę do chleba. Miałam akurat piękne awokado, więc rozgniotłam je widelcem, doprawiłam sokiem z limonki, posiekanym domowym ogórkiem kiszonym, szalotką i oczywiście zielonymi oliwkami. Chociaż lato skończyło się całkiem niedawno, bardzo już tęsknimy za zieleniną i witaminami, bo zjadłyśmy to smarowidło w kilka chwil, a dziecko ruszyło się znad książek do sklepu po kolejne awokado. Wiem już, co będziemy jeść na kolejne śniadania.

Jednak oliwki patrzą na nas z lodówki tak kusząco, że kolejnym krokiem była pieczona dynia Hokkaido z czerwoną cebulą, czosnkiem i porami, obficie doprawiona pokruszoną fetą i dla odmiany czarnymi oliwkami. Wyszła nam cała blacha. Zazwyczaj jemy taki warzywny gulasz z ryżem lub makaronem, a jeśli coś zostaje – co zdarza się rzadko – również robię pastę do pieczywa. Można ją jeść na ciepło lub zimno.

Zresztą także z samych oliwek wychodzi nam świetny „pasztet". Miksujemy je z czosnkiem i cytryną. Zazwyczaj to wystarcza, ale czasem dodajemy kapary, czasem anchois i dużo natki pietruszki albo pokrojone listki bazylii, jeśli mamy pod ręką. Jeżeli pasta ma być jeszcze bardziej odżywcza, podprażamy na suchej patelni migdały, gnieciemy je w moździerzu i mieszamy wszystko razem, doprawiając oliwą. Może to danie nie zachwyca kolorem, za to smakiem już tak, zwłaszcza jeśli podamy pastę na świeżutkiej i chrupiącej bagietce (ale można potraktować ją jak dodatek do spaghetti).

Proporcje są zazwyczaj dobierane na oko, czasem wrzucamy więcej oliwek czarnych, czasem zielonych, bywa, że organizm domaga się ostrego smaku czosnku albo orzeźwiającej skórki z cytryny lub limonki. Nie trzymamy się kurczowo klasycznego przepisu na tapenadę. Jeśli mamy ochotę, zamiast migdałów w misce ląduje biały ser. Przestrzegamy tylko jednej zasady – solimy zawsze na końcu, bo oliwki bywają dość słone.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Polski koliber

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W początkach obecnego wieku w Niemczech opisano nowy rodzaj kolibrów nazwany *Eutrochilus*. Później, w 2007 r., ślady istnienia tych ptaków odkryto we Francji i w Polsce. Co ciekawe, polskie kolibry zostały odnalezione kilkadziesiąt lat wcześniej, nie zostały jednak oznaczone – inaczej mówiąc, nie zorientowano się, że chodzi właśnie o nie.

Mowa o kolibrach takich jak w Ameryce Południowej, a więc zawisających w powietrzu filigranowych ptaszkach żywiących się nektarem kwiatów, które żyły w Europie ok. 30 mln lat temu, w oligocenie – co wcale nie czyni tego mniej ciekawym. Wręcz przeciwnie. Dlaczego?

Polskie kolibry znaleziono w rejonie Jasła. Ich szczątki zachowały się we fliszu karpackim, czyli warstwach skalnych budujących dużą część Karpat, złożonych w dużej mierze z piaskowców. Odkrycie jest tym ciekawsze, że flisz karpacki nie sprzyja zachowaniu skamieniałości i odcisków.

Przeskoczmy na chwilę do współczesności. Z kolibrami spokrewnione są jerzyki, ptaki na pierwszy rzut oka przypominające jaskółki, ale różne od nich pod wieloma względami. Całe życie spędzają w powietrzu, lądując najprawdopodobniej tylko podczas lęgów, śpią w locie, szybując na dużych wysokościach, na zmianę wyłączając jedną połowę mózgu, podczas gdy druga śpi. Są najszybszymi spośród ptaków, w locie odróżniają pszczołę robotnicę z żądłem od pozbawionego żądła trutnia, w ciągu życia przemierzają miliony kilometrów. Zimują w tropikalnej Afryce (co ciekawe, jerzyki z Chin również, zamiast w dużo bliższych ciepłych rejonach Indii), podczas załamania pogody w okresie lęgowym, kiedy brakuje owadów, lecą w rejony odległe o setki kilometrów dalej, żeby tam żerować, podczas gdy pisklęta – co niezwykłe wśród ptaków będących zwierzętami o szybkiej przemianie materii – mogą przeżyć bez jedzenia nawet dwa tygodnie. Inaczej mówiąc, charakterystyka jerzyków to same ciekawostki.

Dołóżmy do nich jeszcze jedną, która przyszła mi w pewnym momencie do głowy, kiedy czytałem o wspomnianych wymarłych kolibrach z czasów oligoceńskich. Czy jest możliwe, że pokrewieństwo jerzyków z kolibrami wywodzi się sprzed kilkudziesięciu milionów lat i czy nie mogłoby być powiązane z mającym wówczas miejsce rozdzielaniem się kontynentów podczas rozpadu Pangei?

eprasa.pl be6914882e

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

By było, jak było

W postkomunistycznych i liberalnych mediach nie ustaje krytyka prezydenta Karola Nawrockiego po jego odmownej decyzji w sprawie nominacji 46 sędziów. W odróżnieniu od odmowy awansowania na stopnie oficerskie funkcjonariuszy SKW i ABW lista tych sędziów leżała od dłuższego czasu w zamrażarce poprzedniego prezydenta. Potwierdza to fakt, że Andrzej Duda nie był bezkrytycznym wykonawcą decyzji oczekiwanych przez rząd. Dziwi zatem ponawiana krytyka poprzedniej głowy państwa ze strony środowisk określających się jako konserwatywne. Prezydent Nawrocki w zdecydowany sposób sprzeciwił się kwestionowaniu porządku konstytucyjnego przez sędziów negujących wyroki innych sędziów pod absurdalnym pretekstem braku prawnej legitymacji. Więcej – zapowiedział, że do końca jego kadencji sędziowie uznający jako wadliwe wyroki wydawane przez tzw. neosędziów czy paleosędziów nie mogą liczyć na nominacje i awanse.

Czy zatrzyma to rozkład trzeciej władzy w państwie, paraliż sądownictwa? W pewnym stopniu tak. Wzmocni te środowiska prawnicze, które nie uczestniczą w anarchii wywołanej przez tzw. nadzwyczajną kastę pod kierunkiem obecnego ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka oraz usłużnych interpretatorów prawa, wszystkich tzw. autorytetów, jak choćby prof. Andrzej Zoll, który starym zwyczajem arbitralnie rozstrzyga, co jest konstytucyjne. Ostatnia decyzja prezydenta Nawrockiego mieści się w jego konstytucyjnych prerogatywach i wystarczy zajrzeć do ustawy zasadniczej, aby się przekonać, że w państwie prawa jedynie TK jest upoważniony do interpretacji prawa. Ten sam Trybunał, który uznał rozporządzenie ministra Żurka w sprawie zmiany reguł losowania sędziów za oczywiste łamanie konstytucji.

Jeśli proces destabilizacji państwa nie będzie powstrzymany przez polityków koalicji 13 grudnia, prezydent zapowiada wniosek o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum. W tym celu ma powołać Radę Konsultacyjną odpowiedzialną za kształt nowej konstytucji. Przypomnę, że pomysł referendum zainicjowany przez prezydenta Dudę na początku jego pierwszej kadencji został storpedowany przez obecnie rządzących. Referendum wymaga jednak zgody Senatu. A czy do idei zmiany konstytucji uda się przekonać senatorów? Pozytywna zmiana może nastąpić dopiero po przyszłych wyborach parlamentarnych, pod warunkiem wcześniejszego zawarcia tzw. paktu senackiego, zgodnie zawiązanego przez środowiska patriotyczne.

Zapewne większość zwykłych obserwatorów walki o utrzymanie w Polsce praworządności zastanawia się, o co w tym wszystkim chodzi. Skąd to bezwzględne parcie rządzących na zachowanie swoich wpływów w trzeciej władzy, zabetonowanie układu, który trzymał się stabilnie przez ponad 36 lat od czasu okrągłego stołu? Otóż w państwie trzecia władza jest najważniejsza. To ona rozsądza sprawy przedstawicieli władzy ustawodawczej i wykonawczej, a sędziowie z mocy ustawy są nieusuwalni do tego stopnia, że nawet ewidentne złamanie sędziowskiej przysięgi nie kończy ich kariery. Dlatego w Polsce i na forum europejskim tak krytykowano Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Nie udawało się zwolnić z pełnienia funkcji nawet tych sędziów, których złapano za rękę na pospolitej kradzieży. Celem działania obecnego ministra sprawiedliwości jest utrzymanie dawnego porządku w państwie, w którym trzecia władza wybierała się sama, sama się oceniała i była po prostu bezkarna, jednak pod warunkiem podporządkowania się władzy wykonawczej – ale tylko takiej, która konserwuje dawny postkomunistyczny układ.

Były sędzia Żurek, były rzecznik dawnej Krajowej Rady Sądownictwa, dziś minister sprawiedliwości, czyli przedstawiciel władzy wykonawczej, walczy o to, „aby było tak, jak było". Od samego początku torpedował wszelkie próby uspołecznienia trzeciej władzy podejmowane głównie przez PiS i z różnym skutkiem przez prezydenta Dudę. A jednak w wyniku żmudnych negocjacji, przy protestach ulicznych inspirowanych przez ówczesną opozycję, nowa KRS została wybrana w marcu 2018 r. Po raz pierwszy to Sejm mógł wybrać 15 sędziów na nowych członków Rady. I ta ustawa jest punktem wyjścia do kwestionowania przez władzę obecnego *status quo*.



W dążeniu do utrzymania władzy sądowniczej w rękach nadzwyczajnej kasty Żurek jest gotów przywrócić do służby sędziów w stanie spoczynku, gdy tylko upora się z niechcianymi sędziami. Mówi się też o zastąpieniu kwestionowanych tzw. neosędziów sędziami spoza naszego państwa. Wszak utrzymywany jest pogląd, że polski sędzia jest także sędzią europejskim – a może przede wszystkim europejskim. Prezydent Nawrocki ma szansę powstrzymać ten antypolski trend.

Władza Donalda Tuska zmierza do dopasowania struktur naszego państwa do europejskiej centralistycznej sztancy. Na przeszkodzie wciąż stoją KRS, TK, SN, NBP oraz patriotyczna opozycja. Już teraz Żurek przygotowuje grunt pod przyszłe wybory parlamentarne. Odwołał połowę składu komisarzy wyborczych, bo oni także – jak sędziowie – aby pełnić swoje funkcje, muszą mieć zaufanie władzy i bez zahamowania działać na telefon.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Jak z „Mad Maksa”



Andrzej Rafał Potocki

Donald Trump wyruszył w podróż po Dalekim Wschodzie, której ukoronowaniem było spotkanie z Xi Jinpingiem, czyli chanem-cesarzem Imperium Chińsko-Mongolskiego w budowie (Chiny pod rządami Xi idą drogą nie tradycyjnego cesarstwa Chin, a właśnie Wielkiej Ordy, której nominalny przywódca Kubilaj-chan był jednocześnie pierwszym cesarzem Chin z dynastii Yuan – formalnie Chiny panowały wtedy nad obszarem od Pacyfiku do granic Polski). W czasie spotkania „poruszono kwestię wojny na Ukrainie” i w zasadzie to koniec. Chiny bowiem potrzebują tej wojny, bo angażuje ona siły i środki Zachodu w Europie, a Pacyfik zostaje na dalszym planie. Potrzebują tej wojny także do upadku Rosji, bo zamierzają w pierwszej kolejności pożywić się nią i jej zasobami. Szczególnie że likwidacja mężczyzn w Kacapii postępuje w takim tempie, że już teraz na Dalekim Wschodzie są wsie, gdzie nie ma żadnego faceta poza starcami i małymi chłopcami. Jest za to pełno samotnych kobiet. Kto się nimi „opiekuje”? Zgadliście! Chińczycy, którzy jadą do Rosji i nawet przyjmują prawosławie, żeby ożenić się z tamtejszymi kobietami. Z punktu widzenia chińskiego prawa ich dzieci będą Chińczykami. I tak Pekin rozwiązuje dwa problemy. Po pierwsze, pokojowo, ale szybko kolonizuje Federację Moskiewską. Po drugie, pozbywa się nadmiaru mężczyzn w swoim kraju i wyrównuje proporcje damsko-męskie wywołane polityką jednego dziecka. A dodatkowo tworzy piątą kolumnę w Rosji, która we właściwym czasie przejmie całe połacie tego kraju. Ruski mir nie jest bowiem dla Chińczyków żadną ofertą, za to chińska kultura jest bardzo atrakcyjna dla wielu obywateli Rosji, nie tylko azjatyckiego pochodzenia. Wraca temat granicy polsko-chińskiej na Uralu.

W szturmowanym przez Moskali Pokrowsku – problem. Mgła. Spowodowało to, że małe drony – kwadrokoptery – szaleją, a operatorzy nie są w stanie niszczyć nacierających bojców. Pod osłoną mgły pchnięto kolumnę żołnierzy na motocyklach i technicalach (cywilnych autach zaadaptowanych do walk), by zasilili ruskie zgrupowanie w Pokrowsku. Pod osłoną mgły Kacap uderza także na zaporoskie Hulajpole. Bitwa pod miastem nabiera charakteru niebezpiecznego dla obrońców. Głównodowodzący ze strony Kijowa gen. Syrski bardzo wiele ryzykuje, wciąż pozostawiając część sił pod Myrnohradem. Moskale kontrolują ponad 80 proc. Pokrowska i przecięli strategiczną drogę zaopatrzenia M-30. Według analiz Defence24 „kluczowe w obronie były dwie flanki – północna (właśnie Myrnohrad) i południowa (Pokrowsk). Ukraińcy na południu zaczęli przegrywać, gdy na północy wciąż skutecznie się bronią. Problem w tym, że teraz są zgniatani z dwóch stron”. W sieci pojawiły się filmy, na których Moskale, prąc przez mgłę, wdzierają się do Pokrowska. Wyglądają jak banda talibów – rozklekotane cywilne samochody i chmary motocykli. Na nagraniu widać charakterystyczne klatki antydronowe na technicalu, a jedną z ład przerobiono na samochód bojowy ze stanowiskiem dla karabinu maszynowego. Sceny jak z „Mad Maksa”, ale skoro jest to skuteczne, to czemu nie?

Ukraiński dziennikarz Dmytro Swiatnenko poinformował, że jego brat Wołodymyr został zabity na tyłach, gdy żołnierze zebrali się na ceremonii wręczenia nagród. Wołodymyr służył jako operator uderzeniowy dronów w 35. Brygadzie Piechoty Morskiej. „W czasie, gdy rozpaczliwie brakuje nam ludzi do obrony Dniepru przed rosyjską ofensywą na kierunku pokrowskim, 1 listopada w obwodzie dniepropietrowskim jakiś wróg wewnętrzny wydał rozkaz, aby ustawić najlepszych pilotów i piechurów brygady na placu apelowym na ceremonię wręczenia nagród. Mój brat został zabity. Został zabity przez Moskali, ale nie na polu bitwy. Głęboko z tyłu. On i jego towarzysze zebrali się na placu apelowym, aby odebrać nagrody. Zebrali najlepszych – najlepszych pilotów i piechurów brygady – na otwartym terenie, pod rozkazami dowództwa. Wleciała balistyka. Historia zaniedbań, a może coś gorszego, powtórzyła się” – napisał Swiatnenko. Zgodnie z komunikatem prasowym 30. Korpusu Piechoty Morskiej kilku oficerów brygady zostało zawieszonych w pełnieniu obowiązków w oczekiwaniu na wyniki dochodzenia. Śledztwo w toku. Niestety na wojnie za głupotę dowódców śmiercią płacą żołnierze.

Współpraca: „Skipper”

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl be6914882e

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Silva rerum



Aleksander Nalaskowski

Nazbierało mi się notatek o rozmaitych sprawach. Dzisiejszy felieton jest zatem nieco eklektyczny. Ale każda z tych spraw jest warta chociażby jednego akapitu.

Gdy onegdaj Giertych symulował omdlenie podczas próby zatrzymania, to służby odstąpiły od czynności, a polityk znalazł się w szpitalu, gdzie udawał, że nie rozumie, co się do niego mówi. Potem czmychnął do Włoch, skąd prowadził swoją brudną grę polityczną. Jak to kanalia. Tak było za złej władzy PiS. Była ona tak podła, że ulitowała się nad „chorym". No cóż, skutecznie mdleć też trzeba umieć. Uśmiechnięta koalicja będzie ścigać chorego Ziobrę, póki go nie dopadnie i nie skarze. Bo mściwa demokracja ma to do siebie, że jak raz zacznie, to nie potrafi skończyć. To marsz w jedną stronę – tylko do przodu.

Haniebne głosowania w Sejmie – te w sprawie Zbigniewa Ziobry – trzeba dobrze zapamiętać. Jeśli ktoś miał złudzenia, że PSL zagłosuje inaczej niż rozkazał mu Tusk, to obudził się z ręką w nocniku. To nic, że część Funduszu Sprawiedliwości poszła na specjalistyczne samochody dla wiejskich ochotniczych straży pożarnych i doposażenie kół gospodyń wiejskich, bo PSL ma wieś w nosie, a wieś ma Kosiniaka-Kamysza i inne burki łańcuchowe Tuska też w nosie.

Obecnie Polską rządzi niemiecki namiestnik otoczony wianuszkiem pożytecznych idiotów i pospolitych cyników – przy czym idioci są pożyteczni dla niego, a nie dla nas. Bo dla nas jest ukatrupiony na amen system ochrony zdrowia i Żurek. Tyleż cyniczny, co pożyteczny. Przecież to tylko kwestia czasu, kiedy ta szajka z Bodnarem, Tuskiem, Hennig-Kloską, Kotulą czy Żurkiem na czele zostanie osądzona i skazana. Naprawdę myślą, że będzie inaczej? Że dzisiejsza opozycja powtórzy swój błąd z poprzedniej kadencji i znów opieszale będzie rozliczać? A rozliczyć trzeba będzie dokładnie i skrupulatnie, do ostatniego Zelta.

Tak się stało, że na naszych oczach padają na twarz niedawne autorytety. Wałęsa się „zbolkował", a Frasyniuk okazał się skończonym, wulgarnym chamem. Tusk jednak nie pójdzie siedzieć, bo PiS już raz udowodniło, że ma litość dla chorych. A premier jest patologicznie obciążony nienawiścią. To taka nienawiść, która zabiera umiejętność rozróżnienia kłamstwa od prawdy, odbiera logiczność myślenia i może tylko rosnąć, nigdy zaś maleć. Tusk wyląduje w psychuszce.

Przed głupotą przestrzega nas Biblia, w której słowo „wiara" pojawia się 232 razy, a słowo „głupota" – ponad 400 razy.

Jak mawia klasyk, z głupcami się nie rozmawia – przed głupcami trzeba się bronić

Jak mawia klasyk, z głupcami się nie rozmawia – przed głupcami trzeba się bronić. I jest to święta prawda. Tylko nie bardzo wiadomo, jak się bronić przed głupcami głosującymi na głupców. Głupota, gdy wchodzi w konflikt z prawdą czy twardymi realiami, powoduje frustrację. A frustrację trzeba z siebie wyrzucać. Głupcy najpierw głosują na głupców, a potem się dziwią, że jest coraz głupiej. Wtedy ucieka się poza własną bańkę w poszukiwaniu winnych.

Unosi się nad nami groźba cenzury. I niewątpliwie jej doświadczymy. Ciekawym, czy pojawi się podziemny, drugoobiegowy internet, skoro ten oficjalny będzie kastrowany. Pomysł, aby cenzurować treści w sieci, jest przedstawiany jako walka z hejtem, ale wszak wiemy, że na jej końcu jest zlikwidowanie niezależnych telewizji i czasopism.

Mam pewne niejasne przekonanie, że jesteśmy testowani, jak daleko może posunąć się władza wobec przywiązanego do wolności społeczeństwa. Gdzie jest granica, za którą są już tylko masowe manifestacje, a może i walki uliczne. Pytanie tylko, czy ów test pozostaje na użytek wewnętrzny szajki nazywanej rządem, czy może na użytek europejski. Nie jestem pewien, czy nie jesteśmy królikami doświadczalnymi dla coraz bardziej lewoskrętnych zachodnich elit. Jeśli to prawda, pomysł jest iście piekielny, a Tusk urósłby do rangi Belzebuba, którym w istocie już chyba jest.

Z coraz większym niepokojem obserwuję dzieci i młodzież zapatrzoną w smartfony. Smartfon stał się jak tlen, jak woda, stał się życiodajny. Bez niego ani rusz. I prawie nikt nie chce z tym nic zrobić. Zwłaszcza ministerka od edukacji, której wzrok tęskniący za mózgiem (polscy naziści zbudowali obozy koncentracyjne...) nie ogarnia tego, co się dzieje w tym zakresie. Pamiętam, jak jakieś trzy dekady temu pedagodzy bili na alarm, że rodzice, zamiast rozmawiać z dziećmi, puszczają im na VHS bajki wideo. Jakież to było niewinne! Pomyśleć, że narzekano na to, że dzieciaki dostają trochę prawdziwej sztuki, etycznych treści, a wszystko pod kontrolą rodziców. Smartfonów bodaj nikt nie kontroluje i są one obszarem prawdziwej klęski wychowawczej. Swego czasu byłem na meczu żużlowym. Moją uwagę zwróciła para – tato z synkiem. Ojciec krzyczał, wymachiwał szalikiem, gwizdał, skandował, bił brawo, a chłopiec, może dziesięcioletni, cały mecz spędził z oczami w telefonie. Tam były prawdziwe emocje, ryk motocykli, brawurowa jazda, a mały scrollował ekran w smartfonie.

eprasa.pl be6914882e

Michał Korsun prezentuje:
Joanna Szczepkowska – pożyteczna... aktorka



Wycinki z przeszłości

Zdarzają się różne przyczyny wypadków na drogach, ale ta z 1975 r. naprawdę zaskakuje. Jak pisał „Głos Pomorza": „Wąż o długości ok. 40 cm ulokował się w ciężarówce. Kiedy pojazd ruszył, wstrząsy obudziły żmiję, która zsunęła się wzdłuż nogi kierowcy, Humberta Roulta. [...] Szofer wpadł w panikę i stracił panowanie nad kierownicą. Samochód wpadł na drzewo, a kierowca i pasażer odnieśli lekkie obrażenia". Żmija także wyszła cało z wypadku.

(sp)


SERDECZNIE WITAMY DOŻYNKOWYCH GOŚCI
MAGAZYN
GŁOS POMORZA
16 stron
FAKTY
ŻMIJA W SPODNIACH

eprasa.pl be6914882e

Z WOLEJA

Śmierć razy trzy



Ryszard Czarnecki

Czy walka o pięściarski tytuł mistrza świata może się zakończyć trzema ofiarami śmiertelnymi? Niestety tak. Czy to film? Niestety życie. 13 listopada 1982 r. (właśnie minęła 43. rocznica tego dramatu) w Las Vegas odbyła się walka między Amerykaninem Rayem Mancinim a reprezentantem Korei Południowej Kimem Duk-koo. Zdecydowanym faworytem był obrońca tytułu z USA. Niespodziewanie znalazł się w wielkich opałach – waleczny Koreańczyk mocno uszkodził mu lewo ucho i lewe oko. Potem amerykański pięściarz (nie bokser – to rasa psa!) przyznał, że myślał o poddaniu walki! Jednak z czasem zawodnik z Azji osłabł, a Jankes zarzucił go gradem ciosów. W 13 rundzie uderzył aż 38 razy z rzędu, a bezwładny Azjata był niczym bokserski worek treningowy. O dziwo, sędzia ringowy nie przerwał walki, choć absolutnie powinien to zrobić. Uczynił to dopiero na początku 14. rundy, ogłaszając zwycięstwo zawodnika gospodarzy przez nokaut.

Niedługo potem pięściarz z Korei Południowej stracił przytomność, a po czterech dniach zmarł w szpitalu: w jego mózgu zaszły nieodwracalne zmiany i odłączono go od aparatury. Pięściarski świat przeżył szok. Po tym tragicznym pojedynku zaostrzono reguły dla uczestników boksu zawodowego dotyczące badań zarówno przed, jak i po walce. Na pewno uratowało to życie wielu pięściarzom, ale nie zwróciło go Kimowi Duk-koo.

Jednak to nie koniec tej niemal antycznej tragedii. Cztery miesiące po walce samobójstwo popełniła matka koreańskiego sportowca. Niedługo potem sędzia ringowy, który dopuścił do kontynuowania walki, będącej od pewnego momentu tylko masakrą półprzytomnego Koreańczyka, również targnął się na swoje życie. To była trzecia śmiertelna ofiara walki w Las Vegas, która weszła do dziejów boksu.

Potem analizowano – szczegół po szczególe – jak mogło dojść do tej tragedii. Wyznaczenie koreańskiego pretendenta do walki o tytuł mistrza świata było sensacją, bo nie miał imponującego rekordu pojedynków. I – uwaga – do tego czasu stoczył poza granicami kraju tylko jedną walkę. Był bardzo ambitny, podjął walkę z faworytem, zmuszając go do defensywy, ale źle rozłożył siły i pod koniec pojedynku nie był to już boks, tylko bicie człowieka.

Dziś dramat koreańskiego boksera pozostaje w cieniu tego, co zrobili jego rodacy sześć lat później. Podczas igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 r. gospodarze na potęgę przekupywali sędziów, aby ci wydawali korzystne werdykty dla reprezentantów Korei. Ten największy skandal korupcyjny w dziejach boksu na igrzyskach przesłonił tragedię 27-latka, jednego z pięciorga rodzeństwa, który dzięki swojej karierze pięściarskiej utrzymywał całą rodzinę (ich ojciec zmarł, gdy Kim miał dwa lata).



OD A DO ZYBERTOWICZA

Wtedy napiszemy nasze genialne dzieła

Kreatywność rzadko wynika z dostępności czasu, a raczej z jakości uwagi, stanu psychicznego i kontekstu społecznego

Przy okazji programowej konwencji Prawa i Sprawiedliwości, która w październiku br. odbyła się w Katowicach, miałem okazję do dłuższej rozmowy z dobrym, ale już wyraźnie młodszym ode mnie kolegą. Nie tak dawno zrobił doktorat. Omawialiśmy sprawy bardzo różne – od superdrobnych po fundamentalne. Żegnając się, kolega powiedział: „Jak tylko będziemy mieli więcej czasu, wtedy napiszemy nasze genialne dzieła".

Żartował? Pewnie mówił pół serio, pół żartem. Ale z kogo ten żart? Z samego siebie, z nas obu, z całego środowiska inteligentów starających się wspierać konserwatywną wizję Polski?

PRESJA CZASU

Kto z nas nie jest dzisiaj przeciążony ilością – bo nie zawsze kalibrem – zadań, które musimy wykonać? Zamiast szukać prostych wymówek, sięgam – jako badacz społeczny – po literaturę dotyczącą zjawiska prokrastynacji. Idzie o nałogowe odkładanie na później tego, co powinniśmy robić już teraz – mimo świadomości negatywnych konsekwencji niewykonania zadania we właściwym czasie.

Eksperci, jak kanadyjski prof. Timothy Pychyl, twierdzą, że prokrastynujemy, bo boimy się emocjonalnego bólu. Pisanie ambitnego dzieła? To brzmi jak tortura: co, jeśli wyjdzie średnio? Lepiej poczekać na „więcej czasu", czyli na... nigdy. Perfekcjonizm to nasz najlepszy „przyjaciel" – paraliżuje nas tak skutecznie, że zamiast pisać, oglądamy przysłowiowe koty na TikToku.

ZAWRZEĆ UMOWĘ Z NIEPEWNOŚCIĄ?

Kreatywność wiąże się przecież z ryzykiem: ryzykiem porażki, odrzucenia, samokrytyki. Mówiąc: „Nie mam czasu", chronimy się przed koniecznością stawienia czoła temu ryzyku. To nie brak czasu, ale brak gotowości do zawarcia osobistej umowy z niepewnością.

W dzisiejszej kulturze, zdominowanej przez niekończące się strumienie cyfrowych bodźców, mit braku czasu przybiera nowe formy. Social media, powiadomienia, ciągła dostępność dla innych – wszystko to tworzy iluzję, że „gdyby tylko można było wyłączyć telefon, wtedy bym tworzył".

Ale przecież to kolejna fałszywa narracja. Badania nad „cyfrowym wypaleniem" (*digital burnout*) pokazują, że problem tkwi w wytworzonym przez dzisiejsze technologie cyfrowe braku wewnętrznego poczucia kontroli nad własnym polem uwagi. Prawdziwa kreatywność wymaga znacznie głębszego dostępu do stanów koncentracji, które dziś stały się rzadkością.

A przecież w wielu tradycjach duchowych – od buddyzmu zen po mistycyzm chrześcijański – czas nie jest mierzony w godzinach, ale w jakości obecności. „Teraz" jest jedynym momentem, w którym może zajść twórcze przełamanie. To wskazuje, że geniusz nie czeka na wolny kalendarz – „iskry Boże" pojawiają się w szczelinach, przerwach, chwilach, w których umysł przestaje planować i zaczyna doświadczać.

Mit „więcej czasu równa się więcej twórczości" zakłada jakąś prostą zależność między ilością czasu a jakością naszej pracy twórczej. Jednak badania nad pracą twórczą – od psychologii twórczości po neurobiologię – wskazują, że kreatywność rzadko wynika z dostępności czasu, a raczej z jakości uwagi, stanu psychicznego i kontekstu społecznego.

NIE MA ŁATWEGO ROZGRZESZENIA

Nie byłbym socjologiem, nie zwracając też uwagi na klasowy wymiar mitu wiążącego dostępność wolnego czasu z jakością dzieł twórczych. Twierdzenie: „Gdybym miał więcej czasu" jest dostępne głównie dla tych, którzy już mają zapewnione podstawowe zasoby bytowe. Dla osób pracujących na dwóch etatach, samotnie wychowujących dzieci, „czas wolny" to luksus, na który nie mogą sobie pozwolić. Ich kreatywność – jeśli w ogóle ujawnia się społecznie – rodzi się mimo tych wszystkich przeciwności, a nie dzięki mnóstwa czasu do dyspozycji.

Chyba od niedawna popularne stało się – przynajmniej w świecie korpo – powiedzenie: „Gdy mówisz komuś, że nie miałeś na coś czasu, w istocie komunikujesz: »Mam inne priorytety!«". To ma sens. Ale kto (lub co) ustanawia dziś nasze priorytety? Znów wracamy do tych nieszczęsnych mediów społecznościowych, które, prawdę mówiąc, bardzo odspołeczniają.

W każdym razie, mój dobry kolego, nie ma dla nas łatwego rozgrzeszenia.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl be6914882e

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



eprasa.pl | be6914882e

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl be69148826